

Marek Romański

ZNAK ZAPYTANIA

A stylized, handwritten signature logo in black ink, consisting of the letters 'MR' in a cursive, flowing script.

Spis treści

- 1 Agent Th-113
 - 2 Pieczęć milczenia
 - 3 Hotel Atlantis, pokój 312
 - 4 Z polecenia prokuratora
 - 5 Tancerka z Casino de Varsovie
 - 6 Gra
 - 7 Więzień Wysp Sołowieckich
 - 8 W ekspresie GdyniaWarszawa
 - 9 Gość nieproszony
 - 10 Porażka Olgierda Gryfa
 - 11 Człowiek bezgranicznych ambicji
 - 12 W tajnym kasynie
 - 13?
 - 14 Straszliwy kusiciel
 - 15 W służbie wywiadu
 - 16 Na równi pochyłej
 - 17 Szczęście Sylwestra Matuszki
 - 18 Cień nad Europą
 - 19 Spotkanie
 - 20 Pociąg nr 341
 - 21 Wyspy grozy
 - 22 Oficerszpieg
 - 23 Tajemnica nietykalnych murów
 - 24 Droga zatracenia
 - 25 Sława Sylwestra Matuszki
 - 26 Fatalne pytanie
 - 27 Wolna... wolna...
 - 28 Po raz ostatni...
 - 29 Znaczona koperta
 - 30 Życie zaczyna się jutro!...
- Tekst według wydania Stanisława Cukrowskiego, Warszawa br. (1933?)

Rozdział I

AGENT TH-113

Teraz, gdy to wszystko, co było, jest już tylko przeszłością, gdy minęło jak zły sen, jak zwid chorej wyobraźni, można o tym mówić spokojniej i można mówić już całą prawdę, prawdę bez żadnych osłonek.

Można już o tym mówić całą prawdę, bowiem Znak Zapytania został już z powrotem zdegradowany do tej roli, którą zajmował poprzednio. Znak Zapytania stał się z powrotem tym, czym był - jednym ze znaków przestankowych, stał się, po prostu mówiąc, z powrotem - znakiem zapytania.

Ale był czas - pamiętamy go przecież wszyscy! - był czas, gdy ów mały, drobny znak, ów znak rachitycznie wykręcony urastał do jakiegoś groźnego symbolu.

Był czas, kiedy nazwa tego znaku, kiedy słowa kiedy słowa Znak zapytania budziły bladą trwogę. Był czas, kiedy słowa te były przez tygodnie czernią olbrzymich czcionek z pierwszych kolumn mniejszych i większych dzienników całego świata, kiedy nazwa owego drobnego znaku płynęła na falach eteru, w językach wszystkich kulturalnych narodów, kiedy był on ustach speakerów wszystkich radiostacji...

Był to czas, kiedy Znak Zapytania był potęgą.

Komu wówczas, o tej czy innej porze dnia, ukazywał się ów znak złowieszczy, w tego serce wkradał się niepokój, tego mózg owładała trwoga cienką, ale nierozzerwalną pajęczyną. Bowiem Znak Zapytania niósł przymus bezwzględного posłuszeństwa, kazał rzucać wszystko i śpieszyć pod swój sztandar. A jeżeli ktoś nie usłuchał - byli zaś i tacy śmiałkowie - Znak Zapytania zabijał.

Dziś można już o tym mówić spokojnie.

Znak Zapytania wrócił na swe miejsce. Nie ma już dzisiaj innych znaków zapytania, prócz tych, które widnieją w książkach i dziennikach, na końcu pytających zdań, prócz tych, które pewną ręką kreślimy w naszych listach.

Znak zapytania wrócił na swe miejsce... Ale zanim powrócił...

* * *

Daleki zegar wieżowy, zbłąkany wśród dachów miasta, jał wydzwaniać godzinę dwunastą w nocy. Czynił to z dostojną powagą, jaka w zupełności przysługiwała jego wiekowi.

Nocy tej padał drobny, dokuczliwy deszcz i ulice Warszawy były puste. Mókł na deszczu policjant przechadzający się na zbiegu ulic, co chwila to niknący w cieniu nocy, to zjawiający się znowu w jasnym kręgu światła, jakie rzucały łukowe lampy. Mokły na deszczu dorożkarskie szkapy, świeciły wilgocią budy

Przejeżdżających taksówek.

Przechodniów można było liczyć na palcach. Uciekając przed dokuczliwym deszczem, śpieszyli do domu z podniesionymi kołnierzami palt i nieprzemakalnych płaszczów.

Nocne lokale wabiły kuszącymi potokami świateł.

Dozorcy nocni kulili się we wnękach bram.

W ową deszczową, ponurą noc szedł Krakowskim Przedmieściem mężczyzna w miękkim kapeluszu o szerokich krezach, ubrany w płaszcz w szeroką, ciemną kratę.

Mężczyzna ów śpieszył się widocznie, gdy jednak uszu jego dobiegły dźwięki obwieszczającego północ zegara, przystanął na mokrym chodniku i zsunął rękawiczkę z przegubu ręki.

Na przegubie owej ręki nosił zegarek. Miał zwyczaj nakręcać go codziennie o północy i chociaż każda minuta była mu droga, nie widział przyczyny, dla której miałby obecnie odstąpić od swego stałego zwyczaju.

Mężczyzna w kapeluszu o szerokich krezach był bowiem zdania, że dżentelmen nie śpieszy się nigdy, uważał się zaś za dżentelmena, bowiem był Anglikiem.

W rejestrach Intelligence Service, w dużym gmachu na Downing Street, w dalekim mglistym Londynie, figurował on pod krótkim nazwiskiem.

Brzmiało ono po prostu Th-113.

Anglik bowiem, który uważał, że dżentelmen nie śpieszy się nigdy, był agentem Intelligence Service.

Roger Crandall - takie bowiem było nazwisko człowieka, który nosił kryptonim Th-113 - po nakręceniu zegarka, ruszył w dalszą drogę.

Jakaś dziewczyna uliczna wysunęła się z wnęki, jaką tworzyła wystawa sklepowa i podbiegła do niego, wypowiadając znużonym głosem stereotypowe słowa zachęty - jednakże cofnęła się zaraz zniechęcona, bowiem mężczyzna minął ją zupełnie obojętnie i nie obdarzył nawet przelotnym spojrzeniem.

Agent Th-113 przeszedł Krakowskie Przedmieście i część Nowego Świata i skręcił w ulicę Ordynacką, gdzie zatrzymał się przed znajomym mu domem.

Wyciągnął rękę do dzwonka, lecz w momencie, kiedy miał zadzwonić, zawahał się,

jakby naraz opadły go jakieś wątpliwości, jakby zachwiał się nagle w swym postanowieniu.

Agent Th-113 był jednak Anglikiem, toteż wahanie jego nie trwało długo. Energicznym ruchem nacisnął guzik dzwonka.

Chwila spokojnego oczekiwania. W sieni zabłysło światło. Skulona sylwetka, utykając nieco, podeszła do bramy. Zgrzyt klucza w zamku. Jedno skrzydło bramy uchyla się.

Pytające spojrzenie zwięzonych snem oczu. Dozorca domu nie zna tego pana, który dzwoni do bramy. Widzi go po raz pierwszy. Ten pan nie jest lokatorem domu, do którego dzwoni.

Anglik mówi wyraźnie skandowaną polszczyzną, kładąc nacisk na każdej sylabie:

- Pan Gorzycki... w domu?...

Dozorca kiwa głową.

- Śpi już zapewne od dawna?

Th-113 cofa się o krok i obejmuje wzrokiem ciemne okna domu. W ani jednym oknie nie pali się światło. Cały dom śpi.

Agent Intelligence Service wtyka jakąś monetę w rękę dozorca domu i wchodzi szybko do bramy, Nie musi pytać o drogę do mieszkania nadkomisarza Gorzyckiego, szefa warszawskiej policji politycznej. Zna dobrze rozkład domu, do którego się udaje, zna dobrze, chociaż istotnie po raz pierwszy przekracza jego progi.

Agent Intelligence Service musi wszystko wiedzieć. Dwa są grzechy, grzechy śmiertelne, których nie przebacza najpotężniejsza szpiegowska organizacja świata. Grzechami tymi jest zdrada tajemnic Intelligence Service i nieświadomość tajemnic cudzych.

Th-113 wchodzi na pierwsze piętro i dzwoni do drzwi mieszkania.

Dozorca domu wrócił już do swej dyżurki, ledwie jednak legł na łóżku, nowy dzwonek wezwał go do otwarcia bramy.

- Psia służba! - mruknął pod nosem i zwlókł się znowu z posłania.

Dzwoniącym do bramy był tym razem również człowiek obcy. Przyjechał taksówką, która stała przed domem. Człowiek ów był dziwnie zakatarzony. Mówił przez nos i do tego bardzo ochryple. Trzymał przy ustach chusteczkę, a słowa jego przecinały krótkie ataki kaszlu.

Dozorca domu nie dziwił się jednak temu. Nie sztuka być przeziębionym w okresie ciągłej niepogody. Bardziej zdziwiły go słowa zachrypniętego człowieka.

- Czy przed chwilą wszedł do tego domu jakiś obcy człowiek?

- Nie wiem! - odpowiedział burkliwie dozorca, który w lot zrozumiał sytuację. - Nie budź pan lepiej ludzi po próżnicy.

Ostatnim akordem tej niezbyt grzecznej odpowiedzi miało być zatrzaśnięcie bramy. Zanim jednak dozorca zdołał postawić tę kropkę nad i, stała się rzecz nieoczekiwana.

Bardzo szybkim ruchem zakatarzony człowiek wsunął nogę między oba skrzydła bramy, uniemożliwiając tym samym dozorczy zatrzaśnięcie jej.

Równocześnie nieznajomy odjął równie szybko od twarzy ręce przytrzymujące chusteczkę.

W ręku zakatarzonego mężczyzny błysnął pięciodolarowy banknot. Banknot ten w chwilę potem znalazł się w ręku zdumionego dozorca.

- Bierz i gadaj! - zachrypiał nieznajomy.

Dozorca domu był jednak flegmatycznym człowiekiem. Był czas, kiedy, w czasie inflacji, miał do czynienia z czarną giełdą i znał się dobrze na dolarach! Minęły już te czasy, kiedy znalazłszy w śmietniku banknot studolarowy, uwierzył, że znalazł banknot prawdziwy. Tymczasem na drugiej stronie banknotu był napis głoszący, że większą przyjemność niż sto dolarów sprawi każdemu obejrzenie filmu Danton.

Dozorca domu obejrzał więc banknot i uznał, że jest dobry.

- A był tu jeden taki - rzekł zupełnie już innym tonem. - Poszedł na górę...

Flegmatyczny dozorca nabrał rozpędu i chciał się dalej wywnętrzać przed ofiarodawcą pięciodolarowego banknotu, jednak zakatarzony mężczyzna wiedział już widać wszystko, czego chciał i bardzo nie miał czasu.

Nim dozorca się spostrzegł, nieznajomy siedział już w taksówce i rzucał jakieś rozkazy szoferowi.

Taksówka ruszyła i znikła w ulicy Kopernika.

Dozorca domu stał jeszcze w bramie przez długą chwilę. Spojrzał na banknot pięciodolarowy, który otrzymał za krótkie potwierdzenie przypuszczeń nieznajomego. Pokręcił głową pełen zdziwienia.

Następnie zamknął bramę z gorącym postanowieniem zakomunikowania owej dziwnej przygody, temu drugiemu nieznajomemu panu, który o tak późnej godzinie udał się do mieszkania nadkomisarza Gorzyckiego.

Postanowienia tego nie wykonał już jednak nigdy.

Rozdział II

PIECZĘĆ MILCZENIA

Kobieta oderwała nagle gorące, żarłoczne wargi od ust kochanka.

Odsunęła się od niego i ruchem ręki odgarnęła z czoła włosy czarne jak skrzydła kruka.

Ostry, przykry dźwięk dzwonka rozdarł ciszę nocną.

Mężczyzna przeciągnął się leniwie. Uniósł się na rękę i jął nadsluchiwać.

Wołanie dzwonka powtórzyło się.

- Zapal światło, Ino!

Kobieta usłuchała. Mała lampka, stojąca obok tapczanu, okryta abażurem koloru krwi, oświetliła pokój czerwonym blaskiem.

Adam Gorzycki spojrział na zegarek. Było dwadzieścia minut po dwunastej.

- Kogo też diabli niosą o tej porze?... - zaklął zniecierpliwiony.

Spojrzał na zmieszaną twarzyczkę dziewczyny, która osłaniała swoją nagość pizamą o misternym deseni.

Światło lampki kładło się różowym cieniem na jej białych ramionach.

- Jak myślisz, kto to być może?

- Pojęcia nie mam. Gdyby mnie potrzebowano urzędowo, wzywano by mnie telefonicznie. Słyszysz? Znowu dzwoni. Ale mu śpieszno! Siedźże tu cicho, postaram się spławić jak najszybciej tego nocnego intruza.

Adam Gorzycki musnął ustami czoło dziewczyny i wyszedł z sypialni. Sytuacja nie była miła. Należało ją zlikwidować jak najszybciej.

Th-113 zniecierpliwiony długim oczekiwaniem, zamierzał już zadzwonić po raz ostatni i tym razem nie żałować dzwonka, gdy usłyszał kroki w przedpokoju i znajomy głos Gorzyckiego wypowiedział sakramentalne Kto tam?

- Crandall! - brzmiała krótka odpowiedź.

Adam Gorzycki wzniósł ruchem zdziwienia wąskie linie brwi. Crandall? Czego mógł Crandall szukać u niego o tej porze, przerywając mu słodkie sam na sam z przyjaciółką. Musiało to być w każdym razie coś ważnego. Crandall znał go zbyt mało, by bez ważnej przyczyny składać mu pierwszą wizytę akurat o północy.

Zazgrzytał odsuwany łańcuch i drzwi mieszkania Gorzyckiego otworzyły się.

- Ach, to pan. Proszę niech pan pozwoli. Cóż sprowadza pana do mnie o tej porze?

- Bardzo ważne sprawy, panie naczelniku - odparł agent Intelligence Service swą specjalną polszczyzną, która z trudem przechodziła przez jego usta.

Zanim przybył ze swą misją do Polski, Th-113 przez trzy długie lata po wiele, wiele godzin dziennie wtajemniczał się w arkańskie trudne słowiańskiego języka; zrezygnował jednak już dawno z nadziei zdobycia kiedykolwiek poprawnego akcentu.

Obaj mężczyźni podali sobie ręce.

- Zbudziłem pana? - zapytał Th-113 Gorzyckiego, obrzucając wzrokiem jego pizamę.

- Nic nie szkodzi. Proszę, niech pan pozwoli do salonu.

Szef policji wprowadził nocnego gościa do małego saloniku.

Na stoliku w salonie stała opróżniona do połowy butelka wermutu, ciastka, owoce i dwa kieliszki.

- Proszę, niech pan siada - mówił dalej Gorzycki, wskazując gościowi fotel.

- Czy jesteśmy sami?

- Naturalnie! - odparł krótko Gorzycki. Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz naraz przygryzł wargi.

Bystry wzrok agenta angielskiego wywiadu spoczął na stojącym w rogu salonu fortepianie. Na fortepianie tym, porzucone w nieładzie, leżały rękawiczki kobiece oraz kapelusz.

Th-113 był dżentelmenem, toteż natychmiast odwrócił oczy od tych kompromitujących dowodów kłamstwa wypowiedzianego przez Gorzyckiego. Wiedział zresztą, że on sam na miejscu Gorzyckiego postąpiłby tak samo.

Gorzycki jednak podjął ten temat.

- Jest u mnie kobieta! - rzekł krótko.

Th-113 poruszył głową.

- To mnie nic nie obchodzi. To mnie nic nie obchodzi, panie naczelniku. Jeżeli pytam o to, czy jesteśmy sami, to tylko dlatego, że chcę z panem mówić o rzeczach bardzo ważnych i bardzo poufnych. Inaczej nie odwiedzałbym pana o tak niezwyklej porze. Wie pan jednak, panie naczelniku, że skazańcom wolno więcej niż innym ludziom.

Gorzycki spojrzał na agenta Intelligence Service. Czyżby Roger Crandall postradał zmysły?

- Może pan mówić zupełnie spokojnie - odparł. - Nikt nas nie podsłucha. Co znaczą słowa wypowiedziane przez pana poprzednio?

- Są one prawdą, panie naczelniku. Boję się, że niewiele już życia mam przed sobą.

Gorzycki uśmiechnął się.

- Czyżby pan powziął zamiar popełnienia samobójstwa?

Crandall zapalił papierosa.

- Nie! Powzięto zamiar usunięcia mnie...

Nastąpiła niedługa chwila milczenia.

Szef policji znał zbyt dobrze owego chłodnego, flegmatycznego Anglika, figurującego w kartotekach Intelligence Service pod szyfrą Th-113, by wątpić w prawdziwość jego słów. Roger Crandall zrzucił dziś swą zimną maskę i z trudem tylko opanowywał ogarniające go zdenerwowanie.

Wreszcie Gorzycki przerwał przedłużające się milczenie.

- Czy zwraca się pan do mnie o pomoc? Czy potrzebuje pan ochrony?

Na ustach Crandalla pojawił się gorzki uśmiech.

- Zdaje mi się, że nikt na świecie nie zdoła mi przyjść z jakąkolwiek pomocą. Cała potężna, niezwyciężona Intelligence Service, cały potężny wywiad naszego mocarstwa jest pyłkiem wobec wyroku, jaki podpisało na mnie przeznaczenie... Ale to nic strasznego. Agent Intelligence Service umierający za dobrą sprawę, jest żołnierzem, który ginie na posterunku...

- Jest pan zdenerwowany, mister Crandall.

- Zechce mnie pan uważać za wytłumaczonego. Nie tyle jestem zdenerwowany, ile przemęczony. W ostatnich czasach pracowałem zbyt może wiele, jak na siły jednego człowieka...

- Wyjeżdżał pan na czas dłuższy z Warszawy?

Roger Crandall zamiast odpowiedzi z ogromną uwagą jął gasić niedopałek papierosa na popielniczce z zielonego nefrytu.

- Czy mogę mówić spokojnie? - zapytał niespodziewanie.

- Zupełnie spokojnie. Może pan mówić bez obawy, by mógł nas ktokolwiek podsłuchać...

Adam Gorzycki mylił się tym razem. Był ktoś, kto na palcach opuścił sypialnię, minął jeden pokój i pochyłony u drzwi saloniku łowił ciekawie każde słowo rozmowy między Gorzyckim, a agentem Intelligence Service.

Osobą tą była jedyna istota, która poza szefem policji i jego nocnym gościem znajdowała się w mieszkaniu. Była to właścicielka kapelusza i rękawiczek porzuconych w nieładzie na fortepianie w saloniku, była to Ina Ordeyg, kochanka Gorzyckiego.

Roger Crandall jął tymczasem mówić głosem już spokojnym i opanowanym:

- Przyszedłem, panie naczelniku, zwierzyć się panu z wielkiego odkrycia, jakiego dokonałem zupełnie przypadkowo. Istnieje mianowicie w Polsce i innych państwach Europy

znakomicie zorganizowana organizacja szpiegowska, która działa równie sprytnie jak ofiarnie... Również zupełnie przypadkowo udało mi się dokonać rewelacyjnego odkrycia i zdobyć dowody, kto jest wodzem owej szpiegowskiej organizacji. Moje odkrycie łączy się z licznymi aktami terroru, jakie ostatnio zanotowano w Europie. Popełniłem jednak błąd... błąd bardzo drobny, który wystarczył w zupełności, by tamta strona - Crandall wymówił te słowa ze specjalnym naciskiem - uświadomiła sobie wagę dokonanych przeze mnie odkryć... Od tej chwili jestem jak tropione zwierzę. Idą za mną trop w trop, jak zgłodniała horda wilków za łosiem - Th-113 przerwał na chwilę, jakby chciał zastanowić się, w jaką szatę słów miał ubrać to, co chciał dalej powiedzieć.

Adam Gorzycki słuchał z uwagą słów Crandalla. Kobieta pochylona za drzwiami, gotowa do ucieczki z zajmowanego stanowiska za lada podejrzanym szmerem, słuchała z nie mniejszą uwagą.

- Wiem, że skończą mnie prędzej czy później - mówił po krótkiej przerwie gość szefa policji. - Skończą jednak ze mną, ale nie zdołają zatrzymać już biegu wypadków. Przygotowałem raport dla Intelligence Service... Jutro rano raport ten zostanie wysłany. Chcę panu odkryć i powierzyć ustnie tę część tajemnicy, której zasłony mogę uchylić.

Roger Crandall przerwał znowu. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej pudełeczko z gumą do żucia. Roger Crandall palił mało, nikt nigdy nie widział go pijącego, za to miał zwyczaj nieustannego żucia gumy.

Th-113 wyjął z pudełeczka gumowy cukierek i włożył go do ust. Rozgryzł cukierek zębami.

- Otóż, panie...

Agent Intelligence Service uczynił nagle grymas, jak człowiek, który się dławi.

Nagły skurcz przebiegł mu po twarzy, oczy rozwarły się z jakimś ogromnym zdziwieniem i Roger Crandall osunął się z cichym jękiem na ziemię.

Kobieta, podsłuchująca pod drzwiami, odskoczyła nagle zmieszana.

Adam Gorzycki rzucił się ku leżącemu.

Ale Roger Crandall leciał mu już przez ręce i poszarzałą twarzą patrzył na szefa policji.

Th-113 był trupem.

Ci, którzy szli od dawna jego tropem, jak zgłodniała horda wilków za zwierzyną, dokonali swego dzieła i w sam czas zdołali położyć na jego ustach pieczęć wiecznego milczenia.

Rozdział III

HOTEL ATLANTIS, POKÓJ 312

Zachrypnięty człowiek, który za cenę pięciodolarowego banknotu, wręczonego dozorczy domu, zdołał upewnić się, że Roger Crandall istotnie udał się do mieszkania naczelnika policji Adama Gorzyckiego - po zajęciu miejsca w taksówce, rzucił szoferowi adres pierwszej nocnej restauracji, jaka przysłała mu na myśl.

- Proszę nie żałować gazu! - dodał jeszcze rozkazującym tonem.

Na nieszczęście zachrypniętego człowieka, szofer pojął zbyt dosłownie żądanie pasażera.

Taksówka zarzuciła na mokrym asfalcie i zderzyła się z drugą taksówką, przecinającą właśnie Nowy Świat.

Zachrypnięty mężczyzna zaklął siarczyście i podniósł ręce do policzków. Kilka odłamków szkła zraniło mu twarz.

Tymczasem na ulicy odbyła się scena, którą tak często widzieć można na ulicach Warszawy, zarówno w dzień jak i w nocy.

Szoferzy obu taksówek wyskoczyli z wozów i jęli obrzucać się wielopiętrowymi i nader wymyślnymi przekleństwami i wyzwiskami.

Mimo późnej pory wokół dwu uszkodzonych taksówek zgromadził się zaraz tłum gapiów. Wypełzły z bram dziewczęta uliczne, wyrosli jak spod ziemi kawalerowie księżycy, w których Nowy Świat obfituje w nocnej porze, jak Brazylia w plantacje kawy.

Grupa gapiów podzieliła się zaraz na dwa wrogie sobie obozy. Jeden z nich, bez żadnych zresztą motywów, zrzucił winę na szofera taksówki, którą jechał nieznajomy mężczyzna, drugi zaś, również nie mający po temu żadnych argumentów, przypisywał wypadek kierowcy drugiego wozu.

Zachrypnięty mężczyzna, tamując chusteczką płynącą z twarzy krew, mało się tym wszystkim interesował.

Były rzeczy znacznie ważniejsze. Lada chwila mógł się zjawić policjant, by spisać protokół o wypadku. Będzie musiał zatem podać do protokołu swe nazwisko i adres. Być może - okazać legitymację, szofer bowiem niewątpliwie, by osłonić siebie, wypaple, że pasażer kazał mu jechać pełnym gazem.

Tajemniczy mężczyzna nie miał najmniejszej ochoty zawierać nawet tak odległej znajomości z policją. Miał po temu swoje powody. Mógłby wprawdzie powiedzieć jakies

zmyślone nazwisko i adres, gdyby jednak zażądano od niego legitymacji (kto wie, co może strzelić do głowy posterunkowemu?), mogłoby być gorzej. Zależało mu przy tym na pośpiechu.

Pasażer taksówki otworzył drzwi i wysiadł z wozu. Był już najwyższy czas, do miejsca zderzenia taksówek zbliżał się właśnie posterunkowy, rosły chłopak opięty w granatowy mundur.

Pasażer taksówki, korzystając z tego, iż zarówno uwaga obu szoferów jak i grupy gapiów zwrócona była na osobę zbliżającego się „władzy” - oddalił się szybko od miejsca wypadku.

Dotarł do lokalu, którego adres podał niedawno szoferowi. Zrzucił palto, udał się do toalety, gdzie obmył z krwi poranioną twarz i zadraśnięcia pokrył warstwą pudru. Nie było czasu na dalsze roztkliwianie się nad sobą.

Nieznajomy pośpieszył do budki z automatycznym telefonem i wkrótce uzyskał połączenie z żądanym numerem.

Z ust jego padło tylko kilka słów. Brzmiały one:

- Hotel Atlantis, pokój 312.

Z tamtej strony wiedziano już co to znaczy.

Tajemniczy mężczyzna położył słuchawkę na widełkach.

Była jeszcze jedna sprawa, którą tej nocy musiał załatwić.

Opuścił szybko nocny lokal i znowu znalazł się w taksówce. Rzucił pośpiesznie jakiś adres i wtulił się w poduszki taksówki. Trwał tak nieruchomo z przymkniętymi oczyma przez cały czas jazdy, dopóki wóz nie zatrzymał się przed obdrapanym domem na ulicy Żelaznej.

Zadzwoił niecierpliwie, wcisnął w rękę dozorca otwierającemu bramę wygrzebaną z kieszeni monetę i szybko zniknął w ciemnej klatce schodowej.

Szedł po schodach zręcznie i pewnie, jak gdyby widział doskonale w ciemności. W ten sposób dostał się na trzecie piętro domu. Piętro to zajmowały pokoje pojedyncze rozłożone tak zwanym korytarzowym systemem.

Nieznajomy zatrzymał się przed jednym z takich pokoi. Ruchy jego stały się dziwnie opanowane i ostrożne, podobne ruchom skradającego się kota.

Cicho i bezszelestnie mężczyzna otworzył kluczem drzwi pokoju i wszedł do wnętrza.

W pokoju paliło się światło. Na stole stała przygotowana skromna kolacja na dwie osoby. Na kuchence gazowej zmniejszony płomyk gazu trzymał w stanie stałej ciepłoty czajnik z wodą na herbatę.

Na tapczanie stojącym w kącie pokoju pod oknem spała w ubraniu młoda dziewczyna.

Znać, oczekując na przybyłego, położyła się na tapczanie by wypocząć na chwilę i zmógł ją sen. Delikatną jej twarz okalały złote, bujne włosy.

Mężczyzna zamknął cicho drzwi i przypatrywał się przez chwilę śpiącej, po czym wzrok jego padł na zegar stojący na stolyczku.

To był przecież cel jego spóźnionej wizyty.

Podszedł do zegara i cofnął go o godzinę, po czym zbudził śpiącą dziewczynę.

Przeciągnęła się leniwie, po czym spojrzała na niego.

- Przyszedłeś wreszcie? Czy nie mogłeś tego zrobić później?

W głosie jej brzmiał ton wyrzutu. Mężczyzna zdjął dopiero teraz nakrycie głowy i obracał je w rękę, jakby namyślając się, gdzie je położyć.

- Nie gniewaj się! - rzekł łagodnym tonem. - Wiedziałem, że będziesz czekać na mnie i chciałem, mimo wszystko, wypić herbatę w twym towarzystwie. Nie jest zresztą tak późno. Dopiero za piętnaście dwunasta.

Niebieskie oczy dziewczyny z niedowierzaniem spojrzały na tarczę zegara.

- Istotnie! To ja spałam zaledwie kwadrans? A zdawało mi się, że trwało to znacznie dłużej.

- Zegar na pewno idzie dobrze. Nie traćmy jednak czasu. Wypiję z tobą herbatę i pójdę do domu, bo jestem bardzo zmęczony.

Gdy odwróciła się i zajęła, kuchenką gazową i herbatą, szybkim ruchem przesunął znowu wskazówki zegara, tym razem naprzód, przywracając właściwą godzinę, po czym położył na zegarze kapelusz w ten sposób, że kreza kapelusza zasłaniała tarczę.

Dopiero po dokonaniu tej czynności zrzucił palto i usiadł przy stole.

Gdy po jakimś czasie opuścił dom przy ulicy Żelaznej, przystanął na chodniku i zatarł ręce z zadowoleniem.

- W języku sprawiedliwości nazywa się to zapewnieniem sobie alibi - szepnął do siebie zadowolony. - Przyda się na wszelki wypadek.

Rozdział IV

Z POLECENIA PROKURATORA

O tej samej porze, kiedy Adam Gorzecki błądliwy i zmieniony stał przy telefonicznym aparacie i niecierpliwie czekał na zgłoszenie się stacji, by wezwać pogotowie ratunkowe, przed wielkim, czarnym blokiem hotelu Atlantis zatrzymał się samochód.

Hotel Atlantis spał. Długie rzędy okien zionęły mrokiem. Zgaszone zostały już dawno bajecznie kolorowe reklamy świetlne, jakie w godzinach wieczornych płonęły na frontonie hotelu.

Jarzył się tylko wielki neonowy napis, głoszący nazwę hotelu ATLANTIS, napis, który gorzał noc w noc, od zmierzchu do świtu.

Z samochodu, który zatrzymał się przed zamkniętą żelaznymi balaskami bramą hotelu, wysiadło trzech czarno ubranych panów.

Skierowali się szybko do wejścia. Jeden z nich energicznie nacisnął dzwonek.

Portier w liberii z dużymi guzami ocknął się z drzemki i przez szklane drzwi spojrzął niechętnie na zadeszczoną ulicę.

- Otwórz! - rzucił chłopcu, pełniącemu obowiązki odźwiernego.

W chwilę potem trzech czarno ubrani panowie znaleźli się w hallu hotelowym.

Portier spojrzął na nich pytająco:

- Panowie sobie życzą?

Stary lis hotelowy nie mógł sobie zdać sprawy, czego ci trzej dżentelmeni mogą szukać w hotelu o tak późnej porze. Nie mieli z pewnością zamiaru wynajęcia pokojów. Przybyli przecież bez bagaży.

Jeden z czarno ubranych panów poprawił binokle w złotej oprawie.

- Który to pokój zajmuje w hotelu pan Roger Crandall, korespondent londyńskiego Standardu?

Roger Crandall figurował w księgach meldunkowych i uchodził wobec niewtajemniczonych za korespondenta londyńskiego pisma.

- Pokój numer 312 - odparł portier. Znał na pamięć numer pokoju zajmowanego przez Th-113, Roger Crandall bowiem zamieszkiwał w hotelu Atlantis od szeregu miesięcy.

- Proszę nas zaprowadzić do tego pokoju - odezwał się pan w binoklach w złotej oprawie.

Portier począł powoli orientować się w sytuacji, nie mógł jednak, czy nie chciał dać

wiary swym przypuszczeniom.

- Pana Crandalla nie ma jeszcze w numerze - odpowiedział.

- Tym lepiej, kochany panie, tym lepiej! - ozwał się znowu jeden z panów, po czym spojrzeli na siebie wszyscy trzej i jeden z nich rzekł znowu. - Tak będzie chyba istotnie najlepiej.

Portier przybrał swą gutaperkową twarz w maskę obojętności.

- Panowie wybaczą, mam wyraźne polecenie od dyrekcji hotelu, by podczas nieobecności gościa...

Szybki niecierpliwy ruch ręki pana w złotych binoklach przerwał dalsze słowa portiera.

- To nie ma absolutnie nic do rzeczy.

Równocześnie dwaj, czarno ubrani, towarzysze pana w binoklach w złotej oprawie, odchyliłi klapy płaszczy, ukazując metalowe, błyszczące blaszki.

Portier schylił głowę na znak, że rozumie. A więc trafne były jego podejrzenia. Owi trzej panowie, byli to wywiadowcy policji śledczej.

Tymczasem pan w złotych binoklach wydobyl jakiś papier i pokazał portierowi urzędową pieczęć.

- Z polecenia pana prokuratora przy sądzie okręgowym - rzekł surowym i urzędowo oschłym tonem - mamy polecenie dokonania rewizji w pokoju, zajmowanym przez niejakiego Rogera Crandalla, obywatela angielskiego, korespondenta Standardu. Nieobecność pana Crandalla jest nam właśnie na rękę... Proszę nas zawieść do pokoju 312.

Portier raz jeszcze pochylił głowę przed majestatem sprawiedliwości, uosobionym w słowie prokurator.

Otworzyły się drzwi windy. Przez uśpione piętra pomknął szybko w górę dźwig, wiozący trzech czarnych panów.

- Oto pokój 312 - rzekł portier, podając klucz panu w złotych binoklach.

- Proszę zostawić nas samych - polecił urzędnik policji, wkładając klucz w zamek.

Portier jednak tkwił nieruchomo na swym miejscu.

- Czy słyszał pan, co mówiłem?

- Tak... panie... panie komisarzu - portier nie wiedział jak tytułować mężczyznę w złotych binoklach. - Chciałem tylko zapytać co mam zrobić, gdyby pan Crandall podczas obecności panów wrócił do hotelu?

- Może pan być spokojny. Pan Crandall nie wróci tak prędko. Pan Crandall nie wróci w ogóle...

Widząc zdumiony wzrok portiera, mężczyzna w złotych binoklach dodał tonem zdawkowego wyjaśnienia.

- Pan Crandall został aresztowany przed godziną na sali nocnego lokalu Casino de Varsovie...

Portier raz jeszcze skinął głową, potem zapytał:

- Czy mam zbudzić zarządzającego hotelu?

- Broń Boże! Wszystko ma się odbyć w największej ciszy. Jutro rano zarządca hotelu otrzyma wezwanie do wyjaśnienia sprawy...

Portier nie pytał już więcej. Winda drgnęła znowu, unosząc go do hallu.

Trzej czarno ubrani panowie pozostali sami.

Weszli szybko do pokoju. Jeden z nich odnalazł bez trudu wyłącznik elektryczny i przekręcił go.

Jednym rzutem oka objęli pokój.

Pan w złotych binoklach zakomenderował półgłosem, zwracając się do jednego ze swych towarzyszków:

- Proszę stanąć w korytarzu. Baczna uwaga! My zajmiemy się rewizją.

Agent policji śledczej usłuchał natychmiast. Stojąc w korytarzu hotelowym, w którym paliło się przyćmione światło, wyjął z kieszeni browning, stwierdził, czy jest zarepetowany i czy bezpiecznik dobrze funkcjonuje.

Wiedział, że trzeba być gotowym na każdą ewentualność.

Dwaj pozostali agenci zajęli się tymczasem rewizją pokoju Crandalla.

Pracowali szybko i sprawnie, najpierw otworzyli szafę z ubraniami i zbadali dwa garnitury rzekomego korespondenta Standardu. Potem przyszła kolej na inne przedmioty.

Nerwowe, wprawne ręce przewracały kufry agenta Intelligence Service, buszowały bezgłośnie w jego korespondencji, poddawały oględzinom każdy świstek papieru.

Rewizja nie dawała znać oczekiwanych rezultatów, bowiem od czasu do czasu, wywiadowcy rzucali do siebie, krótkie urywane słowa, w których brzmiała nuta niezadowolenia.

Wreszcie rewizja była ukończona.

- Nie ma nic? - zagadnął swego towarzysza pan w złotych binoklach.

Mówił tonem zapytania, choć było już w nim potwierdzenie porażki i przyznanie się do klęski.

- Nie ma nic! - brzmiała również lakoniczna odpowiedź.

- Szczwany lis!

- Niszczył wszystkie notatki albo po prostu nosi w głowie cały materiał informacyjny.
- Ależ ów list? Czyżby zdołał już ów list doręczyć kurierowi dyplomatycznemu ambasady.

- Nonsens! Kurier dyplomatyczny opuszcza Warszawę jutro wieczór. Jutro rano miał list odebrać od Crandalla. Przejęliśmy przecież jego rozmowę z Th-113.

- Wobec tego Crandall nosi list z raportem przy sobie.

- Ładnie byśmy wpadli.

Nastała chwila milczenia. Obaj wywiadowcy rozglądali się bezradnie po pokoju.

- Trzeba iść! Czas nagli.

Pan w złotych binoklach skinął głową. Wzrok jego spoczął na aparacie telefonicznym, stojącym na biurku pod oknem.

Podszedł do telefonu i podniósł w górę cały aparat.

Pod aparatem ukryta była nieduża i niezbyt gruba koperta, nie było na niej adresu, jedynie odwrotna jej strona usiana była pieczęciami. Napis umieszczony w jednym rogu koperty był krótki i wymowny Th-113.

Obu czarno ubranym panom błysnęły oczy.

- List!

- Tak! List z raportem Crandalla. O mały włos bylibyśmy opuścili pokój i nie znaleźli go. Przeszliśmy przecież obok niego kilkanaście razy.

Pan w złotych binoklach wsunął list do kieszeni palta.

- Nie mamy tu więcej nic do roboty.

Nie dokończył jeszcze tych słów, gdy na dole, w hallu hotelowym, rozległ się jakiś nieznacznym gwar, który dosłyszał jednak wartownik, stojący na korytarzu.

Portier, w swej dyżurce, umierał właśnie z ciekawości, starając się domyślić, dlaczego został aresztowany wytworny i zamożny dziennikarz angielski, który nigdy nie zapominał o sutych napiwkach, gdy przed hotelem znów zatrzymało się auto i znów rozległ się dźwięk dzwonka przy chronionym żelaznymi balaskami wejściu do hotelu.

Tymczasem do hallu hotelu Atlantis weszło znów trzech panów. Robili wrażenie bardzo zdenerwowanych. Jeden z nich mówił coś do drugiego po angielsku, czego tamten słuchał, unosząc brwi w górę.

Portier zrozumiał, że tej nocy w hotelu dzieją się rzeczy dziwne i że nie będzie mógł tak szybko zdrzemnąć się beztrąsko.

Żaden z owych trzech panów nie był mieszkańcem hotelu.

Jeden z przybyłych zwrócił się do portiera:

- Który pokój w hotelu zajmował pan Roger Crandall? - zapytał.

Portier drgnął. W ciągu pół godziny po raz drugi zjawiało się w hotelu trzech nieznajomych mu ludzi, po raz drugi pytano go o pokój zajmowany przez Rogera Crandalla.

Przez chwilę portier namyślał się, co odpowiedzieć i jak odpowiedzieć. Przecież tam, na górze, w pokoju numer 312 pracowało właśnie w tej chwili trzech wywiadowców policji, przeprowadzając rewizję w apartamencie zajmowanym przez Anglika.

Należało zyskać na czasie.

Portier chwycił się swej dawnej metody.

- Pana Crandalla nie ma w domu.

Jeden z przybyłych rzucił niecierpliwy ruch ręką:

- Wiem o tym bardzo dobrze. Proszę o klucze od pokoju pana Crandalla.

- To niemożliwe.

- Co?

- Nie wolno mi wydać kluczy. Nie widzę powodu, dla którego miałbym to uczynić...

- Ach tak. To dobrze! Jestem Adam Gorzycki, szef policji politycznej. Proszę o natychmiastowe wydanie klucza. Pana Crandalla zamordowano i muszę jak najrychlej zabrać ważne papiery z jego pokoju.

Portier coraz mniej rozumiał.

- Panie naczelniku - ozwał się wreszcie - pańscy wywiadowcy są już na górze. Blisko od pół godziny.

- Wywiadowcy? Moi wywiadowcy? Co pan znów bredzi?

- Mówię tylko, jak jest, panie naczelniku. Mają nakaz prokuratora dokonania rewizji w pokoju pana Crandalla. Jest to pokój numer 312.

- Dostyc.

Ton głosu Gorzyckiego nie dozwalał na sprzeciw.

Portier umilkł.

Szef policji politycznej rzucił kilka słów po angielsku do jednego ze swych towarzyszków.

- O, yes! - potwierdził z oznakami zdziwienia flegmatyczny Anglik.

Gorzycki tymczasem zwrócił się znów do portiera.

- Czy wszystkie windy hotelowe są na dole?

- Tak!

- To dobrze. Pokój numer 312 mieści się na trzecim piętrze.

- Tak jest, panie naczelniku.

- Uprzedzili nas. - szepnął do siebie Gorzycki. - Trzeba ich teraz nie wypuścić z pułapki.

Szef policji skinął na drugiego towarzyszącego mu mężczyznę.

- Dwu posterunkowych! Broń w pogotowiu...

- Rozumiem, panie naczelniku!

Wywiadowca znikł w bramie hotelu, by, zgodnie z rozkazem Gorzyckiego, sprowadzić dwu policjantów.

W tej samej chwili w hallu rozległ się dzwonek.

To trzech fałszywi wywiadowcy, po skończeniu rewizji i znalezieniu listu Crandalla, listu zawierające jego cenny, osłonięty dla Gorzyckiego krepą tajemnicy raport, wzywali windę, chcąc opuścić hotel.

W mózgu Gorzyckiego powstała myśl, by polecić pomocnikowi portiera wyjechać windą po trzech rzekomych wywiadowców i zabrać ich z dźwigu.

Z chwilą gdy zjadą windą na dół, nie trudno ich będzie obezwładnić i aresztować.

Gorzycki zwierzył się szybko portierowi ze swego planu, tu jednak powstała trudność nieprzewidywana. Nikt z obecnego personelu hotelowego, ani pomocnik portiera, ani odźwierny, ani portier, widząc, że gra idzie o grubą stawkę, nie okazywał zbytniej ochoty znalezienia się w dość ryzykownym sam na sam w dźwigu z trzema tajemniczymi, z pewnością na wszystko zdecydowanymi, ludźmi.

Szef policji zaklął pod nosem. Każda chwila była droga, a tu na dobitkę wywiadowca posłany celem zaalarmowania dwu najbliższych posterunków policji, nie wracał z granatowymi mundurami.

Na górze tymczasem rozległy się kroki. Trzej fałszywi wywiadowcy, gdy na dwukrotne dzwonienie winda nie przybyła na trzecie piętro hotelu - zaniepokojeni zdecydowali się zejść do hallu po schodach.

Gorzycki spojrzał wymownie na urzędnika ambasady angielskiej, który mu towarzyszył.

Anglik uśmiechnął się i swobodnym ruchem wyjął browning z kieszeni. Zarepetował go zręcznym chwytem.

Gorzycki uczynił to samo.

Tamci schodzili po wysłanych dywanami schodach hotelu Atlantis powoli i miarowo. Idąc mówili coś do siebie półgłosem.

Gorzycki raz jeszcze spojrzał na bramę hotelu, chcąc się przekonać, czy wysłany przez niego wywiadowca nie wraca z pomocą, lecz z wywiadowcy nie było ani śladu.

Gorzycki i towarzyszący mu Anglik byli zdani na samych sobie.

Szef policji ujął urzędnika ambasady za rękaw i pociągnął w tył. Anglik spojrział i zrozumiał. Usiedli obaj na wygodnej pluszowej kanapie.

W tej samej chwili w hallu hotelowym ukazali się trzej czarno ubrani mężczyźni.

Szli gęsiego. Na czele kroczył pan w złotych binoklach.

Szybkim spojrzeniem wszyscy trzej objęli hall hotelowy. Wzrok ich ostry i przenikliwy spoczął na chwilę na Gorzyckim i Angliku, którzy wiedli z sobą jakąś niezmiernie zajmującą rozmowę.

Portier wysunął się naprzeciw idących. Miał minę niezbyt pewną. Nie miał najmniejszych złudzeń, że dojdzie do awantury.

- Czy panowie już skończyli? - zapytał.

- Tak. Skończyliśmy - ozwał się poważny pan w złotych binoklach. - Oto klucz od pokoju.

Wręczył klucz portierowi i minął go, chcąc iść dalej, gdy naraz Gorzycki wstał z kanapy pokrytej czerwonym pluszem i podszedł do trzech tajemniczych panów.

- Mam do panów mały interes.

Trzej mężczyźni zatrzymali się. Dwu z nich zwróciło się do Gorzyckiego, podczas, gdy trzeci nie spuszczał oka z towarzysza Gorzyckiego, który zachowywał się zupełnie obojętnie.

- Pan sobie życzy? - zapytał odpychającym tonem.

- Okazania mi upoważnienia na dokonanie rewizji w pokoju pana Rogera Crandalla.

- Czy jest pan zarządcą tego hotelu? Nie kazałem pana budzić.

Gorzycki uśmiechnął się. Zaimponował mu tupet mężczyzny w złotych binoklach.

- Myli się pan. Jestem urzędnikiem policji... Stać!... Ręce do góry, u diabła!

Dwa strzały rozgryzły nocną ciszę hotelu.

Ledwie Gorzycki dopowiedział ostatnich słów, pan w złotych binoklach błyskawicznym ruchem wyciągnął browning i strzelił do szefa policji z bliskiej odległości.

Gorzycki, prawie jednocześnie z momentem strzału zdołał podbić rękę strzelającego i kula gwizdnęła tuż koło niego.

W tej samej chwili strzelił Anglik, lecz strzał jego chybił.

To, co nastąpiło po strzałach, odbywało się w iście rekordowym tempie. Dwu towarzyszków pana w złotych binoklach rzuciło się jak burza na Anglika. Równocześnie, zanim Gorzycki zdołał wyjąć broń z kieszeni, pan w złotych binoklach, uprzedzając niebezpieczeństwo, chwycił przerażonego i zamienionego w słup soli portiera i z całej siły

pchnął na szefa policji.

Było to dobrze zrobione. Portier obalił ciężarem swego ciała Gorzyckiego i sam zwałił się na ziemię.

To dało panu w binoklach kilka cennych sekund. W kilku skokach był w bramie hotelu Atlantis i znikł na ulicy. Towarzysze jego, którzy w tym czasie zdołali rozbroić urzędnika z ambasady, rzucili się w ślad za nim.

Czas już był istotnie najwyższy, bowiem zbudzeni strzałami lżej śpiący goście hotelowi ukazali się już na korytarzach hotelu w mocno niekompletnych strojach.

Gorzycki zerwał się natychmiast z grubego dywanu wyściełającego hall.

- Za nimi! - zawołał - Za nimi!

W tej chwili zrozumiał, że popełnia śmieszność. Któż to miał gonić zuchwałych i na wszystko zdecydowanych przestępców?

Wybiegł sam przed hall i usłyszał już tylko oddalający się szum motoru samochodu, którym odjechali trzej czarno ubrani panowie. Auto to, snadź oczekiwało ich na pobliskim zakręcie ulicy.

W tej samej chwili z mroków nocy wyłonił się wywiadowca i dwu posterunkowych.

Przybyli za późno.

Cenny raport Rogera Crandalla przepadł.

Rozdział V

TANCERKA Z CASINO DE VARSOVIE

Tak to śmiercią Rogera Crandalla - agenta Intelligence Service figurującego pod szyfrą Th-113 - oraz wykradzeniem jego tajemniczego raportu, rozpoczęła się niesamowita historia Znaku Zapytania.

Sekcja zwłok Rogera Crandalla wykazała otrucie bardzo dużą dozą cyjanku potasu, który momentalnie zabił agenta angielskiego wywiadu

Owa doza cyjanku potasu, która zamordowała Rogera Crandalla mieściła się w pastylce gumy do żucia, którą agent wziął do ust w czasie rozmowy z Adamem Gorzyckim.

Wskazywało to, że Rogera Crandalla mieli już od dawna na oku ci, którym wydał tajemnicę, ci, którzy obawiali się, że zostaną zdemaskowani.

Oni to w jakiś niewytłumaczony sposób podzucili do pudełeczka zawierającego gumowe pastylki pastylkę z piorunującą trucizną, oni to postanowili nałożyć pieczęć milczenia na usta Rogera Crandalla i cel swój w zupełności osiągnęli.

Agent Th-113 skonał właśnie w chwili, kiedy miał zamiar zdradzić Gorzyckiemu tajemnicę tych, którzy mu śmierć przysięgli; znał ich, wiedział że są zdolni do wszystkiego, wiedział, że podjęte zostały próby usunięcia go każdym sposobem i za wszelką cenę.

Oni to wreszcie - jacyś nieznani ni z nazwisk, ni z celów przestępcy - wtargnęli o tej samej godzinie, w której zmarł Roger Crandall, do hotelu Atlantis, wylegitymowali się sfalszowanym nakazem prokuratora dokonania rewizji, a podczas rewizji owej zdołali znaleźć i zabrać z sobą raport Rogera Crandalla, jedyną rzecz, która mogła rozświetlić tajemnicę niedopowiedzianą przez agenta.

Oni to wreszcie, zatrzymani w hallu hotelowym przez Gorzyckiego i urzędnika ambasady angielskiej, okazali się tęgimi przeciwnikami i zdołali zbiec mimo pościgu.

Wypadki owej jesiennej nocy, nocy tak brzemiennej w dalsze następstwa, odbiły się zrazu w prasie jedynie krótką notatką donoszącą o zgonie z powodu aneurysmu serca Rogera Crandalla, korespondenta Standardu w Warszawie.

Znalazł się jednak sprytny reporter, który, chcąc zyskać pewne szczegóły śmierci Rogera Crandalla, zawędrował do hotelu Atlantis, gdzie mieszkał nieszczęsny agent Th-113.

Od portiera wprawdzie nie dowiedział się niczego, portier bowiem był zbyt szcwanym lisem, by opowiadać przejęcia owej nocy, jednakże obok portiera świadkiem wszystkiego był odźwierny. Do niego to zwrócił się reporter wiedziony dziwną intuicją

właściwą tylko swemu zawodowi i brzęczącymi argumentami rozwiązał odźwiernemu język.

Ten, skoro już raz zaczął mówić, okazał się bardzo rozmownym i gadatliwym, tak że reporter wiedział wkrótce rzeczy, o których nawet nie marzył i w które początkowo wierzyć nie chciał.

Skutki tego nie dały długo na siebie czekać.

Objawiły się one w formie czteroszpaltówki na pierwszej stronie dziennika, dla którego pracował reporter.

Władze policyjne nie sprostowały zawartych w owej czteroszpaltówce wiadomości, przeciwnie, zbyły je milczeniem. Gorzycki wiedział, że skoro sprawa wyszła już na wierzch, nie należy jej zaprzeczać, ale też i nie należy jej potwierdzać. Opinie publiczną zostawiono w niepewności.

Jedna jeszcze była osoba, która знаła tajemnicę śmierci Rogera Crandalla. Osobą tą była Ina Ordeyg, tancerka i przyjaciółka Adama Gorzyckiego, występująca w dwu numerach w nocnym dancingu Casino de Varsovie.

Występy te zaczęła Ina Ordeyg właśnie na drugi dzień po śmierci Crandalla, od tego bowiem dnia obowiązywał ją kontrakt podpisany z dyrekcją nocnego lokalu.

Już w pierwszym dniu, kiedy Ina Ordeyg rozpoczęła swe występy w Casino de Varsovie, w nocnym lokalu pojawił się gość, jakiego tam nigdy nie widziano.

Był to wysoki mężczyzna o czarnej szczecinie przystrzyżonych krótko włosów. Ubrany był z nieposzlakowaną elegancją. Twarz miał spokojną i nieruchomą, jakby zastygłą w wyrazie doskonałej obojętności.

Wysoki i barczysty mężczyzna przychodził codziennie do Casino de Varsovie, na krótko przed północą, z której wybiciem rozpoczynał się program produkcji i występów.

Siedział on zawsze przy jednym i tym samym stoliku, który zarezerwował sobie zaraz przy pierwszej bytności i zamawiał monotonnym głosem butelkę wina.

Siedział tak, samotny i pozornie obojętny na wszystko przez dwie lub trzy godziny, po czym regulował rachunek i leniwie opuszczał salę.

Ożywiał się na krótko, jedynie w momencie, gdy w czworobokach stolików pojawiała się Ina Ordeyg.

Wówczas pan w czarnych rogowych okularach odstawiał na bok niedopity kieliszek wina i opierając się ciężko na stole, patrzył na tańczącą półobnażoną dziewczynę tarczami ciemnych szkieleł.

Gdy Ina Ordeyg kończyła swój numer i znikwała wśród oklasków publiczności, barczysty mężczyzna popadał w swą zwykłą obojętność i wracał do butelki z winem, dopóki

nie pojawiło się w niej dno.

Już po kilku dniach Ina Ordeyg zwróciła uwagę na nieznanego. Nie mogła sobie wytłumaczyć dlaczego, ale czarne szkła okularów uparcie na nią skierowane napęłniały ją niepokojem.

Po tygodniu wreszcie, gdy Ina Ordeyg ukończyła taniec i znikła w garderobach, mężczyzna w czarnych okularach zastukał sygnetem na kelnera.

- Proszę poprosić dyrektora! - wycedził wolno.

Zarządzający, również zaciekawiony osobą tajemniczego gościa, zjawił się natychmiast, gdy tylko kelner zakomunikował mu życzenie barczystego mężczyzny.

- Czym mogę panu służyć?

Zapytany podniósł kieliszek wina i wypił go duszkiem.

- Ta tancerka, która przed chwilą ukończyła swój numer, nazywa się o ile się nie mylę, Ina Ordeyg?

- Istotnie, proszę pana!

- Chciałem ją poznać!

Zarządzający uczynił przeczący ruch głową.

- W naszym lokalu - rzekł tonem wyjaśnienia - nie ma zwyczaju, by tancerki podchodziły do stolików. Od tego są fordanserki..

Niestropiony bynajmniej tą odpowiedzią nieznanemu skinął głową na znak, że rozumie.

- Wszystko mi jedno, czy poznam ją przy stoliku, czy nie przy stoliku - brzmiała odpowiedź. - Mam do niej interes i muszę się z nią widzieć.

- Rozumiem.

- Nic pan nie rozumie - odparł opryskliwie pan w czarnych okularach. - Proszę więc o zaprowadzenie mnie do garderoby panny Ordeyg i o powiadomienie jej, że chcę z nią mówić.

- Kogo mam zameldować? - zapytał urażony zarządzający.

Czarne tarcze okularów zwróciły się znów na zarządzającego.

- Panu chodzi o nazwisko? Nie! Nazwisko jest niepotrzebne. Nie gra roli. Zupełnie nie gra roli. Zarządzający skłonił się i odszedł, wzruszając ramionami.

- Dziwak jakiś - myślał, kierując się do garderoby Iny.

Gdy w chwilę potem zarządzający dancinukabaretu Casino de Varsovie zakomunikował Inie Ordeyg życzenie nieznanego pana w czarnych rogowych okularach i powtórzył rozmowę, jaką z nim miał, na twarzy pięknej tancerki odbiło się zdumienie.

- To ciekawe - rzekła, podchodząc do sprawy typowo po kobiecemu. - On przyglądał

mi się stale, od pierwszego dnia, kiedy tu tańczę. Czyżby jakiś nowy wielbiciel?

Ina Ordeyg spojrzała, mówiąc te słowa w wiszące przed nią lustro, napawając się czarem swej urody.

Zarządzający pochylił się nad dziewczyną.

- Cóż więc mam odpowiedzieć ternu typowi?

- Niech go pan poprosi.

Drzwi garderoby zamknęły się cicho za zarządzającym. Ina Ordeyg dobyteła z torebki pomadkę i poprawiła krwistą czerwień swych warg.

Przyjrzała się sobie raz jeszcze i uśmiech pojawił się na jej wargach.

- Ładna jestem! - szepnęła sama do siebie, przeciągając się leniwie i prężąc naprzód zuchwałe pagórki piersi.

Znowu skrzypnęły drzwi garderoby. W drzwiach stanął barczysty mężczyzna w czarnych rogowych okularach.

Wzrok Iny Ordeyg wwiertł się w nieme tarcze jego czarnych szkieł.

- Proszę bliżej.

Nieznajomy pan stał jednak przez chwilę nieruchomo i przypatrywał się tancerce.

Potem zamknął powoli drzwi i nie ruszając się z miejsca, zapalił papierosa, nie pytając Iny o pozwolenie.

Podszedł do taboretu i usiadł na nim. Kilka razy zaciągnął się aromatycznym dymem.

- Panna Ordeyg? Ina Ordeyg? Czy tak? - ozwał się wreszcie.

- Sądzę, że zna pan moje imię, skoro chciał pan mówić ze mną.

- Zapewne...

- Może wobec tego zechce mi się pan przedstawić.

- Uważam to zupełnie za zbyteczne.

- Ładny dżentelmen!

Chwila milczenia, potem znowu spokojny, monotonny głos:

- Nie przyszedłem tu, by flirtować z panią, przyszedłem w interesie.

- Nie załatwiam żadnych interesów z ludźmi, których nie znam.

Ina Ordeyg wstała z krzesła na znak, że rozmowa jest skończona.

Mężczyzna jednak nie ruszał się z miejsca. Usta jego wykrzywił uśmiech, gdy odpowiedział:

- Tym razem, Ino Ordeyg, odstąpi pani od swego zwyczaju. Ja muszę pomówić z panią.

W ostatnich słowach nieznajomego brzmiała jakaś ukryta, ale wyraźna groźba. Ina

Ordeyg spojrzała na niego z niepokojem.

- Słucham pana.

Nieznajomy mężczyzna poprawił się na taborecie. Zdusił niedopałek papierosa i bez ceremonii rzucił go na podłogę garderoby.

- A więc pani nazywa się Ina Ordeyg - zaczął, jakby raz jeszcze utrwalając sobie to nazwisko w pamięci. - Jest pani tancerką, solistką, w życiu prywatnym zaś, jest pani obecnie kochanką niejakiego Adama Gorzyckiego...

- Mój panie, wypraszam sobie.

- Już nic nie mówię, łaskawa pani, już nic nie mówię. Przypuszczam jednak, że się nie mylę, mówiąc to, co powiedziałem? Pani jest bardzo ambitna? Czy tak?

- Możliwe...

- Pragnęłaby pani, zdaje się, ze stanowiska kochanki przejść na stanowisko żony owego człowieka? Ina Gorzycka. To brzmi bardzo dobrze... Przy tym...

- Panie! Każę pana wyprosić za drzwi.

- Niech pani tego nie robi. Prawda, którą wiem o pani, nie jest przecież tak straszna. Zapewniam panią, że będzie pani bardzo żałować, jeżeli tej rozmowy nie przeprowadzimy do końca.

Ina Ordeyg wzruszyła ramionami.

Zaczynała podejrzewać, że ma przed sobą wariata, ale, jak dotąd, wariat ów był doskonale poinformowany co do jej osoby.

Rzekomy wariat nie tracił tymczasem ani na chwilę spokoju i zimnej krwi.

Miał swój plan i wiedział, że go doprowadzi do końca.

Zapytał zniemacka:

- Co pani robiła, panno Ordeyg, w dniu, w którym zmarł Roger Crandall?

Ina stanęła, jak wryta. Pytanie to padło zupełnie nieoczekiwanie.

- W dniu, w którym zmarł... Roger Crandall? - powtórzyła pytająco.

- Istotnie? Czyżby pani go nie знаła?

- Nie! Poza tym nie pamiętam, kiedy się stała ta historia z Crandallem.

- Ach, tak! Wie pani przynajmniej tyle, że była jakaś historia z owym Crandallem.

Ina opanowała się. Czego chciał od niej ten niesamowity gość? Pytania jego dążyły do jasno określonego celu i zaczęły być wręcz niebezpieczne.

Kołysząc się lekko na taborecie, barczysty mężczyzna poprawił okulary, które nieco zsunęły się mu z nosa.

- Przypomina sobie pani tę historię? - powtórzył ze szczególną intonacją w głosie.

- Naturalnie! Przecież o tym nieszczęśliwym wypadku z atakiem sercowym Crandalla donosiły wszystkie dzienniki.

- Pięknie! Ale nie o tym pani myślała, mówiąc słowo historia. Pomogę tedy pani krótkiej pamięci. Jeżeli chodzi o datę śmierci Crandalla, to śmierć ta nastąpiła pewnej jesiennej nocy, kiedy pani bawiła w mieszkaniu kochanka. Co widzę, już pani nie grozi wyrzuceniem mnie za drzwi?

Ina Ordeyg istotnie daleka była od powtórzenia swej poprzedniej groźby. Osunęła się na krzesło i patrzyła szeroko rozwartymi oczyma na mężczyznę, który w ciągu kilku minut zdołał wnieść do jej życia tyle niepokoju.

Skąd ten człowiek znał jej tajemnicę? Gdy na wołanie o pomoc wbiegła owej nocy do pokoju w którym szef policji przyjmował spóźnionego gościa, Roger Crandall był już trupem, nędznym szczątkiem czegoś, co było, a co już być przestało.

Gorzycki wówczas tonem ostrym, jakiego dotąd wobec niej nigdy nie używał, kazał jej wyjść natychmiast z pokoju i zamknąć się w sypialni.

Posłuchała go i przesiedziała tak, pełna strasznej emocji i zaciekawienia, aż do rana, kiedy ciało zabrano do sekcji i kiedy Gorzycki wrócił z jakiejś tajemniczej wyprawy.

Był tak wstrząśnięty, że na pytanie Iny wyjawiał jej prawdziwą przyczynę śmierci Crandalla, pomijając tylko milczeniem okoliczności, jakie je sprowadziły oraz przemilczając wypadki, jakie w tym samym czasie zaszły w hotelu Atlantis.

Inie nie trudno się było domyślić całej prawdy, tej samej, którą dotąd znały władze śledcze. Podsluchiwała przecież zaczajona u drzwi gabinetu i nie uroniła ani jednego słowa z tego, o czym mówili z sobą Gorzycki i nieszczęsny agent Th-113.

Mężczyzna w czarnych okularach z zadowoleniem obserwował wrażenie, jakie na Inie wywarły jego słowa.

Wstał nagle, podszedł do dziewczyny i oparł rękę na jej nagim, białym ramieniu.

- Kobiety są ciekawe, nie będę więc chyba zbyt odległy od prawdy, gdy zaryzykuję twierdzenie, że podsluchiwała pani wtedy to, co mówili Roger Crandall z pani kochankiem. Nie odpowiada pani? To znaczy, że moje przypuszczenia są słuszne. Tym lepiej. Oszczędzi mi to wiele niepotrzebnych słów.

Tajemniczy osobnik cofnął się nagle o krok i zmienił ton. Głos jego nabrał teraz ostrego, metalicznego brzmienia.

- Ino Ordeyg! Jestem w tym szczęśliwym położeniu, że mam o pani wszelkie potrzebne informacje. Z każdej godziny, z każdego dnia życia od chwili, gdy zdarzyła się ta historia... z Crandallem.

- Pan mnie szpiegował?

- Pfe, brzydkie słowo. Zbierałem informacje o pani. Pozwolę sobie zwrócić tylko na jedną rzecz uwagę - swoich ambitnych planów związanych z osobą pana Gorzyckiego nie zdoła pani zrealizować, jeżeli będzie go pani już teraz zdradzała.

Ina zerwała się z miejsca. Twarz jej była biała jak kreda.

Tajemniczy mężczyzna obserwował ją bacznie.

W kątach jego ust zarysowało się coś, jakby uśmiech zadowolenia.

- Proszę nie próbować przeczyć! Czy mam pani udowodnić, że jestem dobrze o wszystkim poinformowany?

Ina Ordeyg nie mogła przemówić słowa.

Pan w czarnych rogowych okularach dobył z kieszeni mały notesik w czerwonej safianowej oprawie.

- W tym notesiku - rzekł - zawarty jest los pani ambitnych planów, panno Ordeyg.

Ina załamała się nagle. W oczach jej ukazały się łzy.

- Kim pan jest? Czego pan wreszcie chce ode mnie?

- O tym dowie się pani w swoim czasie - brzmiała odpowiedź, znowu nieznośnie spokojna. - Ja rozumiem, że rozmowa moja z panią przedłuża się nieco, ale niestety inaczej być nie może. Otóż, panno Ordeyg - ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na gniewny gest dziewczyny - mam tu zanotowane w owym małym notesiku dzień po dniu, co pani robiła rano, w południe i wieczorem! W repertuarze tym, który nie jest bardzo zajmujący widnieje na pierwszym miejscu kolacja w gabinecie, w zacisznym intymnym gabinecie z pewnym przemysłowcem, znanym zarówno z ochoty do szerokich zabaw, jak i z donzuanerii. O ile sobie przypominam pan Gorzycki bawił wówczas w Małopolsce Wschodniej. Nie będzie pani zapewne obojętna wiadomość, że w notesie owym mam też napisane imię i nazwisko pewnego wysokiego wojskowego, którego podobno obdarza pani dość wyraźną sympatią... Czy to wystarcza, czy też mam...

Ina Ordeyg, nadal straszliwie blada, uczyniła błagalny ruch ręką.

- Niech pan przestanie. Czy przyszedł mnie pan szantażować? Proszę powiedzieć, dlaczego mnie pan tak męczy? Czego pan chce za milczenie?

Barczysty mężczyzna uśmiechnął się. Schował niedbałym ruchem notes do kieszeni, sięgnął do portfela i błysnął przed oczyma Iny grubym plikiem wysokich banknotów dolarowych.

- Niechże pani nie będzie śmieszna.

Nastało długie milczenie. Mężczyzna i kobieta mierzyli się wzrokiem.

Pod tarczami osłaniającymi oczy nieznanego czaiło się chłodne szyderstwo. W oczach dziewczyny klóciły się z sobą wyraz trwogi i nienawiści.

Rozdział VI

GRA

Pierwszy przerwał milczenie mężczyzna.

Był znać świetnym i dobrze obliczającym szanse graczem, bowiem zmienił nagle taktykę i głos jego brzmiał teraz tonem łagodnej perswazji.

- Proszę się uspokoić, panno Ordeyg. Od pani tylko zależy, by pozostały dla wszystkich tajemnicą owe fakty, które zapisane są w owym notesie. Wiem, że jest pani rozsądną kobietą i że posłucha pani rady.

- Do czego pan znowu zmierza? To jest przecież niesłychane. Przychodzi pan ni stąd ni zowąd, zadaje mi pan dziwne pytania, grozi szantażem.

- Jeszcze sekunda cierpliwości, panno Ordeyg. Zaraz się pani dowie o wszystkim. Czy chciałaby pani pieniędzy? Dużo pieniędzy? Zupełna niezależność finansowa, brak jakichkolwiek trosk codziennego życia. Czy nie uśmiecha się to pani?

- To ma być propozycja?

- Tak! To będzie propozycja. I to propozycja zupełnie konkretna.

- Słucham.

- Gdyby pani zechciała wyświadczyć mi od czasu do czasu drobną usługę życiową, wszystko to, o czym mówię, byłoby możliwe.

- O jakie to przysługi chodzi?

- Rzecz nie jest trudna, trzeba trochę tylko kobiecego sprytu i odrobinę szczęścia. O szczęściu w tych rzeczach decyduje zresztą zawsze spryt.

- Zaciekawia mnie pan. Co by pan powiedział na to, gdybym domyślała się o co panu chodzi.

- Ułatwiłoby mi to moje zadanie.

- Robota, którą mi pan proponuje, będzie to robota szpiegowska.

Człowiek w czarnych okularach podniósł głowę.

- Nie myli się pani - rzekł z akcentem. - Sądzę, że będzie pani dla nas nabytkiem nader ważnym. Kobieta jest najniebezpieczniejszą z wszelkiego typu agentów wywiadu. Obok sprytu i szczęścia, po jej stronie walczy jeszcze uroda i jej kobiecość.

- Robota szpiegowska - powtórzyła Ina Ordeyg. - Przeciwno komu?

- Przeciwno komu polecimy ją pani wykonywać!...

- Polecimy? W czyim imieniu pan mówi.

- Panno Ordeyg! Zbytняя ciekawość jest niebezpieczna. Widziała pani niedawno na własne oczy, do czego prowadzi nadmiar ciekawości.

Ina Ordeyg uspokajała się z wolna.

- Czy ma pan na myśli agenta Th-113?

- To właśnie miałem na myśli.

- Ach!

Na twarz pięknej kobiety wystąpił rumieniec podniecenia:

- Teraz rozumiem już wszystko. Pan jest jednym z tych, którzy usunęli niewygodnego sobie Crandalla. Pan jest jednym z jego katów.

- Myli się pani. Mniejsza z tym.

- I pan myśli, że ja przyjmę pańską szaloną propozycję?

- Jestem tego pewny.

- Jest pan zbyt pewny siebie. Nie dam się użyć do żadnej takiej roboty.

- To źle! To bardzo źle! Będziemy wówczas musieli otworzyć oczy panu Gorzyckiemu na prawdziwą wartość pani.

Ina Ordeyg przygryzła wargi. Była w pułapce. Sidła zostały dobrze zastawione.

- Przypuśćmy - ozwała się po chwili - że przyjmuję pana propozycję - w głosie jej brzmiała ironia - propozycję, która jest zresztą tak uprzejma, że nie sposób jej odmówić. Jakąż wtedy robotę powierzyłby mi pan na pierwszy ogień?

- Bardzo prostą. Powiedziałbym nawet, że obowiązki pani nie należałyby do najprzykrzejszych.

- Czyżby?

- Mówię serio. Ja zresztą zawsze mówię serio. Co powiedziała by pani na przykład o inwigilowaniu pana Adama Gorzyckiego?

- Adama Gorzyckiego.

- Tak...

- Mego kochanka?

- Pani kochanka!

- Żądania pańskie są zdumiewające. Biję brawo.

- I...

- I zapytam pana, co zabroni mi teraz wybiec na korytarz, narobić alarmu i spowodować aresztowanie pana. Wierzy pan, że w chwilę potem udałoby mi się wydostać ów ciekawy notesik, tak, że zawarte w nim tajemnice, nie stałyby się własnością publiczną.

Ina Ordeyg skierowała się do drzwi garderoby.

Mężczyzna patrzył na nią z uśmiechem. Gdy jednak tancerka położyła rękę na klamce drzwi w ręku błysnęła lufa rewolweru.

- Ino Ordeyg! - zabrzmiał jego głos tonem rozkazu. - Proszę się obejrzeć.

Słowa te wypowiedziane były z tak sugestywną siłą, że Ina Ordeyg obejrzała się. Obejrzała się i zmartwiała.

Mężczyzna w czarnych okularach mierzył jej w głowę z browningu.

- Proszę porzucić ten głupi zamiar. Nie chcę pani wysyłać śladami Crandallla.

Ina Ordeyg posłuchała. Nie pozostawało jej nic innego, jak usłuchać. Była w zupełności w mocy tego straszego człowieka, który nie wiedział, co to znaczy nieposłuszeństwo, który nie znał słowa litość.

Nieznajomy tymczasem schował browning do kieszeni ubrania i wyjął papierosa.

Zaciągnął się kilka razy. Jakby się namyślał, co ma dalej robić.

- Pani jest lekkomyślna - zaczął znowu tonem perswazji. - Straciłem tu na rozmowie z panią zbyt wiele czasu, a widzę, że będę musiał poświęcić jeszcze słów kilka.

- Chce mnie pan zmaltrretować.

- To pani wina. Nie znoszę odruchów buntu. Nie lubię też grozić kobietom rewolwerem. Jeżeli mamy pracować razem, to proszę pamiętać, że być pani zupełnie pewny.

- Może mi pan wierzyć, że zrobię wszystko, by wyrwać się z tej sytuacji, w którą mnie pan chce wtrącić.

- Mimo to, nie uda się to pani. Mam jeszcze inne argumenty, które wybiją pani z głowy wszelką myśl o buncie.

- Proszę! Chciałabym je usłyszeć.

- Usłyszysz je pani natychmiast. Jeżeli Ina Ordeyg nie będzie chciała mnie posłuchać - argumenty moje trafią do przekonania niejakiej Wandy Iskrzyńskiej...

Ina Ordeyg spojrzała zdumiona. Więc i to wiedział? Znał jej prawdziwe nazwisko.

- Nie rozumiem, dlaczego by Wanda Iskrzyńska miała być panu bardziej powolna od Iny Ordeyg.

- Zaraz to pani wytłumaczę.

Rozdział VII

WIĘZIEŃ WYSP SOŁOWIECKICH

- Ina Ordeyg to pani pseudonim jako tancerki - mówił dalej nieznajomy. - Prawdziwe pani nazwisko brzmi Wanda Iskrzyńska. Pochodzi pani z Małopolski. Skończyła pani szkołę baletową we Lwowie. Ze Lwowa rzucił panią los do Warszawy, gdzie przebywa już pani pod nazwiskiem Iny Ordeyg. Mało osób w Warszawie zna pani prawdziwe nazwisko. Czy jest tak, jak mówię?

- Ma pan o mnie znakomite informacje. Podziwiam pana spryt.

- Dziękuję za największy komplement, jaki może spotkać osobnika mego typu. Otóż, panno Wando lub też panno Ino, jak pani woli...

- Wszystko mi jedno.

- Pani ma brata?

Twarz Iny Ordeyg okrył nagle smutek.

- Miałam brata.

- Nazywał się Jerzy. Był inżynieremchemikiem.

- Skąd pan wie o tym?

- Ja wiem bardzo dużo! Co się z nim dzieje?

- Dlaczego pan pyta, skoro i tak jest to panu pewnie wiadome?

- Co się z nim dzieje? - powtórzył tym samym tonem barczysty mężczyzna.

- Od trzech lat nie mam o nim żadnych wiadomości. Brat mój popełnił lekkomyślność i wyjechał lat temu cztery do Rosji sowieckiej, w charakterze tak zwanego specy. Był podobno bardzo zdolnym chemikiem. Z początku miałam o nim wiadomości. Potem...

- Potem?

Głos Iny Ordeyg załamał się:

- Potem wszelkie wieści ustały. Zdołałam tylko ustalić, że brat mój z czterema innymi specami został aresztowany pod zarzutem kontrrewolucji. On, który, jak to się mówi komunizował w czasach uniwersyteckich i pojechał do Rosji jako do państwa przyszłości, miał stanąć przed doraźnym trybunałem GPU1... Więcej nic nie wiem... Pewnie go rozstrzelano. W Rosji sowieckiej jest to przecież drobna formalność...

- Mniejsza z tym. Zdaje się, że zrobiła pani dobrze, nie zmuszając mnie do użycia wobec pani środków ostatecznych, jakimi są kule kalibru 6,35. Mogę pani zakomunikować wiadomość o bracie pani.

- Pan?...

- Brat pani żyje!...

- Żyje?... Jurek żyje... Panie, błagam pana niech pan mówi. Co się z mm dzieje?

- Został on skazany wówczas na karę śmierci, ułaskawiono go jednak. Przebywa teraz jako zesłaniec na wyspach Sołowieckich.

- Na Sołówkach? To straszne. To gorsze od carskiej katorgi.

- Mniejsza z tym - powtórzył już po raz trzeci w ciągu krótkiego przeciągu czasu pan w czarnych okularach. - Każdy walczy swoją bronią. Niech pani wystarczy, że brat pani żyje.

- Pan nie żartuje sobie ze mnie?

- Nie! Ja w ogóle nie znam się na żartach, panno Ordeyg, i dlatego muszę panią powiadomić, że nie mówię pani tego, co mówię, z tak zwanej dobroci serca.

Urwał i skończył myśl swoją, skandując powoli słowa.

- Gdyby mi kiedykolwiek spadł z pani winy włos z głowy, brat pani w czterdzieści osiem godzin zostanie rozstrzelany. Proszę mnie zrozumieć. Jest on zakładnikiem.

Ina Ordeyg patrzyła na nieznajomego obłąkanymi, rozszerzonymi trwogą i zdziwionymi oczyma. Zrozumiała, że ten straszny człowiek mówi prawdę, że ma w rękę wszystkie możliwe atuty, by zrobić z niej bezwolne narzędzie w swych rękach. Mniej jednak myślała teraz o tym. Los brata, którego bardzo kochała, obchodził ją stokroć więcej.

- Już go nie zobaczę nigdy... - szepnęła.

Mężczyzna spojrzał na nią badawczo. Wiedział, że opór jej został już zupełnie przełamany.

- Obiecuję pani - rzekł - że z chwilą, kiedy skończę powierzone mi zadanie i przestanę korzystać z pani usług, brat pani zostanie zupełnie ułaskawiony i będzie mógł wrócić do Polski.

Człowiek w czarnych rogowych okularach wstał i spojrzał na zegarek.

- Rozmawialiśmy nieprzyzwoicie długo. Muszę już iść. Oytam więc pani krótko: będzie pani posłuszna?

- Tak. Jak się mam porozumieć z panem?

- A zatem, chcę tymczasem, by dowiadywała się pani od Gorzyckiego o każdym szczególe śledztwa w sprawie śmierci Crandalla. Rozumie pani? Będę, jak dotąd, codziennie wieczór wpadał do Casino de Varsovie. W dniach, kiedy miałaby pani dla mnie wiadomość, proszę przysłać przez boya do stolika, w zaklejonej kopercie, kartkę z takim oto znakiem...

Nieznajomy dobył karteczki papieru i ołówek i nakreślił na papierze znak zapytania.

- Tak się nazywam - rzekł.

Od drzwi wrócił się jeszcze i położył na stole pięć dziesięciodolarowych banknotów.

- To jest zaliczka - ozwał się, patrząc na Inę dodał tonem surowej groźby:

- Proszę pamiętać! Znak Zapytania żywi, ale i zabija...

-

1 GPU (Gosudarstwiennoje Politiczeskoje Uprawlenije; Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny) - policja polityczna, zajmująca się również wywiadem i kontrwywiadem, działająca w ZSRR w latach 1922-1934.

Rozdział VIII

W EKSPRESIE GDYNIAWARSZAWA

Pociąg pośpieszny GdyniaWarszawa miał właśnie wyruszać z dworca gdańskiego w dalszą drogę w kierunku stolicy Polski.

Konduktorzy pociągu nawoływali już do zajęcia miejsc w przedziałach i zatrząskiwali z hałasem drzwi wagonów.

Porucznik Chemnicki stał w oknie wagonu i obserwował ruch panujący na dworcu.

Pociąg pośpieszny ruszył ociężale z miejsca i począł się toczyć wzdłuż peronu, gdy na peronie dworca ukazała się spóźniona pasażerka.

Mimo nawoływań i gniewnych głosów konduktorów, którzy dawali do zrozumienia spóźnionej pasażerce, że pociąg już jest w biegu i że wsiadać do niego nie można - kobieta, posiadająca za cały bagaż małą, ręczną walizeczkę, zręcznie podbiegła do stopni jednego z wagonów i wspięła się na nie.

Drzwi wagonu były jednak zatrzaśnięte i kobieta nie mogła dać sobie rady z otwarciem ich.

Traf, traf fatalny dla młodego porucznika zrządził, iż jechał on właśnie w tym wagonie, do którego usiłowała się dostać spóźniona kobieta.

Widząc jej daremne usiłowania, młody oficer pospieszył kobiecie z pomocą. Otworzył drzwi wagonu i silnym ruchem pomógł jej wejść do wnętrza.

Kobieta dyszała ciężko. Postawiła w korytarzu walizeczkę i spojrzała z wdzięcznością na oficera.

- Dziękuję panu!

- Nie ma za co, to zupełna drobnostka. Proszę, niech pani pozwoli do przedziału.

Młody oficer był sam w całym przedziale i przyszło mu na myśl, że w kobiecym towarzystwie znacznie prędzej upłynie długa podróż.

Kobieta usłuchała w milczeniu.

Młody oficer podjął jej walizkę i zaniósł do przedziału.

Gdy znaleźli się w przedziale, kobieta zdjęła płaszcz, ozdobiony futrzanym kołnierzem, i zerwała z głowy kapelusz.

Bujne, złociste włosy rozsypały się wokół jej głowy.

Młody oficer, który tak skwapliwie pośpieszył jej z pomocą w dostaniu się do pociągu, dopiero teraz miał czas się jej przypatrzeć.

Uśmiechnął się zadowolony. Kobieta była młoda i ładna.

Niebieskie oczy, purpurowe pełne wargi powleczone cieniutką warstwą pomadki, dwa rozkoszne dołeczki na policzkach i puszyste bujne włosy podobne do płynnego złota - czyż trzeba więcej powabów, by rzucić czar na młodego i romantycznie usposobionego mężczyznę.

Chemnicki zauważył przy tym, że jego nowa znajoma ubrana jest skromnie, ale gustownie.

Wypadało się przedstawić.

Porucznik Chemnicki skłonił się i wymienił swoje nazwisko.

Błękitne oczy młodej kobiety spoczęły na nim badawczym spojrzeniem. Zauważył, że oczy te były dziwnie zimne i spokojne i że pozostawały takie nawet w chwili, gdy uśmiech rozchyłał wargi młodej kobiety.

Wyciągnęła do niego rękę, małą rękę o długich arystokratycznych palcach. Zauważył obrączkę na jednym z palców.

- Mężatka! - pomyślał. - Tym lepiej.

A potem zaczęli rozmawiać. Rozmawiali tak, jak rozmawiają ludzie, którzy poznają się w pociągu i zdają sobie sprawę z tego, że znajomość ich trwa tak długo, dopóki nie dojadą do miejsca przeznaczenia.

Wówczas podadzą sobie jeszcze raz ręce i pożegnają się być może na zawsze, być może, by nie spotkać się już więcej.

Wkrótce potem porucznik Chemnicki wiedział już, że jego nowa znajoma jedzie do Warszawy, gdzie stale mieszka i że w swych prywatnych sprawach bawiła przez czas krótki w Gdańsku.

- Proszę sobie wyobrazić - mówiła młoda kobieta do porucznika Chemnickiego, że podczas mojej obecnej wizyty w Gdańsku znalazłam nieco czasu na odwiedzenie Sopotu i tamtejszego kasyna.

Na ustach oficera pojawił się uśmiech.

- Grała pani?

Skinęła głową.

- Naturalnie. Po to tylko przyjeżdża się do Sopotu.

- Jakież był rezultat tej gry?

Machnęła ręką.

- Taki, jak bywa zwykle. Najpierw miałam szalone szczęście, potem karta losu się odwróciła i przegrałam, jak na moje finanse, dość dużo.

Chemnicki wyjął papierośnicę.

- Pani pozwoli?

- Nie tylko pozwolę, ale sama zaproszę się na papierosa, palę bowiem chętnie.

Chemnicki podał jej papierośnicę, po czym wstał, by podać ognia swej towarzysze.

Jakoś tak się złożyło, że usiadł później nie na swym dawnym miejscu, lecz obok pięknej, złotowłosej pasażerki.

- Czy pani często bywa w Gdańsku? - zapytał niespodziewanie.

Zdawało mu się, jak gdyby kobieta zawahała się przez chwilę. Coś, jakby cień, przepłynęło po jej twarzy, a długie, lekko przyciemnione rzęsy osłoniły błękit oczu.

- Owszem, dość często.

Potem, jakby chcąc uniknąć ewentualnych pytań, zmieniła szybko temat rozmowy, wracając do swej przegranej w kasynie w Sopocie.

- Czy pan gra w ruletę?

Potrząsnął głową.

- Nie, proszę pani. Nie uprawiam żadnych hazardowych gier. Zresztą nie mam najmniejszego szczęścia w grze. Przegrywam zawsze i stale.

Uśmiechnęła się zalotnie.

- Dopisuje więc panu szczęście w miłości - odparła, obejmując spojrzeniem swych błękitnych oczu jego dorodną postać i twarz, o rysach prawie jeszcze młodzieńczych.

Wszedł konduktor. Krótka kontrola biletów. Ręka podniesiona do czapki.

- Dziękuję państwu!

Pociąg przedzierał się przez mroki nocy, bijąc żółtym światłem okien wagonów, podobny do fosforyzującej gąsienicy.

Porucznik Chemnicki wstał i zasłonił firanki u drzwi.

- Czy ma pani ochotę się przedrzemać?

- Jeszcze wielki czas. Pogadamy jeszcze trochę. Co prawda mogliby lepiej opalać wagony.

Zapewne dlatego, że było jej chłodno, narzuciła płaszcz na ramiona i przytuliła się lekko do porucznika.

Owionął go delikatny zapach wytwornych, drażniących zmysły, perfum.

Mimo zapowiedzi gadania jeszcze trochę, rozmowa urwała się nagle. Chemnicki daleki był od przerywania tego milczenia.

Ręka jego wykonała jakiś chytry manewr, w następstwie którego objął młodą kobietę i silniej przyciągnął do siebie.

Nie zareagowała na ten ruch zupełnie, jakby go nie zauważyła.

- Ta pani szuka najwidoczniej jakiejś małej przygody - pomyślał młody oficer, czując, że krew zaczyna mu żywiej pulsować w skroniach.

Kobieta tymczasem dopaliła papierosa i odrzuciła niedopałek. Przez długą chwilę siedziała przytulona do oficera i z głową zwróconą w kierunku okna przedziału patrzyła w mrok nocy.

Naraz szybko odwróciła głowę, obracając się twarzą do Chemnickiego.

Oczy jej przybrały jakiś szczególny wyraz. Była w nich odrobina serdeczności zmieszanej z ironią...

- No i cóż, panie poruczniku? - odezwała się cichym, kuszącym głosem, nadając nieopisany akcent dwu ostatnim wyrazom.

Ton i akcenty tych niewinnych słów były wyraźną prowokacją, były rzuceniem wyzwania.

Chemnicki wiedział, jak odpowiedzieć na to wyzwanie.

Usta jego zbliżyły się nagle do jej twarzy, głodne pocałunków. Przygoda była zupełnie niespodziewana i tym większy miała w sobie urok.

Młody porucznik pomylił się jednak bardzo, gdy sądził, że nie natrafi na opór.

Gdy usta jego miały już spaść na jej wargi, odwróciła znowu szybko głowę, wybuchając jakimś zduszonym, urywanym śmiechem. Usta jego musnęły tylko jej włosy podobne do płynnego złota.

Włosy te miały zapach upajający. Chemnickiego przebiegł dreszcz. Silnym ruchem przegiął kobietę przez ramię.

Stawiała opór w dalszym ciągu. Opór ten podniecał go. Była dla niego w tej chwili najpiękniejszą, najbardziej pożądaną z kobiet.

Stracił pamięć o tym, gdzie się znajduje, zapomniał o całym świecie, zapomniał, że nie zna nawet imienia kobiety, której ust szukał teraz drapieżnie

Twarz jej znalazła się znowu tuż obok jego twarzy. Na krótki moment ujrzał jej oczy, których nieskalany błękit zmętniał nagie.

Usta jego spadły drapieżnie na wilgotne, pełne wargi nieznajomej.

Wargi jej zacisnęły się zrazu - w ostatnim oporze, po czym, pod pieczęcią płonących, głodnych ust mężczyzny rozchyliły się znowu bezwładnie.

Chemnicki uczył, że sprężone w ruchu samoobrony ciało kobiety zaczyna bezwładnie ciążyć na jego ramieniu.

Już nie tylko pozwalała się całować z głową przegiętą w tył, z przymkniętymi oczyma,

lecz poczęła zrazu nieśmiało, potem coraz goręcej i namiętniej oddawać pocałunki.

W półmroku panującym w przedziale wagonu Chemnicki widział jej delikatną twarz, która przybierała wyraz jakiejś bolesnej rozkoszy.

Pocałunki ich stawały się coraz gorętsze, coraz dłuższe, aż do utraty świadomości, aż do utraty tchu.

Odsunęła go naraz ruchem zdecydowanym i szybkim. Rozszerzonymi oczyma wpiła się w jego czarne źrenice.

- Kto ty jesteś? - błagał nerwowym, rwącym się głosem, okrywając pocałunkami jej rękę.

Jednym ruchem białej wypielęgnowanej dłoni odrzuciła w tył niesforne pukle włosów, które wzburzone opadały jej na czoło.

Potem położyła palec na ustach.

- Po co pytasz o to? Czy to nie wszystko jedno?

Istotnie było to przecież wszystko jedno. Było to przecież zupełnie wszystko jedno, bowiem za godzin kilka po przyjeździe do Warszawy, mieli się z sobą pożegnać i stać się dla siebie z powrotem tak obcy, jak obcy byli dla siebie jeszcze przed dwiema godzinami.

Było to wszystko jedno, a jednak nalegał dalej, prosząc:

- Powiedz mi, jak ci na imię?

Wydawało mu się, jakby namyślała się przez chwilę.

- Możesz mnie nazywać jak chcesz. A jak ja mam nazywać ciebie?

- Nazywają mnie Jerzy.

Uśmiechnęła się:

- Jerzy? To ładne imię.

W uśmiechu jej wyczytał zachętę.

Usta ich złączyły się znów w pocałunku, pełnym niepoohamowanej namiętności, namiętności tym bardziej głodnej, iż świadomej, że policzone są jej minuty i godziny.

Pociąg pośpieszny jak wichur przelatywał przez jakieś jasno oświetlone stacje przerzucany świadomą ręką zwrotniczych, przeskakiwał z łomotem z toru na tor, z szyn na szyny - ale oni zapomnieli o wszystkim. Przestała dla nich istnieć przestrzeń, przestał istnieć czas.

Ręka mężczyzny spoczęła na wycięciu bluzki kobiety. Drżące palce poczęły odpinać odporne guziczki bluzki.

Szarpnęła się w tył.

- Nie!... Nie!... Nie tutaj!...

Nie odpowiedział nic, a potem między jednym, a drugim pocałunkiem, w chwili gdy ręka jego spoczęła drapieżnie na jej pełnej piersi, szeptał urywane słowa o tym, że jest cudna i śliczna, i o tym, że ją kocha..

Oczy ich przesłonił krwawy obłok namiętności i pożądania, które zerwało już wszystkie tamy.

* * *

Blady świt sączył się przez niedociągnięte firanki do wnętrza przedziału kolejowego.

Chemnicki zgasił dopalającego się papierosa i spojrzał na młodą kobietę.

Spała. Oddychała równo i spokojnie, a twarz jej płonąca jeszcze od jego pocałunków, otoczona aureolą złotych włosów, miała wygląd prawie dziecinny.

Pociąg pośpieszny minął już Łowicz, zaledwie pół godziny drogi dzieliło ich od Warszawy i od - rozstania.

Chemnicki daleki był jednak od uwierzenia, że rozstanie to nastąpi z chwilą, gdy ekspres Gdynia-Warszawa wtoczy się na dworzec stolicy.

Pochylił się nad śpiącą i zbudził ją delikatnym pocałunkiem.

Przeciągnęła się i otworzyła oczy, okryte jeszcze mgłą snu.

- Co to? A to ty... to pan.

- Dojeżdżamy do Warszawy.

- To dobrze.

Mówiła krótko i w głosie jej czaił się jakby ton niechęci.

W przedziale panował chłód jesiennego poranku. Na polach, które mijał pociąg, bieleły się warstwy szronu.

Poruszając się powoli, jakby chcąc opanować w ten sposób swe nerwy, natarła swą twarz i ręce wodą kolońską. Owionął go znów drażniący zapach chypre'u.

Włożyła kapelusz i płaszcz i spojrzała na niego.

Siedział bez ruchu i wodził za nią oczyma. Wiedział, że musi między nimi paść teraz jakieś słowo i czekał, chcąc, by wypowiedziała je ona.

Podeszła do niego i położyła mu na ramionach drobne ręce, obciążone już rękawiczkami.

- Proszę mnie jeszcze raz pocałować! Na pożegnanie! - ozwała się swym niskim głosem.

Usłuchał w milczeniu i wargi ich złączyły się raz jeszcze w długim, bardzo długim pocałunku.

- Zobaczę panią jeszcze. Dlatego nie mówię żegnaj, lecz do widzenia.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, nie zobaczy mnie już pan nigdy.

- Dlaczego? To nie ma żadnego sensu. Ja nie mogę w to uwierzyć - prosił dobierając pośpiesznie słów.

- Nasza znajomość nie może się skończyć w momencie, kiedy się dopiero zaczęła.

- A jednak skończy się.

- Pani jest Nielitościwa.

- Być może!

Pochylił się nad jej ręką.

- Błagam! Pani nazwisko?

- Nie!

- Adres?

- Nie! - odpowiedziała tym samym głosem.

- A więc przynajmniej numer telefonu - prosił dalej, starając się przeforsować je upór.

- Nie powiem panu ani mego imienia, ani nazwiska, ani adresu, ani numeru telefonu.

Proszę mnie nie nudzić, poruczniku.

- A więc proszę zrobić dla mnie co innego. Zobaczymy się w Warszawie - jutro, pojutrze, za tydzień. Kiedy pani każe. Miejsce tego spotkania oznaczy pani sama. Błagam panią, niech pani mnie usłucha.

W oczach jej pojawiły się jakieś dziwne błyski. Było to może zadowolenie z faktu, iż w czasie owych kilku krótkich godzin, jakie spędzili z sobą w pociągu, w czasie owych godzin pożądania, szalu i namiętności - czarem swej urody opętała tak owego młodego, przystojnego oficera, że było mu teraz trudno rozstać się z nią, jak trudno jest się nam rozstać z osobą, z którą łączy nas wiele przeżyć i wiele uczuć.

- Panie poruczniku! - zaczęła mówić łagodniejszym już tonem. - Proszę, niech mnie pan posłucha i niech pan nie próbuje przedłużać swej znajomości ze mną. To nie ma żadnego, ale to żadnego sensu. W ciągu tej naszej krótkiej znajomości otrzymał pan od młodej i - powiedzmy - niebrzydkiej kobiety wszystko, co może od kobiety otrzymać mężczyzna. Otrzymał pan mnie całą... Proszę mi wierzyć, iż byli tacy, którzy starali się długo i uporczywie, by zdobyć moje względy i mimo to nie zdobyli ich. Miał pan szczęście. Nie wiem, jak i dlaczego to się stało. Nie będziemy o tym mówić. Niech panu to wystarczy. Niech pan nie próbuje przeciągać sytuacji... Chce pan, byśmy widywali się w Warszawie, by znajomość nasza trwała dalej... Po prostu bym została nadal pańską kochanką... To by już jednak nie miało tego uroku...

Podeszła znowu do niego.

- Proszę więc, niech pan zachowa pamięć o mnie jako miłe wspomnienie niespodziewanie przeżytej przygody. Sądzę, że będzie pan ją sobie przypominał przynajmniej tyle razy, ile razy będzie udawał się pan do Gdyni... Był pan bardzo miły, Jerzy.

- I nie spotkamy się już nigdy?

- Nigdy! - uśmiechnęła się do swych myśli. - Nie wiem. Być może spotkamy się jeszcze. Może przypadkowo... może...

Teraz on uśmiechnął się z kolei.

- Czy wie pani, że gdybym się uparł, mógłbym wiedzieć o pani wszystko, czego bym pragnął.

- A to w jaki sposób? - spytała wyzywająco.

- W bardzo prosty. Jestem oficerem Drugiego Oddziału... W tych warunkach nie przysłoby mi trudno...

- Nie przysłoby panu trudno stwierdzić, kim jestem, gdzie mieszkam, jak się nazywam i tak dalej?

- Tak!

Patrzyła na niego w milczeniu. Wiadomość, że pracował w wywiadzie wojskowym zainteresowała ją najwyraźniej.

- Straszny z pana człowiek - ozwała się wreszcie. - Może pan to wszystko zrobić. Nie przeczę. Tylko, że nie będzie to postępowanie dżentelmena.

Wyrazista twarz oficera drgnęła gniewem.

- Toteż nie zrobię tego, może być pani pewna.

Błękitne oczy kobiety spojrzały na niego z ironią.

- Ja byłam tego pewna - odparła tonem, który urywał dyskusję.

Pociąg pośpieszny GdyniaWarszawa wolno i majestatycznie wjechał na dworzec.

Tłum bagażowych rzucił się do wagonów.

Młoda kobieta podniosła się z siedzenia i wskazała jednemu z bagażowych swą walizkę.

- Do taksówki - rozkazała krótko.

Następnie zwróciła się do porucznika:

- Do widzenia panu.

- Do widzenia! - odparł, podając jej rękę.

Rozstali się zimniej, niż zamierzali.

Rozdział IX

GOŚĆ NIEPROSZONY

Pierwszym człowiekiem, który odkrył tajemnicę Znak Zapytania był agent Intelligence Service, nieszczęsny Roger Crandall, ukrywający się pod pseudonimem Th-113. Roger Crandall przypłacił życiem swój spryt i zdolności wysłany tam, skąd się już nie wraca, zanim zdołał osobom niepowołanym odsłonić rąbek nieprzeniknionej zagadki.

Drugą osobą, której Znak Zapytania zjawiał się w postaci barczystego pana, noszącego czarne rogowe okulary, była Ina Ordeyg, tancerka, solistka, w życiu prywatnym kochanka szefa policji Adama Gorzyckiego. Trzecią z kolei osobą na którą Znak Zapytania zwrócił uwagę, był niejaki Olgierd Gryf.

Olgierd Gryf był detektywem prywatnym, jego małe biuro wywiadowcze mieściło się na pierwszym piętrze w jednym z domów przy ulicy Chmielnej.

Na biletach wizytowych detektywa przed nazwiskiem Olgierd Gryf widniały literki dr. Olgierd Gryf bowiem miał prawo do noszenia tytułu doktora. Nie był jednak Olgierd Gryf ani doktorem medycyny, ani doktorem praw, Właściciel i dyrektor małego, ale sprawnie działającego biura wywiadowczego był po prostu doktorem chemii i to podobno doktorem nie było jakim, powszechna bowiem istniała opinia, że Gryf był znakomitym chemikiem i że ze szczególnym zamiłowaniem stosował naukę chemii do zagadnień kryminalnych we wszystkich wypadkach, kiedy tylko dało się ją zastosować.

Olgierd Gryf z początku pracował w policji, praca ta jednak widocznie nie dawała mu zadowolenia, skoro pewnego pięknego dnia wniósł równocześnie dwa podania, jedno o dymisję z zajmowanego stanowiska, drugie o udzielenie mu koncesji na otwarcie prywatnego biura detektywów Sfinks.

Koncesję otrzymał i wkrótce potrafił tek niepopularnej instytucji, jaką jest w Polsce prywatne biuro detektywów, wyrobić markę pierwszorzędą. Sfinks pracował i to pracował tego.

Musieli to przyznać nawet dawni koledzy Gryfa - koledzy z policji - a wiadomo przecież, że odkąd powstało na świecie pierwsze prywatne biuro detektywów, między detektywemammatorem, a detektywemzawodowcem zawsze istniała, istnieje i istnieć będzie zawiść.

Specjalnością biura wywiadowczego Sfinks, jak wieściły ogłoszenia tej instytucji w pismach codziennych, były sprawy dżentelmeńskie. Toteż biuro detektywów Gryfa słynące z

dyskrecji i wielkiego talentu szefa oraz współpracowników, załatwiała przeważnie sprawy natury osobistej, nie brakło jednak wypadków, kiedy były aspirant policji brał się do rzeczy większych, by i w nich odnosić sukces za sukcesem.

Olgierd Gryf był figurą bardzo charakterystyczną. Nie miał więcej nad lat czterdzieści, był wzrostu średniego, szczupły, o nieregularnych rysach twarzy i haczykowatym nosie. Oczy miał żywe i bystre, a jakby w przeciwieństwie do nich, ruchy bardzo spokojne i opanowane. Włosy o charakterystycznym szarym odcieniu miał stale rozrzucone w nieładzie.

Zdawał się być człowiekiem słabym, biada jednak była śmiałkowi, który wprowadzony w błąd jego drobną figurą ośmielił się go zaczepić.

Odważył się kiedyś na to jakiś zawiany drab i wszczął z nim nocną awanturę w Alejach Jerozolimskich. W rezultacie wysportowany i znakomicie znający boks detektyw znokautował go tak solidnie, że pijak ocknął się dopiero w komisariacie i nie mógł w żaden sposób doliczyć się swych zębów. Nie doliczył się też ich nigdy, przynajmniej w tej ilości, co przed awanturą.

Owego dnia, kiedy to Znak Zapytania stanął na drodze życia detektywa Olgierda Gryfa, agent o godzinie dziesiątej wieczór opuścił lokal jednego z kinoteatrów warszawskich i przez chwilę stał na ulicy, namyślając się, co robić z resztą wieczoru.

W czasie owej chwili rozważył i odrzucił iks planów mniej lub bardziej interesującego spędzenia wieczoru. Postanowił wracać do domu, że zaś mieszkał dość daleko od śródmieścia, w okolicach placu Unii Lubelskiej, skinął na przejeżdżającą taksówkę, zajął w niej miejsce i rzucił szoferowi swój adres.

Gdy samochód zatrzymał się przed domem, Gryf, płacąc za kurs, zauważył z wielkim zdziwieniem, że okna jego mieszkania były oświetlone.

Olgierd Gryf był kawalerem i mieszkał samotnie, nic więc dziwnego, że oświetlone okna jego mieszkania wzbudziły zdziwienie.

Zdziwienie to stało się jeszcze bardziej usprawiedliwione, skoro detektyw przypomniał sobie, że właśnie rano służący prosił go o zwolnienie na wieczór, miał bowiem do załatwienia jakieś sprawy bardzo osobistej natury.

W tych warunkach Olgierd Gryf, jako człowiek bystry w swym fachu, zorientował się natychmiast, że dwie tylko zachodzą tu ewentualności: albo służący zmienił swój zamiar i pozostawał w mieszkaniu, albo w mieszkaniu bawili jacyś niepowołani goście.

Ta druga ewentualność wydała mu się bardziej prawdopodobna.

Ręka Olgierda spoczęła na kieszeni, w której zwykle nosił rewolwer - niezawodną piątkę belgijską i detektyw zaklął naraz pod nosem.

Kieszeń była pusta.

Agent prywatny przypomniał sobie, iż zostawił rewolwer w szufladzie nocnego stolika.

Gryf zachmurzył się na chwilę, lecz zaraz twarz jego przybrała wyraz spokojnej pewności.

- Cóż, u diabła! Dam sobie radę.

Wszedł do bramy domu i jął się wspinać po schodach. Zdjął kapelusz i przeciągnął ręką po swych bujnych włosach.

- Ciekaw jestem, czy to jeden złodziej, czy będzie ich więcej? Tego rodzaju wizyty w mieszkaniu prywatnego detektywa są przecież kuszeniem losu.

Staął przed drzwiami swego mieszkania. Był przekonany, że zamek zostanie uszkodzony, mylił się jednak w zupełności.

Detektyw dziwił się coraz bardziej.

- Czyżby w mieszkaniu nie było nikogo? A może służący, wychodząc z domu, zapomniał po prostu zgasić światło w pokojach.

Cicho i ostrożnie przekręcił klucz w zatrzasku. Zatrzask działał sprawnie i bez zgrzytu, jakby był świeżo naoliwiony.

Drzwi z przedpokoju do dalszych pokoi były zamknięte.

Wszystko to wskazywało, że, o ile był ktoś w mieszkaniu, nie byli to zwykli złodzieje.

Złodziej byłby na pewno zostawił drzwi otwarte, by usłyszeć każdy podejrzany szelest u drzwi wejściowych.

Olgierd Gryf najspokojniej w świecie zapalił światło w przedpokoju, zdjął palto i przejrzał się w lustrze.

Zaczynało go to wszystko bawić.

Podszedł do drzwi wiodących do dalszych pokoi i otworzył je gwałtownie. W dwu ostatnich pokojach paliło się światło. Właśnie to światło bijące z okien, które dojrzał na ulicy, gdy wysiadał z taksówki.

Poza tym w mieszkaniu panowała cisza, jak gdyby nikt się w nim nie znajdował.

- Oczywiście! mruknął do siebie Gryf. - Józef zapomniał zgasić światło w pokojach. - Widzę, że prędzej go oddalę, niż przestanie za spódniczkami latać i zapominać o całym świecie.

Przeszedł przez pokój jadalny i przez pracownię i stanął na progu małego saloniku podobnego do bombonierki. Detektyw lubił ładnie mieszkać i umiał sobie urządzać mieszkanie.

Staął w progu saloniku i naraz osłupiał ze zdziwienia.

Na szerokiej otomanie, w niedbałej pozycji, wygodnie rozpostarta, siedziała... młoda kobieta.

Zdawała się być w zupełności pogrążona w arcyważnej czynności palenia papierosa.

Na małym stoliczku, stojącym tuż obok otomany, stała butelka wina i dwa kieliszki, oraz talerzyk z biszkoptami.

Jeden z kieliszków był do połowy napełniony winem.

Na widok właściciela mieszkania młoda kobieta uniosła się nieco i strzepnęła popiół z papierosa.

Na ustach jej pojawił się uśmiech.

Chociaż zdumienie Gryfa nie przeminęło jeszcze, detektyw zdołał stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że kobieta była bardzo piękna.

Pochylił się w głębokim, nieco ironicznym ukłonie.

- Pani wybaczy, że... przeszkadzam.

Nie zastanawiał się wcale nad tym, jaką otrzyma odpowiedź na swe słowa. Odpowiedź ta przyszła natychmiast i była zadziwiająca.

- Nie przeszkadza mi pan wcale. Przeciwnie, czekałam na pana, aż zbyt długo.

Gdyby przed pół godziną powiedział ktoś Gryfowi, że będą mu mówić, że nikomu nie przeszkadza w swym własnym mieszkaniu, byłby się temu komuś roześmiał w twarz. A teraz oto znajdował się w tej sytuacji.

Kobieta, którą widział po raz pierwszy w życiu, kobieta, która w tajemniczy sposób dostała się do jego mieszkania, oznajmiła mu najspokojniej w świecie, że jej nie przeszkadza i że, przeciwnie, jest jej bardzo przyjemnie, że nie wrócił później do domu.

Gryf był zdetonowany.

- Proszę mi wybaczyć, że... - zaczął znowu i utknął w połowie zdania.

Patrzyła na niego ze szczerym rozbawieniem w wielkich niebieskich oczach.

- Widzę, że mozoli się pan nad jakąś zagadką?

- Istotnie. Nie mogę sobie wytłumaczyć...

- Mojej obecności tutaj.

- Zgadła pani w zupełności.

- A ja w zupełności się panu nie dziwię. Prosiłabym pana, by pan zajął miejsce, gdyby nie to, że propozycja taka w stosunku do gospodarza mieszkania byłaby jawną bezczelnością.

- O proszę, niech się pani nie krępuje - uśmiechnął się, odzyskując zwykłą pewność siebie i siadając w fotelu.

Przez długą chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. W kobiecie, która siedziała naprzeciwko detektywa i patrzyła mu w oczy z uśmiechem zaprawionym ironią, porucznik Jerzy Chemnicki byłby poznał bez trudu swą znajomą z pociągu pośpiesznego GdyniaWarszawa.

Pierwsza przerwała milczenie kobieta. Leniwym ruchem podsunęła Olgierdowi Gryfowi etui z papierosami.

- O ile wiem, pali pan dość dużo.

Zapalił papierosa i otoczył się gęstym kłębem dymu.

- Zastanawiam się dotąd, jak pani dostała się tutaj?

- W bardzo prosty sposób. Czyż pan się go nie domyśla?

Przecząco poruszył głową.

- Nie...

- żartuje pan. Dostałam się tutaj w sposób naprawdę prosty. Przy pomocy podrobionego klucza od zatrasku, klucza, który mam w torebce.

- A więc metodą włamywaczów? Nie bardzo to ładnie, gdy rzeczy takie robi kobieta i to kobieta...

- Chciał pan powiedzieć piękna - roześmiała się. - Dziękuję za komplement. A teraz chcę panu wyjaśnić, że dopiero z dalszej rozmowy ze mną zrozumie pan, dlaczego tak zrobiłam... Czy nalać panu wina?

- Skąd pani wzięła to wino?

- Z tamtej szafki, z drugiego pokoju. Przyznam się panu, że ta malaga jest pierwszorzędnej marki. Lubię mężczyzn, którzy piją dobre wina...

Pochylił głowę.

- Teraz ja dziękuję za komplement. Mówiąc jednak nawiasem, gospodarowała pani nie najgorzej w tym mieszkaniu w czasie mej nieobecności.

- O, mój panie. Musiałam przecież skrócić sobie chwilę oczekiwania na pana...

Gryf niezadowolony bębnił palcami po blacie stolika.

- Pani może być bardzo miłą i ładną kobietą - rzekł - ale mimo to mam do pani żal, za ten sposób zawierania znajomości ze mną... Nie mam żadnej gwarancji, czy nie przewróciła pani papierów znajdujących się w biurku.

- Nie ma pan gwarancji, czy nie przewróciłam panu papierów znajdujących się w biurku - odparła tym samym tonem. - Muszę jednak zaznaczyć - dodała natychmiast, poważniejąc nagle - że trzeba mieć jakiś cel przewracania w czyimś biurku. Jak się panu zdaje, jaki ja mogłabym mieć cel w zrobieniu tego.

- Nie wiem. Nie znam dotąd przecież celu pani dziwacznej wizyty? - odparł detektyw.

Młoda kobieta wstała nagle i przeciągnęła się swobodnie.

- Dziwny z pana człowiek, panie doktorze Gryf - rzekła, przesuając rękami po sukni, która uwydatniała jej pyszną figurę. - Proszę sobie wyobrazić coś bardziej romantycznego nad tę sytuację. Wraca pan w nocy do domu i zastaje pan w mieszkaniu kobietę, jak pan sam mówił, kobietę ładną i powabną... Na stoliku butelka dobrego starego wina... Miła atmosfera wytwornego i zacisznego saloniku. Każdy z mężczyzn w tej sytuacji zająłby się w pierwszym rzędzie ową kobietą, jako kobietą, potem dopiero pytałby z jakim deszczem spadła do jego mieszkania, czy jest złodziejką, czy... wariatką. Pan zaś jest niezadowolony i zaczyna prowadzić badanie, jak inkwizytor.

- Chyba jednak nie przyszła tu pani dla flirtu?

- O, tak! Ma pan rację. Przyszłam tu w interesie... Może jednak, zanim zaczniemy o tym interesie mówić, powie mi pan najpierw, co by pan ze mną zrobił, gdybym była złodziejką... zwyczajną złodziejką...

Gryf wstał i podszedł do kobiety.

- Pani nie wie, co bym zrobił? I ja też nie bardzo wiem. Prawdopodobnie oddałbym panią bez większych ceremonii w ręce policji.

- A cóżby na to powiedział Olgierd Gryf, dżentelmen?

- Dżentelmen? Wobec kogo? Wobec złodziejki?

- Kobieta zawsze jest kobietą, nawet gdy jest złodziejką i morderczynią.

- Dziękuję pani za naukę. Człowiek istotnie uczy się do śmierci.

Olgierd Gryf spojrzał na zegarek.

- Robi się późno. Mam zwyczaj kłaść się spać dość wcześnie, ponieważ wstaję ze świtem. Pani mówiła mi, że ma do mnie jakiś interes?

Patrzyła na niego przez chwilę szeroko otwartymi oczyma, po czym z pasją usiadła na dawnym miejscu.

- Pan jest zabójczy. Chce pan mówić o interesach? Dobrze będziemy zatem o nich mówili.

- Tak będzie najlepiej.

Kobieta namyślała się przez dłuższą chwilę, jakby wahając się, jaką taktykę obrać wobec tego dziwnego człowieka, który, jak się już przekonała, potrafił być silnym i świadomym swego celu przeciwnikiem.

Gryf ani na chwilę nie próbował względami kurtuazji zatrzeć faktu, iż był niezadowolony z tak niezwyklej wizyty tajemniczej kobiety.

Dążył, mimo wszelkich prób skierowania rozmowy na inne tory, do wyjaśnienia sprawy zasadniczej, co sprowadziło ją do jego mieszkania o tak późnej porze i w tak niecodziennych okolicznościach.

Olgierd Gryf podparł brodę pięścią - była to jego ulubiona poza - i patrzył spokojnie na milczącą kobietę, nie próbując w zupełności ułatwić jej zadania, które, jak sądził, nie musiało należeć do łatwych.

- Panie Gryf! - ozwała się wreszcie. - Proszę, niech mi pan przyrzeknie, że wysłucha mnie pan spokojnie do końca.

- Sądzę, że będzie to błędna metoda. Będzie o wiele lepiej, jeżeli rzucę w trakcie pani zwierzeń - to tu, to tam - pytanie, które przyspieszy wyjaśnienie celu pani wizyty.

- Niech i tak będzie. Widzę, że jest pan tak uparty, że nie dojdę z panem do ładu.

Usiadła wygodniej i założyła nogę na nogę, odsłaniając wysoko zgrabną łydkę, obciążoną jedwabną pończoszką.

- Pan jest podobno przyjacielem niejakiego pana Adama Gorzyckiego?

- Przyjacielem? To absolutnie zbyt wielkie słowo w tym wypadku. Jestem po prostu jego znajomym.

- A więc jest pan znajomym pana Gorzyckiego. To pięknie. Niech mi pan powie, czy przez przyjaźń, czy z ciekawości zainteresował się pan śmiercią Rogera Crandalla, która nastąpiła w mieszkaniu Gorzyckiego?

- Wypadek ten interesował mnie przez prostą zawodową ciekawość.

Kobieta pokręciła głową.

- Pan jest bardzo zdolnym człowiekiem, panie Gryf. Pan zna również wypadki, które zaszły w hotelu Atlantis owej nocy, kiedy Roger Crandall?...

Olgierd Gryf wstał energicznie. Sprawa zaczynała być interesująca. Uczuł lekkie podniecenie, jak zawsze w momentach, kiedy coś zaabsorbowało jego żywy umysł.

- Łaskawa pani! - rzekł. - Nazywam panią łaskawą, ponieważ nie chciała mi pani wymienić swego imienia, które jest pewnie tak powabne, jak jego właścicielka. Otóż, łaskawa pani, zadaje mi dotąd pytania w sprawach, o których jest doskonale poinformowana i pytania te są raczej stwierdzeniem faktów. Zagram z panią w otwarte karty, chociaż jest to najfałszywsza gra, jeżeli partnerką jest kobieta. Wiem wszystko, co zaszło w hotelu Atlantis owej nocy, kiedy w mieszkaniu Gorzyckiego agent Intelligence Service... Th-113 padł ofiarą podrzuconej mu trucizny.

Nieznamoma przymrużyła swe pyszne oczy.

- Cieszę się, że zaczyna mi pan ułatwiać zadanie. Wie pan też zapewne, co unieśli z

pokoju Crandalla trzech zagadkowi, czarno ubrani panowie.

- Wiem! Raport Crandalla! Ostatni raport! Raport podobno rewelacyjny.

- Otóż to. To jest wszystko, co pan wie. Teraz powiem panu coś, o czym pan nie wiedział do tej chwili.

Rozdział X

PORAŻKA OLGIERDA GRYFA

Piękna nieznajoma pochyliła się nad stoliczkiem i napełniła winem kieliszki.

- Nie chciałabym popełniać nowego nietaktu, częstując pana jego własnym winem. Rozmowa jednak będzie długa i być może dość burzliwa. Kieliszek wina nie zaszkodzi nam w żadnym wypadku.

Patrzyła na niego z zagadkowym uśmiechem na pełnych kuszących wargach. Pod wpływem tego spojrzenia stalowy wzrok oczu Gryfa złagodniał nieco, a twarz straciła maskę oficjalności. Ostatecznie ów nocny gość był kobietą i to nad wyraz kuszącą kobietą.

- Niech pani mówi dalej - ozwał się bardziej miękkim tonem, sięgając po kieliszek.

- Nie wiem, czy pan wie, a raczej wie pan z pewnością, że Roger Crandall był sprytniejszy, niż się wszystkim zdawało. Raport miał kopię.

Gryf uczynił nagły ruch ręką.

- Pani pozwoli, że jej przerwę. Teraz ja zadam pani kilka pytań.

- Bardzo pana proszę.

- Raport Crandalla został wykradzony z jego pokoju w hotelu Atlantis ponieważ zawierał rewelacyjne wiadomości o pewnej tajemniczej organizacji. Czy tak?

- Powiedzmy...

- A zatem tak jest, jak myślałem. Raport ów został wykradzony, by nie zdemaskował on pewnych kroków organizacji przed władzami angielskiego wywiadu. Potakuje pani, to bardzo dobrze. Idźmy teraz dalej. Roger Crandall został otruty, by zamilkł na wieki, by nie zdradził tajemnicy, którą posiadał raczej przypadkowo.

- Nie myli się pan.

- I oto obecnie przychodzi pani do mnie i oznajmia mi, że istnieje kopia owego raportu Crandalla.

- Tak!

- Tym samym pani daje mi do zrozumienia, że pozostaje na usługach owej organizacji.

- Myśli pan bardzo logicznie. Zawsze miałam głębokie przekonanie, że jest pan człowiekiem ogromnie zdolnym.

- Cieszy mnie, iż myśli pani o mnie tak pochlebnie. Ja zaś myślę, że pani przyznanie się do tego, jest bardzo dla mnie cenne. Czy nie sądzi pani, że mój znajomy, pan Adam Gorzycki, mój przyjaciel, jak się pani wyraziła, byłby bardzo zadowolony, gdyby mógł

pomówić z panią.

Twarz kobiety spoważniała nagle. Wzrok jej stał się zarazem chłodny i czujny.

- Doktorze Gryf - zapytała, wstając - czyżby pan pragnął ułatwić mi tę rozmowę.

- Uważać to będę za swój obowiązek.

- Naprawdę? I nie zapyta mnie pan wpierw, po co przyszedłam do pana, nie zainteresuje się pan, panie detektywie, jaki związek ma z pana osobą istnienie owej kopii raportu Crandalla?

- Będziemy panią o to pytali, ale w nieco większym gronie. Mam nadzieję, że będzie pani wówczas równie rozkoszną i miłą towarzyszką, jak obecnie.

Nieznajoma ruszyła ramionami.

- Co pan ma zamiar uczynić, doktorze Gryf? - zapytała, krzyżując ręce na piersiach.

Twarz prywatnego detektywa była niewzruszona. W tej chwili nie zwracał już najmniejszej uwagi na to, że ma przed sobą kobietę. Wiedział tylko, że musi spełnić swój obowiązek, że skoro może się przyczynić do rozwiązania zagadki zwanej sprawą Crandalla, powinien to uczynić. W młodej i pięknej kobiecie, która stała teraz naprzeciw niego i patrzyła nań badawczo, widział jedynie przeciwnika, którego musi pokonać i któremu musi wydrzeć tajemnicę.

- Obawiam się - rzekł - że przeliczyła się pani ogromnie, rozpoczynając grę tak ryzykowną. Ze mną takich partii się nie wygrywa. O, proszę, niech pani nie próbuje prosić mnie o jakiegokolwiek względy...

- Prosić? - przerwała mu z chłodną ironią. - Prosić?... Nie, panie doktorze Gryf, ja pana nie będę prosiła. Proszę tylko o powiadomienie mnie, co pan zamierza zrobić?

- Zatelefonuję do urzędu śledczego i do naczelnika Gorzyckiego.

Usiadła z powrotem i sięgnęła po nowego papierosa.

- Proszę. Niech pan to uczyni.

Nie spuszczać z niej oka, podszedł do telefonu umieszczonego tuż u drzwi salonu.

Podniósł słuchawkę i czekał przez chwilę.

Stacja nie zgłaszała się.

- Po co wdała się pani w tę głupią historię? - zapytał łagodniejszym tonem, uderzając w widelki. - Zrobiła pani złą przysługę organizacji, której pani służy. Weszła pani sama - proszę mi wybaczyć zbyt dumne porównanie - do jaskini lwa i naraziła pani na zdemaskowanie tych, którym pani służy.

- Posądza mnie pan o niedoświadczenie. Jak dotąd zna pan tylko jedno słowo: organizacja. Jaka? Dla jakiego celu stworzona? O co w ogóle tej organizacji chodzi? Tego

pan nie wie.

Uderzył powtórnie w widelki.

- Będę o tym wiedział niedługo. Pani nas objaśni. Trzymam w ręku nitkę, która polskie władze śledcze doprowadzi do kłębka.

- Ja jestem, zdaniem pana, tą nitką?...

- Tak... Cóż jest, u diabła, z tym aparatem?

Na ustach kobiety wykwitł naraz uśmiech.

Gryf spojrział na telefon.

Dwa centymetry pod aparatem przewód telefoniczny był przecięty ostrymi nożyczkami.

Połączenie było przerwane.

Gryf rzucił słuchawkę na widelki. Nie rozgniewał się. Przeciwnie - na ustach jego pojawił się uśmiech.

- To pani dzieło?

Skinęła z uśmiechem głową.

- Tak! Moje dzieło. Chciałam być zabezpieczona przed niespodziankami, jakie mnie mogły oczekiwać z pana strony.

- To się na nic nie zda. Dam sobie z panią w inny sposób radę.

- Nie przeczę. Jest pan silnym i wysportowanym mężczyzną. Ja jestem tylko słabą kobietą i jestem zupełnie w pana mocy...

- Cieszę się, że ma pani tę świadomość. Nie myli się pani ani trochę. Nie jestem wcale przesadnie zarozumiała, ale z Olgierdem Gryfem przegrywali bardzo sprytni i nie w ciemną bici mężczyźni, trudno by więc pani było odnieść nade mną zwycięstwo.

- Czy sądzi pan, że w dziedzinie, o której pan mówi, niektóre kobiety zdobyły sobie równouprawnienie?.

- Przekonam panią praktycznie, że tak nie jest.

Detektyw podszedł do okna. Chciał je otworzyć i gwizdkiem zaalarmować posterunkowego.

- Panie doktorze Gryf!

W głosie kobiety brzmiał jakiś dziwny ton. Ton ten zmusił Olgierda do odwrócenia się i spojrzenia na kobietę.

Wtulona w kąt otomany, skurczona tak, że zdawała się być znacznie mniejsza, niż nią była faktycznie, z zimnym błyskiem w przymrużonych nieco oczach, kierowała na niego lufę browninga.

- A! - wyrzekł ze zdziwieniem detektyw.

- Panie Gryf, ja nie mam, ja naprawdę nie mam nic do stracenia. Ja nie chcę rozlewu krwi, ale... Jeden ruch pański w stronę okna, a będę musiała strzelać... Proszę stać spokojnie.

Olgierd Gryf był człowiekiem rozsądnym. Wiedział, że przed kulą rewolwerową nie ma ratunku i ucieczki. Jednym rzutem oka przekonał się, że kobieta nie była bynajmniej nowicjuską w obchodzeniu się z bronią. Był pokonany.

- Proszę odejść od okna.

Usłuchał.

- Proszę usiąść tu, obok mnie, w fotelu.

Usłuchał również. Trzymała go stale pod strzałem.

- Czy nie zapomniała pani przypadkiem odbezpieczyć broni? - zapytał z ironią.

- O nie. Rewolwer pana jest odbezpieczony i kula jest w lufie. Języczek spustowy jest, zdaje się, bardzo czuły...

- Mój... rewolwer

- Tak. Broń, którą pana trzymam w szachu, jest pańską własnością. Znalazłam ją w pańskiej sypialni...

- Pani jest sprytniejsza, niż sądziłem. Grozi mi pani, że zastrzeli mnie pani z mego własnego browninga?

Jeżeli pan zmusi mnie do tego. Jest pan zwyciężony i pobity.

- Ale tylko przez ślepy traf. Broń tę zawsze noszę przy sobie. Zapomniałem jej dziś, wychodząc z domu...

- Nie przez ślepy traf, drogi doktorze. Mam przy sobie swój własny browning, z którego strzela się bajkowo. Jeżeli używam rewolweru pana, czynię to celowo.

- Dla drwin?

- Nie. Z wyrachowania. Wszystkie kobiety są wyrachowane, a szczególnie kobietyzbrodniarki.

- Z wyrachowania?

- To jest prosta rzecz. Jeżelibym była zmuszona pana zabić, łatwiej by mi było upozorować pańskie samobójstwo.

Olgierd Gryf przygryzł usta.

- Zaczynam wierzyć, że pani jest genialna.

- To bardzo miłe. Proszę, na wszystko, niechże się pan nie rusza. Będę zmuszona do czegoś, czego nie chciałabym uczynić.

Olgierd Gryf popatrzał na nią swym przenikliwym, przewiercającym wzrokiem.

Spotkał się ze spokojnym, zdecydowanym spojrzeniem pięknej kobiety. Zrozumiał, że gotowa jest na wszystko.

- Czego pani właściwie ode mnie chce?

Uśmiechnęła się.

- O! Od tego właśnie trzeba było zacząć, a nie straszyć mnie Gorzyckim.

Podsunęła mu nalany kieliszek. Wyciągnął rękę i wypił duszkiem jego zawartość.

- Niech pan tedy słucha, panie doktorze. Mówiłam panu, że Roger Crandall pozostawił kopię raportu tak bardzo niebezpiecznego dla naszej organizacji.

- Słyszałem o tym.

- Otóż przyszedłam, by pana poprosić o wydanie mi owej kopii. Musi być ona zniszczona, podobnie, jak oryginał.

- Pani oszalała? Ja mam wydać kopię raportu Crandalla? Kopię, o której pierwszy raz słyszę i której nie mam?

- Być może, że słyszy pan o niej po raz pierwszy, ma ją pan jednak w przechowaniu.

- Gdzie?

- Tu, w tym mieszkaniu, w swym biurku, w gabinecie.

Olgierd Gryf wybuchnął wesołym śmiechem.

- Jest pani najwyraźniej źle poinformowana. Nie mam u siebie w domu kopii raportu Crandalla i dowiaduję się z wielkim zdziwieniem, że kopia taka w ogóle istnieje.

- Drogi panie Olgierdzie. Pozwoli mi pan chyba na tę poufalskość, ja bardzo lubię imię Olgierd. Otóż, panie Olgierdzie, to ja raczej jestem lepiej poinformowana od pana, wiem bowiem o istnieniu w pańskim mieszkaniu rzeczy, o której pan nic nie wie.

- Nadzwyczajne! Zaczynam wierzyć, że znalazłem w pani godną przeciwniczkę.

- To bardzo dla mnie pochlebne, panie doktorze. Niechże się pan nie rusza. Ja ani na chwilę nie zapominam, że trzeba pana trzymać pod strzałem. Gdybym tego nie robiła, bardzo szybko zacząłby mi pan robić rozmaite przykre kawały. Niechże pan pozwoli, że pomogę pańskiej pamięci.

- Słucham panią.

- Przed tygodniem, o zmroku, odwiedził pana pewien mężczyzna.

- Przypominam sobie.

- Ubrany był w szarą jesionkę i kapelusz z jaskrawą wstążką.

- Istotnie! Zadziwiające ma pani źródła informacyjne.

- To nie ja. To organizacja. Otóż człowiek ten prosił, by wziął pan na przechowanie kopertę.

- Ach, tak! - zawołał nagle Gryf.

- Teraz pan rozumie. W kopercie tej miał być jakiś ważny dokument. Człowiek ów prosił, aby przechował pan tę kopertę i wydał ją tylko osobie, która wymieni znak, wypisany anilinowym ołówkiem na prawym dolnym rogu koperty. Czy tak?

- Było zupełnie tak, jak pani mówi.

- Powiem też panu, jaki to znak jest wypisany na kopercie.

- Jest pani wszechwiedząca.

- Znak zapytania.

Olgierd Gryf milczał przez długą chwilę. Ta kobieta była znakomicie o wszystkim poinformowana.

- Czyż muszę panu dodawać - mówił dalej uroczy przeciwnik Gryfa - że koperta zawiera kopię raportu Crandalla.

- Może wytłumaczy mi pani jedną rzecz. Dlaczego ten człowiek oddał mnie tę kopertę, zamiast przekazać raport władzom śledczym lub ambasadzie brytyjskiej?

- Następowaliśmy mu na pięty, tak, iż zdawał sobie sprawę, że nie zdąży tego uczynić. Przechodził koło biurka, które pan prowadzi i zamiar ten dojrzał w nim momentalnie.

- Pani zaś...

- Ja przyszedłam tu, by zabrać tę kopertę z raportem.

- Dlaczego nie uczyniła pani tego, zanim powróciłem?

Uśmiechnęła się znowu.

- To bardzo proste. Nie wiem, po co miałabym forsować i wyłamywać szuflady sprężynowe amerykańskiego biurka, skoro mogę je otworzyć pana kluczami.

- Na to trzeba zdobyć te klucze.

- Będę je miała. A zatem, doktorze Gryf, pragnę zagrać z panem w otwarte karty i zwyciężyć pana. Nie służę mej organizacji dla pieniędzy, choć płaci dobrze. Służę dla emocji. Jedni szukają jej w totalizatorze, inni w rulecie, inni znowu w miłosnych przygodach. Ja szukam emocji, w takich sprawach jak ta... Co się z panem dzieje, panie detektywie?

Gryf pobladł nagle. Uczuł osłabienie i senność. Z wysiłkiem podniósł głowę.

- Nic! To tylko...

Kaskada szczerego, wesołego śmiechu przerwała jego słowa. Detektyw uczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Jakaś przykra ociężałość poczęła obezwładniać jego członki.

- Co pani...?

- Cha! Cha! Cha! Czy jeszcze teraz będzie pan przeczył, że wygrałam? W kieliszku wina, które pan wypił przed chwilą był silny narkotyk. Za kilka minut zaśnie pan, jak dziecko.

Wezmę wówczas klucze od pańskiego biurka... Proszę nie wstawać!... Proszę się nie ruszać!!!
Uwaga! Strzelam!!...

Gryf zerwał się i całym wysiłkiem woli ruszył ku kobiecie. W oczach latały mu ciemne płatki, nogi ugiwały się pod nim.

Ping!...

Kula rewolwerowa gwizdnęła mu koło ucha.

Olgierd Gryf zatrzymał się.

Nie dlatego, by miał obawiać się strzałów i rewolweru pięknej nieznajomej. O, nie! Gorzała w nim taka wściekłość, wypływająca ze świadomości, że oto przegrał faktycznie walkę z nieznajomą, że byłby, nie zważając na nic, rzucił się na nią i usiłował wyrwać jej broń z ręki.

Jeżeli nie uczynił tego, to dlatego, że w tej samej chwili uczył, iż traci siły, iż myśli zaczynają mu się mącić.

Narkotyk, którym jego sprytna przeciwniczka zaprawiła kieliszek wina, musiał być bardzo silny.

Olgierd Gryf oparł się ciężko o stoliczek i patrzył zmętniałymi oczyma na piękną kobietę, która trzymając w małej rączce rewolwer - jego własny rewolwer - spoglądała na detektywa wielkimi błękitnymi oczyma.

- Żmijo! Podła żmijo! - zduszonym głosem padło z ust Gryfa.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz nie mógł. Narkotyk zmógł go i zwyciężył.

Gryf zachwiał się i osunął ciężko na dywan, wywracając stoliczek z winem, którego struga rozlała się ciemną plamą na desenie dywanu.

Przechylona na otomanie, ciągle pełna niedowierzania i przygotowana na wszystko, młoda kobieta obserwowała Gryfa.

Trwało to przez kilka minut.

Dopiero po upewnieniu się, że Olgierd Gryf istotnie usnął, upojony wielką dozą narkotyku, piękna nieznajoma zeszła z otomany.

Podeszła do śpiącego i jęła rewidować jego kieszenie.

Szukała kluczy od biurka.

Znalazła je wreszcie i przeszła z saloniku do gabinetu detektywa. Zachowywała się zupełnie spokojnie i idąc przez pokoje, nuciła jakąś melodię.

Zapaliła światło i zabrała się do otwierania biurka.

Wysuwała szufladę po szufladzie i badała szybko jej zawartość.

Wreszcie w jednej z szuflad natrafiła na to, czego szukała.

Koperta ze znakiem zapytania nakreślonym anilinowym ołówkiem w prawym dolnym rogu znajdowała się w jej ręku.

Wywiadowczyni tajnej organizacji pracowała z podziwu godnym spokojem.

Ruchy jej były opanowane i nie zdradzały żadnego przejęcia pracą, którą wykonywała.

Obejrzała ciekawie kopertę i wsunęła za gors sukni.

Następnie zaczęła systematycznie układać w biurku wszystko na swe miejsce.

Zamknęła wreszcie biurko i wróciła do saloniku, gdzie spał Gryf, oddychając ciężko i chrapliwie.

Z prawdziwą troską ujęła go za puls i liczyła uderzenia.

- Czy dawka nie była za duża? - szepnęła do siebie zamyślona.

Schowała klucze na powrót do kieszeni ubrania detektywa i skierowała się ku wyjściu.

Od drzwi jednak wróciła się...

Dobyła z torebki ozdobny ołówek i mały notesik. Wyrwała z notatnika kartkę.

Napisała tylko kilka słów. Brzmiały one:

Bardzo przepraszam. Spełniłam tylko mój obowiązek.

Przez długą chwilę namyślała się, jaki dać podpis, po czym nakreśliła pod napisanym zdaniem znak zapytania.

Położyła tę kartkę obok śpiącego, raz jeszcze rozejrzała się po pokoju, ujęła jedną z poduszek z otomany i podłożyła ją pod głowę Gryfa, po czym opuściła mieszkanie.

Nie dzwoniła na dozorcę domu, lecz podrobionym zawczasu kluczem otworzyła bramę.

Owionął ją chłód nocy.

Zawinęła się szczelniej w futro i skierowała w stronę najbliższej przecznicy.

Oczekiwało tam auto ze zgaszonymi światłami. W samochodzie czuwano.

Gdy kobieta podeszła do wozu otworzyły się drzwiczki limuzyny i zawarczał motor.

Mężczyzna, który siedział przy kierownicy, zrobił gest zapraszający kobietę do zajęcia miejsca.

- Jest?

- Jest.

- Gryf?

- Uśpiony na kilka dobrych godzin.

- Doskonale.

Samochód ruszył i skierował się w stronę śródmieścia.

- Otwórz kopertę! - padł nowy rozkaz.

Usłuchała, przyzwyczajona do tego tonu.

Naraz wydała okrzyk zdziwienia.

Z otwartej koperty, wypadło jej na kolana kilka czystych, białych kartek papieru.

Mężczyzna, jadący z kobietą w aucie, uchwycił te kartki papieru.

- Co to jest? Co to znaczy?...

Obróciła ku niemu twarz, pobladła z emocji.

Dopiero teraz odczuła, jak bardzo wiele kosztowała ją walka z Gryfem. Dopiero teraz odczuła beznadziejność swoich wysiłków.

- Nie wiem, co to znaczy - wyszeptała.

Porwał papiery które wypadły z koperty i począł je przeglądać, przy bladym blasku lampy, oświetlającej wnętrze auta.

- Tu przecież nic nie ma. To są czyste, niezapisane kartki papieru.

Kobieta milczała przez długą chwilę.

- Nic nie rozumiem - wyszeptała wreszcie.

Mężczyzna przyjrzał się uważnie kopercie.

- Ta koperta nie była przez nikogo otwierana - oświadczył krótko. - Ten, kto ją zakleił włożył do niej białe kartki papieru.

- A więc ten przygodny towarzysz i pomocnik Crandalla oszukał nas?

- Nie inaczej. Gryf nie wiedział, co jest w tej kopercie. Twierdzę zupełnie stanowczo, że od chwili zaklejenia, koperta ta nie była naruszona. Wiesz, że znam się na tym. Jesteś w pełnym porządku i zapewniam cię, że sprawiłaś się dzielnie.

- To bardzo dobrze - uśmiechnęła się kobieta, a w uśmiechu tym było dużo zmęczenia.

- Co jednam stało się z kopią raportu Crandalla?

Mężczyzna namyślał się przez długą chwilę.

- Nie wiem - wyrzekł wreszcie. - Może nie było tej kopii wcale. Możliwe jest również, że Crandall popełnił świadomie mistyfikację wręczając fikcyjną kopertę owemu osobnikowi, którego tropiliśmy z takim nakładem pracy.

- A jeżeli kopia raportu Crandalla istnieje mimo wszystko?

Zapytany namyślał się przez długą chwilę, aż wreszcie znalazł odpowiedź.

- Jeżeli istnieje ta kopia, zdobędziemy ją. Zdobędziemy ją za wszelką cenę, chociażby była ukryta w najbardziej zakonspirowanych sejfach Intelligence Service... Znak Zapytania jest wszechmocny...

Rozdział XI

CZŁOWIEK BEZGRANICZNYCH AMBICJI

Nie miał jeszcze lat czterdziestu. Był wysoki, doskonale zbudowany, szeroki w barach, o konstrukcji atlety

Był synem chłopca. Zwyczajnego białoruskiego chłopca, który mieszkał w krytej słomą chałupie i który pragnął swego syna wychować na pana.

Jak pojmował ową pańskość syna, nie wiadomo i zapewne nikomu wiadomo nie będzie. Któż wie lub się domyśli, jak wyobrażał sobie ową pańskość zakuty białoruski łeb?

Faktem jest, że syn jego został kornetem¹ w rosyjskiej armii, a w chwili, kiedy na świecie nastąpiły wielkie przemiany, kiedy runął tron białego cara, syn białoruskiego chłopca zrzucił mundur rosyjski, by szybko przybrać uniform polskiego oficera.

Przeszły gorące wojenne czasy. Traktat ryski² wytyczył granice między Polską a jej wschodnim sąsiadem.

Może był to przypadek, a może zrządzenie losu, że w podziale owym po sowieckiej stronie została wieś, gdzie mieszkał sędziwy chłop białoruski, którego ambicją było wychowanie syna na pana. Może to był przypadek, że ojca, ciemnego białoruskiego wieśniaka, oddzieliła graniczna linia od syna - teraz już kapitana armii polskiej.

Stała między nimi, rozdzieliła ich linia graniczna, linia, po której jednej stronie czuwały niestrudzone stacje KOPu³, po drugiej zaś stronie pełniły straż sowieckie warty o pięcioramiennych gwiazdach naszytych na pikielhaubach.

Kapitanowi Ludwikowi Semkowskiemu nie zależało jednak na tym zupełnie, bo i czegoż miałyby mu na tym zależeć?

Był człowiekiem ogromnych ambicji i uważał, że człowiek o wielkich ambicjach, może mieć przed sobą zawsze przyszłość, nie może mieć nigdy za sobą przeszłości.

Przeszłość wywodziła się z zapadłej, niskiej i zatęchłej białoruskiej chałupy istniejącej za kordonem, przyszłość była przed nim i o tej właśnie przyszłości myślał kapitan Semkowski bardzo dużo, może zbyt wiele jak na człowieka, który nosił mundur wojskowy.

Czarne, dosyć głęboko, może nawet zbyt głęboko, osadzone oczy oficera kryły w sobie ową dziwną zadumę, właściwą ludziom Wschodu.

Bystry obserwator zauważyć mógł szybko, że w oczach tych i w tym spojrzeniu było coś, co nazwać by można niedomówieniem, coś czego oczy te strzegły zazdrośnie i czego nigdy nie wypowiadały usta.

Ludwik Semkowski był człowiekiem szalonych ambicji. Ambicja jego miała w sobie coś chorobliwego, był w niej jakiś szczególny demonizm. Zwykle ambicje ludzi ograniczają się do jednego odcinka życia. Do tego, który w życiu gra największą rolę lub który jest nam psychicznie najbliższy. U Semkowskiego było inaczej.

Ambicja jego była wszechstronna. Obejmowała w równej mierze wszelkie dziedziny życia leżące w sferze zainteresowań młodego, bo trzydziestokilkoletniego oficera.

Przydzielony do wyższej szkoły wojennej, Semkowski ukończył ją przebojowo i wkrótce na wizytowym bilecie słowo kapitan zastąpił słowami major dyplomowany.

Energiczny, służbisty, pełen pomysłów i inicjatywy, miał świetną opinię. W jego kartach służby zapisano wkrótce po nadaniu mu stopnia majora krótkie jedno zdanie.

Na własną prośbę przydzielony do II Oddziału Sztabu Głównego.

Wszedł więc Semkowski w skład owej najbardziej precyzyjnej, najbardziej delikatnej, a zarazem najbardziej potężnej maszyny, jaką jest Drugi Oddział - tak zwana popularnie dwójka. W skład owej maszyny, która utrzymuje pokój, przygotowuje wojnę, która działa sprawnie, szybko i pewnie.

Gdy dokumenty zwane traktatami pokojowymi głośzą między państwami i narodami pokój, gdy dwa odwieczne wrogi sobie państwa zawieszają broń i popadają w letarg - Oddział Drugi działa.

Oddział Drugi działa zawsze. Strzeże pokoju i gotuje nową wojnę. To jest jego prawo i sens bytu.

Oddział Drugi to oczy i uszy, które są stale zwrócone na świat. Są to uszy, które nigdy nie spoczywają i które muszą łowić, jak najczulszy mikrofon, najbardziej tajemnicze szepty. Są to oczy, którym nie wolno zasnąć, nie wolno spocząć, ani na jedno mgnienie oka.

Oddział Drugi pracuje, by nie dać wrogowi wydrzeć tajemnicy obrony państwa i by wydrzeć wrogowi równocześnie tajemnice jego przygotowań do wojny.

Oddział Drugi to często miejsce, skąd wychodzą cisi, a wielcy bohaterowie. Oznaczeni pseudonimami, wciągnięci w rejestry, podlegający twardej dyscyplinie, padają bezimiennie w owej walce mózgów, która toczy się bez przerwy, bez wytchnienia i wtedy, kiedy spokojnie czuwają graniczne posterunki, i wtedy, kiedy płoną łuny wojennej pożogi.

Kula, strzykacz i grób bezimienny oto wysługa lat owych ludzi i oto koniec, który im stale grozi.

Idzie, krok w krok, za każdym człowiekiem szyfrą widmo szubienicy i zwid egzekucyjnego oddziału.

Dlatego może właśnie na frontonie hallu w gmachu Intelligence Service przy

Downing Street w Londynie, widnieje napis, który głosi, że szpieg ginący w obronie swego kraju jest żołnierzem ginącym na polu chwały.

W obronie swego kraju!

Major dyplomowany Ludwik Semkowski wszedł na własną prośbę w tę skomplikowaną, a dziwną maszynę... Wszedł jako jeden z trybów tej maszyny.

Ponury wielki gmach, kryjący w sobie największe tajemnice państwa i armii, strzeżony był przez noc i dzień przez posterunki wojskowe.

W wielkich i długich korytarzach snuła się zagadkowość i tajemniczość.

W kasach ogniotrwałych, zamykanych na skomplikowane zamki, spoczywały dokumenty, bądź leżąc luźno, bądź w wielkich kopertach opatrzonych skrzętnie nałożonymi pieczęciami.

W jednym z takich pokoi, zawierających ogniotrwałą kasę; w jednym z pokoiumeblowanych z owym nieznośnym szablonem biurowym urzędował major Semkowski.

Wszystko, co przechodziło tutaj przez ręce oficerów opatrzone było bądź wielką literą T oznaczające tajne, bądź też napisem poufne.

Były też i teczki z kopertami, noszące napisy ściśle poufne i ściśle tajne - ale o tym, co zawierały owe teczki i koperty wiedziała tylko mała garść wtajemniczonych.

Major Semkowski jeszcze do nich nie należał. Miał jednak nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy Drugi Oddział Sztabu nie będzie miał dla niego tajemnic.

Jednego tylko nie wiedział. Sądził, że te tajemnice będą mu stopniowo powierzane, ale nigdy przez myśl mu nie przeszło, że tajemnice te mogą być przez niego wydzierane.

Major dyplomowany Ludwik Semkowski był człowiekiem pełnym życia i temperamentu.

Był tym, co nazywają szeroką naturą. Lubił pełne usta kobiece kwitnące krwi szkarłatem, lubił tętniące życie nocnych lokali, lubił wszystko, co było użyciem, co dawało ujście energii, jaka w nim kipiała.

Często wieczór, po ukończeniu zajęć służbowych, major Semkowski wkładał cywilne ubranie i wyruszał na miasto - nienasycony poszukiwacz wrażeń i przygód, niepoprawny w pogoni za coraz to nowymi przejściami.

Taki był major dyplomowany Semkowski, gdy na drodze jego życia stanął Znak Zapytania, groźny i nieubłagany jak kometa głosząca nieszczęścia, mór i zagładę.

-

1 kornet - najniższy stopień oficerski w kawalerii przedrewolucyjnej Rosji.

2 traktat ryski - traktat kończący wojnę polskobolszewicką z lat 1919-20, ustalał

przebieg granic między tymi państwami oraz regulował inne sporne kwestie.

3 KOP - Korpus Ochrony Pogranicza, formacja wojskowa utworzona w 1924 r. do ochrony wschodniej granicy II Rzeczypospolitej przed penetracją agentów, terrorystów i oddziałów dywersyjnych przetrucanych przez sowieckie służby specjalne z terenu ZSRR na terytorium Polski.

Rozdział XII

W TAJNYM KASYNIE

Na jednym z przedmieść Warszawy, pośród mniejszych budynków i domków, wyrastał duży czteropiętrowy dom.

Był on taki sam jak każdy inny. Ot, zwyczajny dom czynszowy. Nie było w nim ani nic tajemniczego, ani nic zagadkowego, i mieszkali w nim tacy sami zwyczajni, przeciętni, szarzy ludzie, jak w każdej z kamienic Warszawy.

Tajemnicze w tym domu było właściwie tylko jedno mieszkanie, ale i ono nabierało tej cechy tylko dla tych, którzy przez innych zostali wtajemniczeni w fakt, że mieszkanie to, przynajmniej w pewnych wieczornych godzinach, różni się od innych lokali domu.

Mieściło się owo mieszkanie w oficynie na czwartym piętrze, na które trzeba się było wdrapywać po schodach ani szerokich, ani wygodnych.

Na tablicy drzwi wiodących do owego mieszkania nie widniał żaden napis, a u dozorczy domu można było sprawdzić, że mieszkanie to było zajęte przez jakiegoś emerytowanego urzędnika kolejowego, skończonego dziwaka, który mieszkał w czterech pokojach sam wraz ze służącym.

Służącego widziano o tyle często, o ile pana jego nie widywano nigdy. Mówiono sobie w kamienicy, że właściciel mieszkania od lat cierpi na paraliż nóg i nie może wychodzić z domu przykuty do łóżka. Dlatego zapewne wieczorami stale znajdowały się osoby, które odwiedzały samotnika, by dostarczyć mu jakiejś takiej rozrywki.

Być może, że dozorca domu na przedmieściu - domu mającego dwie przechodnie bramy - wiedział więcej, ale dozorca domu był człowiekiem mrukliwym lub też może nie chciał się dać wyciągnąć na słówko.

Jakże inaczej jednak wyglądało owo mieszkanie o zasłoniętych wieczorem oknach dla tych, którzy byli wtajemniczeni.

Wiedzieli oni, że po dostaniu się na czwarte piętro wystarczy tylko zapukać w odpowiedni sposób do drzwi, na których nie widniał żaden bilet wizytowy.

Pukać należało w sposób ustalony. Najpierw trzy razy, potem przerwa, potem jeszcze dwa i trzy razy. Potem należało przez chwilę poczekać, aż za drzwiami rozlegną się ciężkie kroki i ze zgrzytem obróci się klucz w zamku.

Drzwi uchylały się szybko i twarz służącego ukazywała się na mgnienie oka. Służący lustrował szybko osobę przybyłego i uśmiechnięty, że wszystko jest w porządku, zapraszał do

wnętrza.

W przedpokoju zdejmowano z gościa palto i wydawano kontramarkę. Uprzejmy służący otwierał drzwi do dalszych pokoi, skąd buchał gwar zmieszanych głosów.

W drugim z owych pokoi stał długi pokryty zielonym suknem stół; wokół stołu ciasno, jedno przy drugim, stały krzesła.

Na stole znajdowała się ruleta, po której tarczy skakała swawolna i kapryśna kulka z kości słoniowej.

Goście na zmianę pełnili role krupierów, bankierem był niezmiennie gospodarz lokalu, emeryt kolejowy o sparaliżowanych nogach.

W tajnym domu gry, gdzie dla pokrzepienia zmęczonych hazardem gości były pod ręką dobre trunki i dobre papierosy, można się było dostać tylko po daniu wszelkich gwarancji, że dochowa tajemnicy. Tylko starzy i doświadczeni członkowie klubu mogli wprowadzać do niego nowych członków, których przez czas dłuższy obrzucano badawczymi spojrzeniami i śledzono bacznie ich zachowanie.

Od pewnego czasu, tajnemu kasynu gry przybył jeszcze jeden gracz, ogarnięty namiętnością hazardu.

Gracz ten zjawiał się z początku w „kasynie” nie częściej jak raz na dwa tygodnie, grał jednak zawsze hazardownie i z bardzo zmiennym szczęściem.

Zdarzało się po wielkiej przegranej, że nie zjawiał się w tajnym domu gry nawet przez długi szereg tygodni, ale ostatecznie wracał jednak znowu, aby bić się z losem.

Osobnikiem owym, który w ten sposób walczył z demonem rulety był major dyplomowany Ludwik Semkowski.

Mieszane było towarzystwo, które otaczało stół rulety tajnego kasyna gry w mieszkaniu sparaliżowanego urzędnika kolejowego. Byli tam ludzie upadli, ludzie, którzy nie mieli już nic do stracenia, którzy nie mieli ani skrupułów, ani wahań, ani wyrzutów sumienia, którzy gotowi byli na wszystko, byle żyć i użyć, twarde bowiem koleje życia pozbawiły ich jakichkolwiek złudzeń i zatarły brutalnie wąską linię dzielącą poziom normalny od otchłani występku.

Do tajnego domu gry uczęszczali również elegancy panowie ze złotej młodzieży, aby przytępić nerwy poderwać i podekscytować emocją hazardu. Ci najczęściej trafiali tam przez pewną kategorię dziewcząt, których dodatkowym zarobkiem była prowizja wypłacana im przez właściciela domu gry za każdego gościa sprowadzonego do stołu z ruletą.

Nie sposób było przypuszczać, by policja nic nie wiedziała o tajnej sali ruletki.

Wśród graczy, którzy bywali stałymi bywalcami „kasyna”, różnie o tym mówiono.

Mówiono więc, że policja wie dobrze o istnieniu jaskini hazardu i że fakt ten toleruje jako zło konieczne.

Tłumaczono to tym, że każde wielkie miasto musi mieć takie ścieżki, gdzie spływają ludzkie męty, i że policja uzyskuje w ten sposób dogodny teren dla dyskretnej obserwacji.

Mówiono też, że wśród stałych bywalców domu gry bywają stale agenci policyjni, mówiono nawet, że sam właściciel lokalu, sparaliżowany emeryt kolejowy jest wywiadowcą policji.

Co do tego zdania były podzielone, podczas bowiem gdy jedni twierdzili, że sparaliżowany emeryt pobiera specjalną gażę za swe dyskretne czynności, inni opowiadali, iż mają wszelkie dane, że sprawa przedstawia się inaczej - i że właściciel domu gry opłaca policji gruby haracz za przemykanie oczu na fakt istnienia tajnej ruletki.

Jakkolwiek przedstawiały się sprawy, faktem było, że tajny dom gry na przedmieściu istniał i prosperował dobrze.

Do takiego to lokalu chodził major dyplomowany Semkowski i wśród takich to ludzi przebywał.

Po kilku bytnościach w tajnych salach rulety Semkowski witany był przez starego służącego jak dobry znajomy.

W kasynie gry nie pytano nigdy nikogo o nazwisko, wystarczyło, że gość został wprowadzony przez zaufanego człowieka.

Myliłby się jednak, kto by sądził, iż właściciel spelunki nie znał swych gości, iż można było odwiedzać lokal rulety zachowując ściśle incognito. W małym pokoju, którego okna wychodziły na podwórze, a który był niejako biurzem i kantorem tajnego kasyna, istniała księga, gdzie dzień po dniu wciągano nazwiska gości. Jak ustalono, te nazwiska były tajemnicą „dyrekcji” domu rulety. Obok nazwiska w rubryce Uwagi były notowane w przybliżeniu sumy bądź wygrane, bądź przegrane przez gościa w ciągu danego wieczoru.

Tego właśnie dnia jeden z eleganckich panów, pełniący dyskretnie obowiązki metra sali, wszedł do kantoru domu gry i oznajmił gospodarzowi lokalu siedzącemu w fotelu na kółkach:

- Przyszedł znowu.
- Kto?
- Ten wysoki brunet w szarym ubraniu.
- Czy ustalone już zostało jego nazwisko?
- Nareszcie. Konspirował się doskonale, co staje się zrozumiałem, gdy weźmiemy pod uwagę, że jest to oficer Drugiego Oddziału Sztabu.

Przykuty do fotela na kółkach emeryt kolejowy o sparaliżowanych nogach z wyraźnym niepokojem uniósł siwe, nastroszone brwi. Brwi owe i ostry, zakrzywiony nos czyniły go podobnym do drapieżnego ptaka.

- Oficer Drugiego Oddziału? - zapytał z wyraźnym niepokojem w głosie.

- Stwierdził to ponad wszelką wątpliwość.

Stary ujął kolorowy ołówek i jął kreślić na kartce papieru jakieś znaki.

- Jego nazwisko? - zapytał po chwili, nie podnosząc głowy.

- Ludwik Semkowski. Jest on w randze majora.

Nastąpiła znowu chwila milczenia.

- Kto go tu przyprowadził?

- Lena.

- Nie znając jego nazwiska?

- Nie był on wcale taki skory, aby jej się przedstawiać. Ale Lena poznała zaraz, że materiał jest dobry. Ten człowiek lubi dobrze zjeść, dobrze wypić i dobrze się zabawić.

Stary emeryt kolejowy przerwał rysowanie figur na papierze i zwrócił głowę do metra lokalu.

- Czy nie bywa on tu przypadkiem służbowo? - rzekł z naciskiem, akcentując ostatni wyraz.

Tamten zastanawiał się przez chwilę.

- To by nas ostatecznie mało mogło obchodzić, ten bowiem służbowy cel, na pewno nie jest taki, który mógłby być dla nas groźny. Mógłby co najwyżej pan major Semkowski śledzić tu jakiegoś podejrzanego o szpiegostwo osobnika... To jednak byłoby zupełnym absurdem, bowiem ranga Semkowskiego wyłącza możliwość takiej „roboty”. Od tego są mniejsze ryby niż major Sztabu. Zresztą...

- Co, zresztą?...

- Ów oficer gra wysoko i z taką namiętnością, że trudno przypuszczać, by sprowadziło go tutaj coś więcej niż uroda hazardu.

Sparaliżowany emeryt przez długą chwilę kreślił znowu dziwaczne figury na papierze.

- Niech mi pan zbierze wszelkie możliwe szczegóły o tym osobniku - przeciął wreszcie dalszą rozmowę na ten temat. - Trzeba wreszcie z tym majorem Semkowskim postąpić według naszej starej recepty. Rozumie pan?

- Rozumiem... - odpowiedział z uśmiechem metr sali gry.

Major Semkowski tymczasem walczył z przeciwnym losem.

Kulka rulety była owego wieczoru dziwnie niełaskawa dla niego. Raz po raz

przegrywał, raz po raz grabki krupiera zgarniały jego stawki.

Czarniawa twarz Semkowskiego pobladła z emocji hazardu. Grał coraz to bardziej nerwowo.

System? Nie miał go wcale. Grał bez żadnego systemu. Kierował się tylko intuicją i ta intuicja zaczęła zawodzić fatalnie.

- Jeszcze raz! Jeszcze raz! Jeszcze raz!

Wzrok oficera wpił się w kulkę rulety skaczącą po wirującej tarczy.

- Dwadzieścia sześć, czarne, parzyste! - oznajmił krupier.

Semkowski przeciągnął ręką po włosach. Przegrał, po raz już nie wiadomo który, w czasie owego wieczoru.

- Przynosisz mi pecha - rzekł do stojącej za nim szatynki, która obserwowała bacznie grę majora.

Lena zaśmiała się. Była ona jedną z tych dziewcząt, pozostających na usługach właściciela domu gry, które ściągają do kasyna nowych gości.

- Mylisz się, ja każdemu przynoszę szczęście.

- Wobec tego ja jestem wyjątkiem potwierdzającym regułę.

- To tylko chwilowa zła passa - pocieszała go szczerze zmartwiona. - Trzeba ją raz przełamać, a wszystko będzie dobrze.

Semkowski wstał energicznie od stołu z ruletą.

- Skończyłeś grę? zdziwiła się dziewczyna.

- Tak - odparł krótko i niechętnie.

- Nie będziesz już dziś grał więcej? - zapytała jeszcze wyraźniej niezadowolona.

- Nie będę grał ani dziś, ani nigdy. To zbyt droga zabawka na moją pensję.

Major sięgnął nerwowo do kieszeni szarego cywilnego ubrania i wydobył z niej papierosnicę.

Zapalał właśnie papierosa, gdy zbliżył się do niego metr sali.

- Pan dużo dziś przegrał - zaczął, pochylając się w ukłonie.

Semkowski przewiercił go swymi czarnymi, sprytnymi oczami.

- O co panu chodzi? - zapytał oschle.

Na twarzy metra sali pojawił się dziwny uśmiech.

- Szef chciał pomówić z panem.

- Ze mną? A to dziwne!

- Tak. Z panem.

- Nie widzę powodu, dla którego miałbym z nim mówić, ale nie widzę też powodu,

dla którego miałbym mu odmówić rozmowy.

- Zatem pozwoli pan za mną.

Metr sali wprowadził majora do kantoru, gdzie znajdował się sparaliżowany emeryt.

- Pan mi wybaczy, że nie wstaję - rzekł właściciel domu gry do oficera. - Mam sparaliżowane i bezwładne nogi.

Semkowski skinął głową.

- Szczerze panu współczuję. To straszna rzecz, być tak przykutym do fotelu.

- Dziękuję panu, niech pan siada.

Semkowski usłuchał. Stary pan przez długą chwilę wpatrywał się w niego.

- Czym mogę służyć panu? - zapytał zniecierpliwiony nieco oficer.

- Interes jest obopólny. Zaraz go panu wyłuszczę, panie majorze.

Cios był niespodziewany. Semkowski jednak nie darmo był członkiem Drugiego Oddziału Sztabu. Smągła twarz jego nie drgnęła nawet, oczy patrzyły spokojnie na przeciwnika.

- Kto pana poinformował o tym? - rzucił wreszcie ostro.

- Mniejsza o to. Nie będziemy mówili o tych drobnostkach. Wiem doskonale, kim pan jest majorze i wszystkie wykręty na nic się nie zdadzą.

- A zatem odważył się pan mnie śledzić?

Stary pan zaprzeczył spokojnym ruchem głowy.

- Nie, panie. Nie robię tego. Zebrałem tylko o panu dokładne informacje i wskazówki. To znów nie było tak trudne. Nie jest tak trudno w człowieku noszącym ubranie cywilne domyślić się wojskowego.

- Niesłychane! - uniósł się Semkowski, lecz natychmiast opanował swe wzburzenie.

- Panowie mimo wszystko musieli mnie śledzić - odparł twardo. - Uczyniłem wszystko, by moje wizyty tutaj, wizyty, które ustaną z dniem dzisiejszym, osłonięte zostały tajemnicą. Powód do tego miałem tak łatwo zrozumiały, że nie mam najmniejszego zamiaru go tłumaczyć, żegnam panów.

Major sztabu głównego odwrócił się i skierował się ku drzwiom. Metr sali z uśmiechem, w którym było nieco zmieszania, podbiegł do niego.

- Ależ, panie majorze.

- Nie życzę sobie, by w tej speluncie wymieniano mój stopień oficerski...

Szydercze, zimne słowa sparaliżowanego właściciela tajnego domu gry przykuły go naraz do miejsca.

- Kto przychodzi do spelunki, ten musi się na to narażać. Radziłbym panu, by pan

jednak został panie Semkowski.

- A! I nazwisko moje jest wam znane.

Sparaliżowany pokiwał głową.

- Niestety! Nie mogłem, wobec pana zastrzeżeń, wymienić pana rangi wojskowej, wobec czego zmuszony byłem użyć pańskiego nazwiska. Uczyniłem to również dlatego, ponieważ nie jesteśmy na ty...

- Jak pan śmie.

Semkowski uczynił ruch, jakby chciał się rzucić na człowieka przykutego do fotela na kółkach.

Na zwiędłych wargach tamtego pojawił się uśmiech szydery.

- Nie będzie pan chyba podnosił ręki na kalekę, panie oficerze. Jeżeli wezwaliśmy pana tutaj, to zrobiliśmy to w pewnym celu. Czy naprawdę nie chce nas pan wysłuchać?

- Nie widzę powodów...

- Gorączkuje się pan, panie... Semkowski. Powody zrozumie pan, gdy je panu wymienimy... Inaczej nie będzie pan o nich wiedział nigdy.

Po ruchliwej twarzy Semkowskiego przelatywały płomienie.

- Byłoby nam doprawdy bardzo przykro - ciągnął szybko dalej sparaliżowany - gdyby pan istotnie powziął zamiar nieodwołalnego zaprzestania odwiedzin u nas. To, że znamy pana nazwisko i - że się tak wyrażę - zawód, nie przeszkadza panu i nie powinno panu przeszkadzać. Przecież uważaliśmy za stosowne tylko panu to zakomunikować. Dyskrecja wobec wszystkich innych ludzi jest zapewniona w naszym obopólnym interesie.

- Do czego pan zmierza?

- Niechże pan najpierw zajmie miejsce, panie ma... panie Semkowski.

Oficer w cywilnym ubraniu z wyrazem irytacji usiadł na podsuniętym mu krześle.

- A zatem - słucham panów.

Siwowłosy emeryt zwrócił się do swego pomocnika.

- Proszę mi podać dziennik - polecił, wskazując na grubą książkę.

Położył ją na stole i jął wertować kartki.

Chwilami zatrzymywał się na jakiejś stronie i palcem wskazywał na jakąś pozycję.

Semkowski, obserwując go, uspakajał się stopniowo.

Sparaliżowany pan podniósł wreszcie głowę znad książki.

Głos jego był nieco przyciszony i brzmiał przenikliwie. Była w nim nuta dobrotliwej pobłażliwości.

- Pan gra wysoko i bardzo ryzykownie, panie... Semkowski.

- Być może. To moja prywatna sprawa.

Uśmiech zgasł szybko na wargach starca o drapieżnym obliczu.

- Nie, panie. Pan się myli! To sprawa między dwiema stronami. Jedna strona to pan. Druga to my. Przyzna nam pan chyba, że mamy prawo interesować się tym, jakie mamy zyski i jakie straty.

- Przypuszczam, że macie tylko zyski. Ruleta to bandycka gra.

- Myli się pan. Ruleta, to czarowny, genialny instrument. W szeleście jej tarczy, w podskokach kulki rulety zawarta jest wielka tajemnica żądzы złota. Wielka tajemnica bogactwa. Ruleta to wspaniały wynalazek. Sam wynalazca rulety nie zgłębił jej tajemnicy.

Paralityk wyprostował się na swym krześle.

- Ale nie o to chodzi! Widzę z zestawień, które robimy, że szczęście nie dopisywało panu ostatnio. Tu, o - i tutaj, mamy dość poważne liczby przegranych... Tu znowu wygrana, ale jakaż mała. Tu znowu przegrana. Ho! Ho! Ho! Ależ to pan ma pecha!

- Istotnie, ostatnio nie wiodło mi się. Nie wiem jednak, do czego zmierza ta rozmowa?

- Zaraz i o tym się pan dowie.

- Uzbrajam się w cierpliwość, choć przyznają mi panowie, że okazuję wam jej aż nadto.

- To tylko może nam wyjść na dobre.

- Nam?

- Tak. Panu i mnie - przeciął krótko sparalizowany właściciel spelunki.

- Wolałbym, drogi panie, by nie łączył pan ze mną swojej osoby.

Tamten podniósł żywo głowę:

- Pana to irytuje?

- To jest chyba zupełnie zrozumiałe.

- Jak dla kogo! Nie będę jednak pana dłużej trudził i wyjaśnię mu, o co chodzi. Otóż jest dla nas zupełnie bezsporną rzeczą, że grał pan wysoko, panie majo... o przepraszam, panie Semkowski i że przegrywał pan raczej, niż wygrywał...

Stary paralityk zrobił znowu pauzę. Nacisnął guzik dzwonka. W drzwiach wyrósł natychmiast służący. Emeryt kolejowy lubił szybką obsługę.

- Koniaku! - rozkazał. - Wiesz, tego starego.

Służący skinął głową i po minucie zjawił się znowu, niosąc na tacy butelkę ze złotym płynem i dwa kieliszki.

- Niechże pan wyświadczy mi tę grzeczność i napije się tego koniaku - zupełnie innym tonem mówił stary człowiek przykuty niemocą do krzesła na kółkach. - Zrobi mi pan

prawdziwą przyjemność. To bardzo stary i dobry koniak.

Napełnił kieliszki drżącą nieco ręką.

Semkowski zawahał się na chwilę. Przyjąć, czy odmówić? Co znaczyła w ogóle ta dziwna rozmowa?

Paralitik powtórzył swą prośbę. Głos jego przybierał tony coraz to bardziej serdeczne. Semkowski, nie wiadomo czy dlatego, czy też zachęcony widokiem złotego napoju, nie odmówił.

Duży kieliszek koniaku zapalił mu krew w żyłach.

Koniak był istotnie stary i dobry.

W Semkowskim wzbudził się amator.

- Znakomity koniak - rzekł z uznaniem.

- Czy istotnie? Wobec tego cieszę się bardzo. Może pan jeszcze pozwoli. Nie uwierzy pan, panie ma... panie Semkowski, jak było mi przykro, że się pan na nas tak obruszył. A tu przecież chodziło o rzecz tak prostą. O zgodne porozumienie się z panem.

- O jakież to porozumienie panu chodzi?

- Są gracze, którzy mają po prostu pecha. Złą passę, jak się powiada w takich wypadkach. Otóż nasz tajny dom gry - paralitik zaakcentował te dwa ostatnie słowa - nasz tajny dom gry, powtarzam, udziela chętnie pożyczek takim graczom, aby im pozwolić odegrać się, pozwolić przełamać złą passę i doczekać się uśmiechu losu. Wiedząc, że pana pech prześladowuje...

Semkowski roześmiał się nagle.

- Chcieli mi panowie zaproponować pożyczkę? Nie wiem, czy w domach gry, legalnych czy też nielegalnych, istnieją tego rodzaju zwyczaje udzielania pożyczek zgranym klientom rulety. Ja przynajmniej nie znam takich wypadków. Ale gdyby one się nawet wydarzyły, ja z podobnej propozycji nie mogę skorzystać.

Stary, sparaliżowany pan, słuchając owych słów majora II Oddziału Sztabu, uśmiechał się łagodnie. Sięgnął ręką do kasetki znajdującej się na kantorku i wydobyl z niej paczkę banknotów o zielonym odcieniu.

Rozłożył banknoty w wachlarz i położył je przed Semkowskim.

- To jest tylko prosty interes! - rzekł, gdy oficer skończył mówić. - Interes zarówno dla nas, jak i dla pana. Da nam pan po prostu weksel in blanco i to nam zupełnie wystarczy. Dla porządku dopiszemy procencik zupełnie godziwy, bo cztery procent miesięcznie. Może teraz będzie panu szczęście dopisywało.

Semkowski obrzucił szybkim spojrzeniem leżące przed nim pięćsetzłotowe banknoty.

- Tu jest pięć tysięcy złotych w dziesięciu banknotach pięćsetzłotowych - mówił dalej paralytyk, tonem dziwnie łagodnym i spokojnym. - Z tą sumą już można rozbić bank. I to nie tylko u nas, ale i w Sopocie. No! Niech się pan nie droży, panie majo... o, przepraszam. To jest przecież jedynie dobry interes... Może pozwoli jeszcze pan łyk koniaku.

Semkowski spojrział raz jeszcze na banknoty, potem sięgnął po kieliszek napęczniony koniakiem i wychylił go duszkiem.

Chciwość i namiętność hazardu walczyła w nim z resztkami świadomości, że czynić tego nie powinien, że honor wojskowy zabrania mu tego.

Stary emeryt czekał cierpliwie.

Zarzucił wędkę i czekał cierpliwie, bacząc, czy ryba połknie haczyk.

- Panie Semkowski! - ozwał się wreszcie. - My przecież nie proponujemy panu niczego nadzwyczajnego. Pan po prostu pożyczka od nas pieniądze. Jeżeliby pan mógł pożyczyć owe pieniądze od lichwiarza na znacznie większy procent, nie rozumiem zupełnie, dlaczego pan nie może pożyczyć pieniędzy od nas.

Major II Oddziału milczał.

Stary emeryt uśmiechnął się chytrze, wyjął z leżącej przed nim teczki jakiś papier i podsunął go Semkowskiemu, po czym ujął w rękę obsadkę i uczynił ruch, jakby chciał podać ją oficerowi.

Semkowski spojrział na leżący przed nim papier.

- Co to jest?

- To? Pan jest bardzo zdenerwowany i to zupełnie niepotrzebnie. To jest blankiet wekslowy. Proszę niech pan podpisze. Jeden ruch ręką i sprawa będzie załatwiona. Ja przecież nie stawiam terminu zwrotu tej sumy. Jak się pan odegra to nam pan wróci...

Zaszeleścił znowu wachlarzem pięćsetzłotowych banknotów.

Pokusa była silna, bardzo silna.

Zdenerwowanym ruchem major Semkowski ujął obsadkę i rzucił swój podpis na weksel.

Właściciel kasyna gry schował szybko ten weksel między kartki dziennika. Jeszcze bliżej podsunął Semkowskiemu pieniądze.

- Jak pan widzi, nie wezwaliśmy pana po to, by zrobić mu krzywdę. Nie życzę panu szczęścia w grze, bo to podobno nie przynosi dobrej passy.

Niedbałym ruchem Semkowski zgarnął banknoty.

- O, już dziś grać nie będę.

- Bardzo słusznie. Trzeba wypocząć i przeczekać okres niepowodzeń.

Semkowski wstał.

- Nie bardzo rozumiem tego, co się stało, ale jestem panu bardzo wdzięczny.

- Przesada. Przesada, panie ma... przepraszam, panie Semkowski.

Na ogorzałej twarzy majora ukazał się uśmiech.

Bawiły go omyłki starego paralityka, który mimo zastrzeżeń, ciągle tytułował go rangą wojskową.

- A zatem, do widzenia panu.

Oficer skierował się ku drzwiom.

- Czy pan uwierzy - zatrzymał go w drodze jakby nieco rozbawiony głos człowieka przykutego do fotela na kółkach - czy pan uwierzy, że myśleliśmy przez chwilę, że odwiedza pan nasze skromne i niskie progi w charakterze służbowym.

Coś w rodzaju niechęci osiadło na twarzy oficera

- Obecnie nie żywi już pan tych przypuszczeń?

- Raczej nie.

- Jest mi to właściwie zupełnie obojętne.

Za Semkowskim zamknęły się drzwi. Metr Sali i sparaliżowany starzec patrzeli na siebie przez długą chwilę.

- Zdaje mi się, że go mamy - rzekł wreszcie paralityk.

- Nic pewnego. To niesłychanie twarda sztuka. Może nam wywinąć młynka.

- O to już nie ma obawy. On ma wiele dumy, umie zachować pozory dbałości o godność munduru, ale na tym kryształ są rysy. Widziałeś jego spojrzenie na te banknoty. Takiego można do piekła zaprowadzić, tylko trzeba znaleźć wspólny z nim język. Uważasz. Jak nie pieniądze, to kobiety, jak nie kobiety, to hazard... Jakie namiętności, drzemią w tym człowieku!...

Semkowski przeszedł tymczasem przez salę gry i skinął na dziewczynę z którą poprzednią rozmawiał.

- Lena! Ubieraj się! Idziemy!

- Dokąd?

- A to co znowu? Pytania? Zbyteczna ciekawość?... Ubieraj się. Nie stracisz na tym.

Uśluchała w milczeniu. Nigdy zresztą Semkowski, ani do niej, ani do innych dziewcząt, nie mówił innym tonem jak tonem kaprała strofującego rekrutów.

Za chwilę znaleźli się na ulicy.

Przeszli kilka przecznic, zaledwie kilka słów wymieniając z sobą i znaleźli się na postoju taksówek. Semkowski otworzył drzwiczki jednego z wozów.

- Siadaj... Proszę tu, w środku, zgasić światło - rzucił do kierowcy.

- Gdzie mam jechać? - zapytał szofer.

- Do Savoyu.

Taksówka ruszyła. Semkowski przechylił się i przyciągnął do siebie dziewczynę. Łakomymi, chciwymi wargami wpił się w jej ukarminowane usta...

Gdy taksówka znalazła się na Nowym Świecie, wydobyl z kieszeni jeden z pięćsetzłotowych banknotów otrzymanych w tajnym kasynie gry i wcisnął go w rękę dziewczyny, mówiąc tonem, w którym była ironia, pogarda i odrobina dobroduszości.

- Masz, głupia!... Ciesz się!...

Rozdział XIII

?

Było to późną, późną jesienią, kiedy drzewa stały już całkiem obnażone i kiedy coraz mniej było dni słonecznych i ciepłych.

Wówczas to nastąpiły owe wypadki, wypadki idące szybko jak burza, wypadki bijące jak grom - wówczas to zastygła Europa w przerażeniu i trwodze, wówczas to zaczął się poczęły owe krew w żyłach mrozące zdarzenia.

Z początku policja, która pierwsza zajęła się tymi wypadkami nie uważała ich za łańcuch akcji planowej i traktowała owe zdarzenia jako sporadyczne. Później jednak okazało się bardzo szybko, iż to, co się działo, nie było szeregiem przypadkowo zaszłych faktów, lecz że był to szereg ogniw jednego łańcucha, szereg ogniw doskonale i planowo opracowanych.

I coraz częściej poczęły podnosić się z łamów prasy europejskiej głosy alarmu, głosy ostrzeżenia i przestrogi. Owa europejska prasa skłócona z sobą, wykazywała rzadką i godną podziwu solidarność, o ile o tę rzecz chodziło.

Biły na alarm w imię dobra wszystkich państw i narodów Europy, zarówno pisma francuskie jak i niemieckie, zarówno dzienniki czechosłowackie jak i węgierskie.

Zarówno jednak policja jak i władze wojskowe i rządy państw europejskich, bezsilne były wobec owej tajnej, potężnej i zupełnie specyficznymi metodami działającej organizacji, która nosiła dumne i tajemnicze miano Znak Zapytania.

Znak Zapytania to była wspaniale zdyscyplinowana, znakomicie zakonspirowana organizacja rozporządzająca - jak przypuszczano - olbrzymimi funduszami; organizacja, prowadzona niezmiernie sprężysto i rozpościerająca swe macki po całej Europie.

Jak ośmiornica w swe oślizgłe, chciwe ramiona porywa borykającą się z nią ofiarę, tak organizacja owa otaczała wszystkie państwa europejskie siecią swych wspaniale pracujących placówek.

Rozporządzająca ludźmi nie tylko z ich wolą, lecz i wbrew ich woli, imająca się szantażu jako ulubionej broni dla wymuszenia posłuszeństwa swym rozkazom, organizacja Znak Zapytania była wprost nie do zwalczenia i tylko połączonym wysiłkiem najznakomitszych kryminalistów państw europejskich zawdzięczać należy ostateczne zdławienie i obcięcie ramion owego polipa.

Równocześnie z przerażającymi aktami sabotażu, wysadzaniem w powietrze mostów, podminowywaniem torów kolejowych, z zamachami na magazyny, prochownie i obiekty

wojskowe mnożyć się zaczęły wypadki coraz to częstszego szpiegostwa, ginąć zaczęły w sposób tajemniczy i zagadkowy akta generalnych sztabów.

Nieznany, niewidzialny, anonimowy wróg zdawał się wciskać wszędzie. Można by sądzić, iż nie ma dla niego zapór, iż zabawką są dla niego płyty ogniotrwałych kas kryjących w sobie państwowe i wojskowe tajemnice, można by sądzić, iż ma on zdolność odcyfrowywania owych dokumentów poprzez płótna grubych kopert opatrzonych licznymi wielkimi pieczęciami.

Doszło do tego, że oficerowie sztabów głównych, noszący w komórkach swych mózgów kapitalne tajemnice dotyczące obrony kraju, poczęli nie dowierzać sobie wzajemnie, że atmosfera podejrzliwości wkładać się poczęła coraz to bardziej i bardziej do ponurych i mrocznych gmachów wojskowych, w których dojrzewały plany przyszłych wojen, gdzie nad planami mobilizacyjnymi chyliły się krótko ostrzyżone głowy.

Oficerowie Drugiego Oddziału przestali wierzyć sobie wzajemnie. Wszędzie wietrzono podstęp, szpiegostwo i sabotaż. Wobec siły owych podejrzeń łamały się najbardziej trwale i mocne uczucia przyjaźni. Druhowie serdeczni stawali się dla siebie obcymi, kontrolowali i obserwowali się wzajemnie.

Wywiady i kontrwywiady pracowały niestrudzenie, jakby nie był to pokój, lecz wojna...

Chwilami tracono już jednak zimną krew i chłód trafnej orientacji.

Nie wiedziano już, kto kogo szpieguje lub z kim pracuje przeciw komu?

Plątały się misterne nici wywiadów w jeden wielki gordyjski węzeł.

Im bardziej rosła groza akcji Znak Zapytania, im częściej zjawiał się ów znak złowieszczy w ogniotrwałych kasach, będących „świętymi świętych” i zawierających tajne dokumenty - tym bardziej szerzyła się dezorientacja.

Szefowie podejrzewali podwładnych, podwładni śledzili szefów. Zmieniło się to w jakąś obłądną, niesamowitą psychozę, której nawet najtęższe nie mogły się oprzeć umysły.

A Znak Zapytania pracował.

Pracował wytrwale, z żelazną konsekwencją, skryty, nieubłagany, uderzający tam, gdzie najmniej spodziewano się jego uderzenia.

W każdej walce padają ofiary, do niewoli dostają się jeńcy. Były ofiary również w walce Znak Zapytania z Europą.

Specjalne zarządzenia, wysokie nagrody, zaostrzenie czujności - musiało to wszystko sprawić, że to tu, to tam demaskowano członka organizacji nazywającej siebie Znakiem Zapytania, że chwymano na gorącym uczynku szpiega wykradającego lub kopiującego

dokumenty olbrzymiej wagi.

Sądy doraźne, w których zasiadali błyszczący epoletami, olśniewający mnogością orderów i odznaczeń, siwiejący oficerowie - wiedzieli, co robić w tych wypadkach.

Następowało krótkie śledztwo. Potem rozprawa, której z bronią u nogi asystował oddział egzekucyjny. Potem monotony głos przewodniczącego trybunału odczytywał niezmienny wyrok.

- Kara śmierci.

Podania o łaskę były właściwie zbyteczne. Prosta formalność, która nie odraczała terminu egzekucji. O ułaskawieniu nie mogło być mowy.

Ciasne, krzyczące ścianami czerwonych murów podwórze więzienne. Trumna z tarcic. Słupek.

Ceremonia jak na rewii.

Werbel! Wyrok!... Ostatnia droga pod słupek. Gest łaski. Skazaniec może zawiązać sobie oczy chustką, by nie widział luf wymierzonych w jego piersi i głowę. By nie widział momentu, kiedy spada ukośnie szabla oficera dowodzącego egzekucyjnym oddziałem. Po cóż oczy jego mają widzieć moment, kiedy śmierć wyrusza do ataku? Lepiej, by skazaniec ów moment przeczuwał.

A potem...

Słowa komendy. Chwila ciszy. Błysk szabli, w której stali przegląda się słońce. Salwa, zdławiona w czworoboku murów.

- Koniec, panowie! Ceremonia skończona!

Sprawiedliwość rozjaśnia zasępione oblicze.

Ale rzecz była dziwna i niezrozumiała. W ginących od egzekucyjnych salw członkach organizacji Znak Zapytania, była dziwna niesamowita zawziętość.

Aresztowani, zdruzgotani dowodami swej winy, dowodami jasnymi jak wiosenny poranek - milczeli, odmawiali zeznań. Wiedzieli, że są zgubieni, że wyjście z owej sytuacji jest tylko jedno, i może właśnie dlatego, że nic nie mieli już do stracenia, milczeli jak zakłęci

Być może - byli pionkami. Być może, niewiele wiedzieli. W każdym razie nikt nie dowiedział się od nich najdrobniejszych szczegółów o Znaku Zapytania poza potwierdzeniem, że organizacja taka istnieje, że do niej należeli...

Kto, gdzie, jak, co i kiedy? Po co? Dla jakiej idei, czy bez idei? - na to pytanie nie otrzymali odpowiedzi przewodniczący doraźnych trybunałów.

Oskarżeni milczeli i milczeli tak do końca.

A przecież był! Był i musiał istnieć, jakiś tajemniczy wódz i herszt owej organizacji.

Osobnik, którego wola trzymała członków Znak Zapytania w isticie żelaznej dyscyplinie, człowiek, który był mózgiem tego wielkiego, rozgałęzionego szeroko i nieprzyjacielskiego spisku.

Kim był? Jakiej był narodowości? Gdzie mieściła się jego główna kwatery? - oto były zagadki, wobec których stała bezradna policja wszystkich krajów Europy.

Gdyby było można wykryć tę szaloną i niepospolicie zdolną jednostkę, która jak manekinami kierowała członkami organizacji, gdyby było można osaczyć go i zdławić jak lisa w jamie! Organizacja Znak Zapytania pozbawiona swego mózgu, a był to mózg o inteligencji nieprzeciętnej, rozpadłaby się jak pozbawiona obręczy beczka.

Wykryć szefa szajki Znak Zapytania - to było marzenie wszystkich wybitnych detektywów i kryminalistów.

A wódz organizacji Znak Zapytania obojętny na nagrody wyznaczane za jego głowę, nieznan, otoczony nieprzeniknioną mgłą tajemnicy - działał niestrudzenie i coraz to nowe i coraz to większe gotował niespodzianki.

* * *

Ludzie mówili o nim, że był dziwakiem, on sam zaś uważał siebie za najnormalniejszego na świecie. Nie godził się z tym, by jego drobne upodobania życiowe traktowane były jak dziwactwa. Uważał się nie za dziwaka, ale po prostu za człowieka innego.

Tamci ludzie lubili bowiem przeważnie i wyłącznie ludzi żywych, Sylwester Matuszka zaś lubił ludzi umarłych. To było właśnie tą drobną różnicą, której skutki były straszliwe i opłakane.

Matuszka był obywatelem Wiednia. Na pytanie, co robił i czym się zajmował Matuszka, można było odpowiedzieć bardzo krótko. Matuszka nic nie robił. Z zawodu był pirotechnikiem, od momentu jednak, kiedy rodzice jego, przenosząc się na drugi świat, pozostawili mu mały mająteczek, Matuszka porzucił wszelką pracę i żył z małej renty, która nie wystarczyłaby wielu innym, a która jemu wystarczała w zupełności.

Mieszkał więc Matuszka nad modrym Dunajem i przez wszystkich znajomych był uważany za dziwaka. Może tylko przez delikatność oznaczano go tym mianem, z pewnością bowiem wielu ludzi uważało go za wariata.

Znajomych zresztą miał bardzo niewielu i niechętnie zawierał znajomości. Zawsze czarno ubrany, z rozrzuconymi blond włosami, o głęboko osadzonych oczach, w których zawsze ponury palił się płomień mieszkał Matuszka w dużym domu na jednym z przedmieść Wiednia, w domu, gdzie matki straszyły dzieci jego osobą.

Matuszka prowadził tryb życia bardzo regularny i bardzo specjalny. Polegał on po prostu na tym, że wcześniej rano wychodził z domu i wracał do niego późnym wieczorem, po to tylko, by przespać się przez kilka godzin.

Nikt nie odwiedzał nigdy jego mieszkania, a stara posługaczka, która w pokoju jego utrzymywała jaki taki porządek, żegnała się zawsze zabobonnie, wchodząc do tego pokoju, gdzie nad drzwiami, rozpostarty i ćwiekami przybity, wisiał nietoperz, gdzie na stosie zakurzonych książek i pism trupia czaszka szczyrzyła złote zębiska, gdzie ściany obwieszane były reprodukcjami makabrycznych i sadystycznych obrazów Goi.

Przesądna posługaczka za żadne skarby świata nie weszłaby do owego pokoju z nastaniem mroku, Matuszka jednak czuł się w nim doskonale.

Co robił przez długie godziny dnia? Gdzie bywał od rana do późnej nocy? Znajomi jego, którzy znali go jeszcze jako młodego i niezdziwaczałego chłopca, wiedzieli coś niecoś o tym.

Matuszka obłąkany był miłością do trupów, do krwi i do ohydy cmentarnych ceremonii.

Zapewne właśnie dlatego jako wolny słuchacz uczęszczał na wykłady medycyny sądowej, by w salach prosektorium zawierać znajomości z tymi, którzy już odeszli. Zapewne właśnie dlatego zjawiał się na miejscu każdej zbrodni i przeżywał chwile druzgocącego szczęścia na widok zmasakrowanych szczątków. Zapewne właśnie dlatego miał zwyczaj odprowadzać na cmentarz każdy napotkany pogrzeb.

Był sadystą do szpiku kości, upajał się widokiem krwi i martwych ciał, duchowo był stokrotnym, tysiąckrotnym mordercą, nie miał jednak odwagi, nie miał siły woli, by dopuścić się zbrodni, które tylko przeżywał w swym chorym mózgu.

W tym samym czasie, kiedy w Warszawie Roger Crandall, agent Intelligence Service znany pod szyfrą Th-113 zginął z rąk bezlitosnych morderców, zjawił się w Wiedniu człowiek, który od dłuższego czasu śledził każdy krok Matuszki, aż wreszcie powiedział sobie:

- Oto człowiek, jakiego szukałem.

I stało się, że, gdy Matuszka wracał raz późną nocą ze swych codziennych wycieczek, zastąpił mu drogę jakiś nieznajomy pan i zagadnął bezceremonialnie:

- Dobry wieczór, panie Matuszka.

Głębokie, otchłanne, przedziwnie błękitne oczy Matuszki spoczęły z wyrazem niechęci na twarzy nieznajomego.

Chciał po prostu wyminąć natręta i skierować się do bramy swego domu, lecz tamten

położył mu rękę na ramieniu.

- Wiem, że nie lubi pan poznawać ludzi żywych - rzekł z uśmiechem. - Sądzę jednak, że dla mnie zrobi pan wyjątek.

Matuszka drgnął.

- Co pan powiedział?

Człowiek, który go zaczepił uśmiechnął się.

- Chcę dać panu do zrozumienia, że znam pańskie upodobania i uznaję je za słuszne.

- Mało mnie to obchodzi, za jakie pan je uważa.

- I na to zgoda. Tymczasem jednak pozwoli pan, że zaproszę się do niego na kieliszek czerwonego wina. Wino czerwone ma urok szczególny, bowiem jego kolor przypomina krew, napój godny bogów.

Matuszka popatrzał na nieznajomego.

- Wino czerwone? Skąd pan wie, że mam w domu wino czerwone?

Kupował je pan przecież wczoraj na Ringstrasse. Przypuszczam, że w ciągu nocy ubiegłej, nie wypił pan całej butelki.

Gorejące oczy Matuszki wpiły się w natręta.

- Ma pan rację. Nie wypilem sam całej butelki. Ale pan mnie śledził, mój panie.

- Nie inaczej.

- Przyznaje się pan do tego? Dlaczego mnie pan szpiegował?

- Dużo by o tym mówić. Interesował mnie pan, chciałem się więc przekonać, co pan robi, jak pan dzień spędza, jakie pan ma upodobania. Wolałbym jednak nie rozmawiać z panem na ulicy.

- Bardzo słusznie! Wobec tego pożegnamy się.

- Nie! Wobec tego pójdę do pana i tam będziemy rozmawiać dalej.

Matuszka znowu ogarnął go spojrzeniem.

- Chce pan iść do mnie? Bardzo proszę! - rzekł, decydując się nagle.

Stanęli przed drzwiami mieszkania Matuszki, który otworzył zatrzask i zapalił światło.

Przybyły rozejrzał się ciekawie. Spojrzał na trupią czaszkę szczerzącą złote zęby, na przybitego nad drzwiami nietoperza, na reprodukcję Goi, na jakieś piszczele skrzyżowane i leżące na etażerce, po czym zwrócił się do Matuszki, który bynajmniej nie kryjąc swej niechęci do nocnej wizyty, patrzył na niego zmrużonymi lekko oczyma.

- Bardzo, bardzo miło pan mieszka - rzekł nieznajomy bez cienia ironii w głosie. - Według przesądu wieśniaków nietoperz przybity nad drzwiami przynosi szczęście. Czy przyniósł on panu powodzenie?

- Nie szukam w życiu powodzenia.

- To jest wielkie prowokowanie życia. Nie wiem jednak, czy panu mówiono o tym, że nietoperz taki winien być żywy przybity nad drzwiami, by zwierzątko przez dłuższy czas męczyło się, zanim skona. Czy i ten był przybity żywy?

Dziwak spojrzał spod oka na nieznanego, który zachowywał się zupełnie swobodnie. Matuszka nie zdawał sobie sprawy, czy ów niedawno poznany człowiek mówi serio, czy kpi. Z całą pewnością to, co mówił, znajdowało się na krawędzi tych dwu możliwości.

Tamten zaś usiadł na krześle, nie rozbierając się, w pokoju bowiem panował chłód. Uczynił charakterystyczny gest ręką.

- Dawajże pan to wino, panie Matuszka. Zawsze to nas trochę rozgrzeje.

Sylwester Matuszka ruszył ramionami i sięgnął po butelkę.

Nieznanomy podniósł szklanekę z winem pod światło, wypił kilka łyków i mlasnął językiem.

- Wcale, wcale nieźle... Cóż słysząc u pana, panie Matuszka?

- Przepraszam, ale właściwie czego pan ode mnie chce? Przecież nie po to chyba zwał mi się pan na głowę już dobrze po północy, by pytać mnie: Co słysząc u pana, panie Matuszka?

Nieznanomy roześmiał się.

- Ma pan zupełną rację. Toteż nie będę szedł krętą drogą do celu, lecz wyłożę karty na stół.

- Najwyższy czas.

- Pan jest bardzo gościnnie i uprzejmie. Otóż, panie Matuszka, ja znam wszystkie pańskie upodobania i cieszę się, że one są takie, a nie inne.

- To jest mi, ostatecznie, obojętne.

- Ale mnie nie. Mnie to bardzo dogadza, że pan lubi prosekoria i muzea medycyny sądowej, że pan przybija do drzwi żywe nietoperze dwucalowymi ćwiekami, że lubi pan widok świeżo wykopanych mogił, że śpi pan spokojnie jak niemowlę w pokoju, gdzie wpatruje się w mrok trupia czaszka swymi pustymi oczodołami... Mnie bardzo to dogadza, że cieszy się pan, gdy ktoś wpadnie pod tramwaj albo gdy samochód uderzy kogoś błotnikiem, że ogląda pan skrupulatnie miejsce każdej zbrodni, że widok trupów sprawia panu miłą przyjemność...

Matuszka słuchał z uwagą. Nerwowe ruchy brwiami były całą odpowiedzią na słowa nieznanego.

Ów zaś dopił wina ze szklanki i ze stukiem postawił ją na stole.

- Pan jest nienormalny, panie Matuszka - oświadczył niespodziewanie.

- Nienormalny? Nazywają mnie dziwakiem.

- Nie dlatego jednak jest pan anormalny, że pan lubi wszystkie historie, o których panu mówiłem. Nie. Pan jest nienormalny z innego powodu.

- Zaciekawia mnie pan.

Nieznajomy uśmiechnął się.

- To bardzo dobrze, że pana zaciekawiam, panie Matuszka. O to mi właśnie chodzi. To jest cel tej nocnej wizyty. Czy wie pan, dlaczego pan jest nienormalny? Otóż żyje w panu i nurtuje panem olbrzymie pożądanie niszczenia. Rozumie pan? Pożądanie widoku pożarów i łun olbrzymich, widoku mordy i rzezi, widoku szubienic, na których w skurczach potwornych kończą skazańcy dławieni namydlonym sznurem stryczka. Hej! Czy nie tak? Czy się mylę?

- Nie myli się pan! - odparł zapytany, zmienionym nieco głosem. Ręka w której trzymał szklankę z winem, poczęła mu się trząść jak w febrze.

- Ale pan jest tchórzem. Pan jest wielkim tchórzem, panie Matuszka. I dlatego woli pan przychodzić do gotowego, czekać, aż przeznaczenie stworzy okazję do tak miłych dla pana wrażeń. Czy nie pomyślał pan nigdy o tym, panie Matuszka, że przecież zamiast czekać, aż jakaś trzecia siła dokona zniszczenia, mógłby pan sam siać owe zniszczenie i cieszyć się jego rezultatami, że mógłby pan sam być ową siłą, która zniszczenie tworzy.

Rozdział XIV

STRASZLIWY KUSICIEL

Nieznajomy urwał i wpił swój przenikliwy wzrok w pobladłą twarz Matuszki, po której przebiegały nerwowe drgania. Przez chwilę w pokoju, gdzie nad drzwiami wisiał nietoperz i złotymi zębami pyszniła się trupia czaszka, panowało głębokie, głuche milczenie, a przerwał je dopiero głośny brzęk szklanki, która wypadła na podłogę z rąk Matuszki i rozbiła się na drobne kawałki.

- Panie Matuszka! - zaczął znowu straszliwy kusiciel - Niech pan pomyśli, jak wielkich może pan doznać emocji i przeżyć. Pan sam niszczy, sam sieje śmierć, sam morduje i przeżywa podwójnie te podniety, które pan przeżywa teraz, a które muszą być bledsze od tych wymienianych przed panem przeze mnie. Jakże miły jest diabelski płas, wesoly taniec na gruzach czegoś, co było, a co być przestało, zniszczone naszą ręką... Panie Matuszka! Słyszysz mnie pan?

Biała chuda ręka przesunęła się po zroszonym potem czole.

- Rozumiem! Pan jest wcieleniem szatana.

- Któremu pan służy całą duszą. W panu, panie Matuszka, drzemią wspaniałe demoniczne żądze zniszczenia. Trzeba zerwać z półwrażeniami, z półprzeżyciami, z półemocjami. Trzeba, by pan się napił do dna z czary owego zatrutego szалу, jaki w panu drzemie.

- Po co? Po co pan mówi do mnie w ten sposób?

- Po co? Odpowiem pytaniem na pytanie. Dlaczego pan o to pyta? Przyszedł po prostu do pana ktoś, kto sobie powiedział: Dziwne siły ukryte są i drzemią w sercu i umyśle tego człowieka. Nuże, starajmy się je rozbudzić! Wszystko jedno, czy moce te są dobre, czy złe. Wyrwijmy je z letargu. Tak czy inaczej objawi się ich działanie - to dla mnie obojętne. Przyszedłem panu wskazać, panie Matuszka, do czego jest pan zdolny. Przyszedłem pana umocnić.

- Pan jest anarchistą?

Nieznajomy uśmiechnął się.

- Nazywaj pan to sobie, jak pan chcesz. Rzuciłem ziarno na glebę urodzajną. Przekonamy się, jaki będzie plon. Teraz odchodzę i nie ujrzymy się więcej.

Tajemniczy gość wstał i sięgnął po kapelusz. Matuszka powstrzymał go ruchem ręki.

- Niech pan zostanie. Mówi pan tak zajmująco.

- Nie mam tu po co zostać. Powiedziałem już panu wszystko. Niech mi pan zresztą odpowie na jedno pytanie. Czy chciałby pan te rzeczy przeżywać tak, jak ja to pojmuję?

Matuszka milczał, z głową pochyloną na piersi.

- Ja już dawno myślałem o tym - rzekł wreszcie.

- Myślał pan o tym! To dobrze. No, ale nie miał pan odwagi, by tego dokonać.

- Nie myli się pan.

- Jeżeliby jednak znalazł się ktoś, kto by panu powiedział: Nauczę cię tego! - stałby się pan bardzo szybko pojętym uczniem. Gdyby się znalazł ktoś, kto by dostarczył panu niszczących materiałów - pan rozumie! - kto by dał panu plan działania, kto ochroniłby pana przed niebezpieczeństwem zdemaskowania przez policję - czy wówczas powiedziałby pan krótkie słowo: Tak!

- Powiedziałbym. Ale czegoż ten daleki nieznajomy „ktoś” żądałby za te przysługi?

- Nic. Zupełnie nic.

- Nic?

- Tak! Nie obchodzi przecież pana, jaki cel ma w tym ów „ktoś”, ów nieznajomy. To jest obojętne. Efekt jest ten sam i wrażenia równie silne. Czy chce pan tedy niszczyć wszystko, co jest do zniszczenia?

- Wszystko, co jest do zniszczenia? Tak! Ale ja jednak nie wierzę panu. W tym jest jakiś podstęp okrutny a piekielny.

- Bzdury pan plecie, Matuszka.

- Jestem tylko ostrożny. Wolę krematorium od kryminału. Tam mi przynajmniej nie grozi przeziębienie...

- Ostrożność pana jest zupełnie na miejscu, mimo to jednak jest ona nieuzasadniona. Nie grozi panu żadne niebezpieczeństwo. Ten, kto chce panu dopomóc w realizacji marzeń pańskiego życia, jest zainteresowany w tym, by robił pan to, co pan robić będzie. On też dostarczy panu wszelkich instrukcji i pieniędzy potrzebnych do realizacji owych planów.

- Ten kto chce mi dopomóc? Któż to taki?

- Za dużo chciałby pan wiedzieć.

Brwi Matuszki ściągnęły się w namyśle.

- Sądzę, że nie za dużo. Pan i ten wielki nieznajomy, który pana posłał, wiecie, kim ja jestem, wiecie, jakim jestem, wiecie, gdzie mieszkam. Ja zaś nie wiem o was nic. Zapewniam pana, nie jestem ja taki stuprocentowy wariat, za jakiego mnie pan ma. Interes! Emocja! I owszem. Ale interes to dwustronna umowa. Karty na stół! Kto jest ten nieznajomy, ten tajemniczy osobnik, którego pan jest współnikiem. Kto to jest? Proszę o odpowiedź.

Uśmiech wykrzywił znowu wąskie wargi nocnego gościa.

- Powiedziałem już panu, że jest pan zbyt ciekawy. Niemniej jednak powiem panu tę część prawdy, którą mogę panu powiedzieć. Zwraca się do pana przez moje usta Znak Zapytania.

- Znak Zapytania?

- Tak! Niechże to panu wystarczy. I proszę, niech pan pamięta, panie Matuszka, niech pan pamięta, powtarzam, że Znak Zapytania łaskawy jest dla posłusznych i wiernych sobie, natomiast wszelki opór karze śmiercią. Nie trzeba z nim igrzać, panie Matuszka, jeżeli nie chce się pan stać jednym z owych trupów, które tak bardzo cieszą pana oczy. Ostrzegam pana, panie Matuszka.

Nieznajomy stanął w drzwiach i objął wzrokiem niesamowity pokój.

- Panie Matuszka! - rzekł - Za kilka dni otrzyma pan dokument stwierdzający, że jest pan właścicielem wielkich kamieniołomów. Jest to konieczne, bowiem wówczas zdoła pan nabyć większą ilość środków wybuchowych, które nam będą potrzebne.

- Na czym polegać będzie moja praca? W jaki sposób mam prowadzić dzieło zniszczenia?

Nieznajomy, który trzymał już rękę na klamce, zatrzymał się. Płomień zapalił się w jego oczach.

- Panie Matuszka! Pyta pan, co pan będzie robił. Niech pan posłucha. Czy wyobraża pan sobie noc, ponurą, ciemną, bezksiężycową noc. Płoną tysiące lamp i znaki semaforów na wielkiej stacji, gdzie krzyżują się międzynarodowe ekspresy. Stacja jarzy się jak wielki gejzer światła. Ale zaraz za nią, gdy oświetlony rząd wagonów wyslizgnie się z dworcowej hali, czyha noc, czyha ciemność, czyha gęsty mrok, gdzie tylko od czasu do czasu błyskają światłem domki dróżników. Z szumem i hałasem, dzwoniąc i tętniąc o szyny, wielki międzynarodowy pociąg zatapia się w mrokach nocy. Mknie jak świetlisty duch przez granatową czerń, wije się jak wąż przez serpentyny torów... Naraz... Panie Matuszka, jak się to panu podoba? Nagle oślepiający błysk rozpromienia mroki. Straszliwy huk mąci głęboką ciszę. Lokomotywa i wagony staczają się z nasypu. Lśniące, piękne wagony zmieniają się w ciągu kilku sekund w potworną ohydłą masę żelastwa, spod której wydobywają się jęki rannych, obłądne i histeryczne wrzaski śmiertelnego przerażenia. Kłębią się wśród pogruchotanych szczątków wagonów poszarpane łachmany ciał ludzkich, krew zbryzgała i zrosiła zdruzgotane przedziały. Pan zaś, panie Matuszka, sprawca owego dzieła, upojony tryumfator spogląda z daleka na to rumowisko, na krew i trupy, i syci pan swe oczy widokiem katastrofy, jaka nie miała sobie równej. Bowiem pod nasyp kolejowy podłożył pan maszynę

piekielną, która eksplodowała ze straszliwą siłą. Oto, panie Matuszka, będzie pańska robota.

Nieznajomy podszedł do stolika i wyjął z kieszeni kilka stuszylingowych banknotów. Z uśmiechem na ustach złożył je na pół i wsadził między dwa rzędy złotych zębów trupiej czaszki.

- To się panu przyda, panie Matuszka! Niech pan czeka moich instrukcji. Zamiast podpisu będzie widniał pod nimi Znak Zapytania. Znak Zapytania - symbol tajemniczy. Znak Zapytania - symbol zniszczenia. Znak Zapytania - od dziś symbol pańskiego szczęścia. Do zobaczenia, panie Matuszka.

Nieznajomy nacisnął klamkę i wyszedł. Kroki jego ucichły szybko na schodach. Mógłby sądzić Sylwester Matuszka, że wizyta nieznajomego była tylko snem. Przeczyły jednak temu szczątki zbitego kieliszka od wina i banknoty stuszylingowe, którymi wabiła spomiędzy złota zębów patrząca pustymi oczodołami ohydna trupia czaszka...

Rozdział XV

W SŁUŻBIE WYWIADU

W Casino de Varsovie szło wszystko starym torem.

Codziennie o zwykłej porze przed zebraną przy stolikach publicznością popisywała się Ina Ordeyg, co kilka dni zjawiał się w lokalu barczysty mężczyzna w czarnych rogowych okularach i zajmował miejsce przy jednym ze stołów, ponury i samotny jak zwykle. Po ukończeniu programu znikał on zazwyczaj w garderobie Iny Ordeyg.

Koleżanki jej, popisujące się w tym samym co ona programie, oraz fordanserki z Casino de Varsovie mniemały, że barczysty, mrukliwy mężczyzna jest kochankiem lub „przyjacielem” Iny.

- Szpetny to on jest, ale jeżeli ma forszę, to wszystko w porządku - oświadczyła jedna z nich, a inne przyznały jej rację.

Ina wiedziała, co o tym sądzą jej koleżanki, daleka była jednak od wyprowadzania ich z błędu.

Ina Ordeyg była rozsądną dziewczyną. Po pierwszej rozmowie, którą miała z nieznajomym, rozważyła szanse walki z wysłannikiem Znak Zapytania. Rachunek był bardzo prosty, życie jej brata było w rękach nieznajomego, więc służbą nieznajomemu mogła to życie ocalić, buntem i oporem - zgubić.

Ina Ordeyg kochała brata. W każdym razie był jej bliższy od Gorzyckiego, który odpowiadał jej pod wieloma względami, ale który nie był wcale jej wielką i płomienną miłością. Miłość taka miała dopiero przyjść w życie Iny i stać się jej wielką tragedią. Gorzycki był jej tylko potrzebny.

Ambitna dziewczyna, która zdawała sobie dobrze sprawę, że nawet najpiękniejsze i najpiękniej wykonujące pas nogi nie są jeszcze karierą życiową, lecz drogą do kariery - postanowiła osiągnąć stanowisko żony szefa policji.

Propozycja nieznajomego postawiła ją w trudnym położeniu. Gdyby ją zdemaskował Gorzycki, gdyby przeczuł, jaką rolę pełni - cel do którego dążyła, oddaliłby się raz na zawsze. Z drugiej strony Ina Ordeyg miała cechę, którą odznacza się znakomita większość kobiet.

Ina Ordeyg była próżna. Ina Ordeyg lubiła ładnie się ubrać. Nieznajomy przyrzekł Inie, że będzie dobrze opłacał jej usługi i dotrzymywał przyrzeczenia. Co tydzień, odchodząc, zostawiał jej na stoliku w garderobie trzy nowiutkie stuzłotówki. Były tak nowe i niepokalane, że Ina przypuszczała początkowo, że ma do czynienia nie tylko z członkiem

wywiadu, lecz i z fałszerzem pieniędzy. Nowiuteńkie stuzłotówki przyjmowano jednak wszędzie bez żadnych zastrzeżeń.

W trudnej sytuacji, w jakiej się znalazła Ina Ordeyg lawirowała z właściwym sobie kobiecym sprytem. Zresztą prace, jakie jej dotychczas powierzał barczysty nieznajomy pan w czarnych rogowych okularach, nie były bynajmniej trudne. Chodziło jak dotąd po prostu o to, by w rozmowie z Gorzyckim niesłuchanie ostrożnie i delikatnie, tak by szef policji nie spostrzegł się i nie powziął podejrzeń, wysondowywać pewne rzeczy, szczególnie te, które dotyczyły toczącego się ciągle śledztwa w sprawie śmierci Rogera Crandalla, agenta Intelligence Service oznaczonego kryptonimem Th-113.

Któż lepiej nadawał się do wyłudzenia od szefa policji szczegółów i szczegółików w tej sprawie, jeżeli nie kochana przez niego dziewczyna? Pytanie jej i jej zainteresowanie śledztwem w sprawie otrucia Crandalla i wykradzenia jego raportu z hotelu Atlantis było tym bardziej usprawiedliwione, że Ina Ordeyg była w mieszkaniu kochanka owej jesiennej nocy, kiedy to Roger Crandall spożył śmierć w pastylce gumy do żucia...

Nieznajomy barczysty pan w rogowych okularach przychodził do garderoby Iny, siadał na małym krzeselku i bez żadnej wstępnej wymiany zdań pytał, jak zostały wypełnione jego polecenia. Mówił, jak zawsze, monotonnym, równym głosem, skandując pojedyncze wyrazy.

Na Inę zdawał się nie zwracać żadnej uwagi, patrzył na nią i odnosił się do niej nie jak do olśniewająco pięknej młodej dziewczyny, lecz jak do rzeczy, jak do pierwszego lepszego przedmiotu. Taki sam był jego stosunek do wiecznego pióra lub butelki wina, chociaż być może do butelki wina stosunek ten był bardziej ciepły.

Raz tylko jeden...

Było to wtedy, kiedy, niedługo po ukończeniu przez Inę numeru tanecznego, bez pukania wszedł o jej garderoby.

Piękna dziewczyna przebierała się właśnie i była na pół naga.

Na widok nieznajomego twarz jej oblała się szkarłatnym rumieńcem i zmieszana stała nieporuszona, zasłaniając rękoma obnażone pagórki piersi.

On zaś zamknął drzwi i przystanął nieruchomo, patrząc na nią zza czarnych rogowych okularów. Wargi jego wykrzywił jakiś dziwny uśmiech.

- Jak pan śmiał! - wyjąkała dziewczyna.

On zaś zdawał się sycić swe osłonięte okularami oczy jej zmieszaniem i nieskazitelną doskonałością jej kształtów, urokiem twarzy pokrytej rumieńcem wstydu, nęcącą krągłością jej ramion i strzelistą linią obnażonych nóg.

Przystąpił naraz do niej i zanim zdołała się zorientować, jego ręce duże i silne objęły jej wdzięczną postać.

Przyciągnął ją do siebie i zbliżył jej twarz do swej twarzy, szukając wargami jej ust.

Szarpnęła się w jego uścisku.

- Proszę mnie puścić! Proszę puścić!... Rozumie pan!

Niepomny na nic, rozpalony oszałamiającą bliskością jej ciała, pijany żądzą posiadania cudnej dziewczyny przytulił ją mocno do siebie i przywarł do jej rozchylnych warg gorącym, namiętym pocałunkiem.

Dwa siarczyste policzki rozległy się stłumionym echem w małej garderobie.

- Puść mnie, ty... łotrze!

Silnym szarpnięciem uwolniła się z oplotu jego ramion. Odrzuciła go daleko od siebie i ręką wytarła usta płonące jeszcze od dotknięcia jego warg.

- Cóż pan sobie myśli? To przecież nie było przewidziane w naszej umowie. Czy chce to pan może potraktować jako wywiad w nieprzyjacielskim terenie?

Uśmiechnął się. Nic sobie nie robił z doznanej porażki.

- Nie zawsze bywa w życiu tak, jak układamy to sobie w jakichkolwiek umowach. I cóżby się stało złego, gdyby pani nie stawiała mi oporu, którego zresztą nie starałem się przełamać.

- Nie starał się pan przełamać! A to doskonale.

- Gdybym się starał, już teraz byłaby pani moja. Parsknęła śmiechem.

- Nadzwyczajne! Czy pan się nie myli?

Potrząsnęła głową.

- Ja nie myślę się nigdy. Mam przecież panią w ręku i mogę ją zmusić do wszelkich świadczeń wobec mej skromnej osoby...

Ina Ordeyg oparta o stolik, patrzyła wzrokiem pełnym nienawiści na swego prześladowcę.

- Rozumiem pana. Radzę panu jednak, by pan nie przebierał miary.

Stał przez chwilę z głową pochyloną. Ina nigdy nie widziała go takim.

- Kocham panią! - wyrzekł wreszcie.

Urażliwy, szydłszy uśmiech tancerki był odpowiedzią na te słowa. Kochał ją? Kochał ją ten ponury barczysty mężczyzna, którego oczu nie widziała nigdy. Kochał ją, on, który bez wahania użył szantażu, by zmusić ją do uległości i do posłuszeństwa. Kochał ją. On, który polecił jej szpiegować kochanka.

Na ustach Iny Ordeyg pojawił się uśmiech tryumfu. Od tej chwili, kiedy powodowany

żądzą, wypowiedział te słowa, zmieniły się role. Już teraz nie ona od niego, ale on był od niej zależny. Miała otwartą drogę, by uzyskać nad nim wpływ i by pokierować sprawami tak, jak tego pragnęła.

- Pan mnie kocha? - zapytała tonem wielkiego zdziwienia i równocześnie podeszła do niego bliżej.

- Tak! Kocham panią, Ino. Jest pani tak piękna...

Stał przed nią lekko pochylony, z wyrazem zmieszania na twarzy. Wydawać by się mogło, że rad by się cofnąć i odwołać to, co powiedział, i że jednocześnie zdawał sobie sprawę, że uczynienie tego byłoby śmieszne.

Ina Ordeyg obserwowała go spod przymrużonych powiek.

- Pan mnie kocha! - powtórzyła znowu, szczególnym tonem, w którym nie wiadomo, czy było pytanie, czy też stwierdzenie faktu. - To dziwne. Czy tacy ludzie jak pan mogą kochać?... To dziwne! Ja przecież nie wiem nawet, jak się pan nazywa.

Uśmiechnął się. Widziała tylko jego wykrzywione wargi, bowiem oczy przesłaniały czarne okulary w rogowej oprawie.

- To, że nie zna pani mego nazwiska w niczym nie przeszkadza...

- O, tak! Naturalnie! Przeszkoda leży w czym innym.

- A mianowicie w czym?

- W tym, że pana nie kocham. No!... Proszę mnie puścić.

Zanim zdołała się zorientować, porwał ją znowu w ramiona i przygarnął do siebie. Szarpnęła się raz i drugi, lecz nadaremnie. Uścisk jego ramion był stalowy.

Znowu pocałunki. Pocałunki szybkie i gwałtowne, tym bardziej łakome i głodne, że nieodwzajemniane. Wargi mężczyzny rozgniatają w gwałtownych zetknięciach małe drobne usta tancerki.

Ramiona jego oplatają ją tak ciasno, że Ina nie może unieść ręki, by się obronić. Obraca się tylko i przegina w tył, ale mężczyzna jest silniejszy od niej. Jedna ręka nieznajomego wczepia się w jej włosy i przechyla twarzyczkę ku sobie. Usta ich spotykają się znowu. Jego - płonące żarem pożądania; jej - zimne, zaciśnięte w uporze.

Inie udaje się uwolnić jedną swą rękę. Ruchem szybkim, nieobliczalnym, ruchem zbyt szybkim i błyskawicznym, by mógł zostać odparty, uderza nieznajomego w twarz swą drobną, ale silną ręką.

On puszcza ją nagle. Brzęk tłuczonego szkła. Złamane rogowe okulary padają na ziemię.

Ina Ordeyg patrzy przerażona tym, co zrobiła.

Po raz pierwszy widzi te oczy. Jego oczy.

Oczy te są straszne. Ina Ordeyg już nigdy po raz drugi w życiu nie będzie takich oczu widziała.

Oczy te, duże, lecz głęboko osadzone, są niesamowicie błękitne. Barwa ich podobna jest barwie błękitnej materii, którą przez czas jakiś trzymano w roztworze silnego kwasu i która wyblakła i wypłowiwała.

W oczach owych, oczach najbardziej dziwnych, jakie Ina Ordeyg widziała, jest wielki spokój, ale jest również i jakiś chłód i zamróz. Ina Ordeyg nigdy nie sądziła, że takie oczy może mieć człowiek żywy. Przeciwnie, wyobrażała sobie, że takie właśnie oczy muszą być oczyma trupa, oczy szkliste i szeroko otwarte, oczy patrzące nieruchomo w sufit, z wyżyn katafalku...

Wzdrygnęła się...

Nieznajomy tymczasem podniósł rękę do twarzy, po czym dobył chusteczki i przetarł oczy.

Spojrzał na Inę ich wyblakłym błękitem.

- Zrobiła pani źle, bardzo źle! - rzekł nieco zmienionym głosem - Obawiam się, że nie będziemy mogli tego odrobić. Nikt, rozumie pani, nikt, nie powinien widzieć moich oczu, są zbyt charakterystyczne, by widząc je raz, można było zapomnieć. Obawiam się, że pani brat nie wróci tak prędko z Wysp Sołowieckich.

Ina Ordeyg uspokoiła się nagle.

- Mój panie! - ozwała się tonem, jakiego nie słyszał u niej jeszcze nieznajomy - niechże pan zrozumie, że nie ja ponoszę winę za to, co się stało. Mógł pan kupić moje sumienie, mógł pan zmusić mnie do wykonywania czynności, do których nie czuję zapału, mógł wzbudzić pan we mnie żądze dużych i jak dotąd niezbyt ryzykownych zarobków. To jest w porządku. Ale przyzna mi pan chyba, że skoro chce pan, żebym mu się oddała, to musi pan zapytać, czy i ja tego chcę. W tej sprawie i ja mam coś do powiedzenia. Ina Ordeyg, agentka tajnej organizacji podlegała jest pana woli. Ina Ordeyg kobieta i tancerka mówi panu - precz!!! Rozumie pan! Precz z mojej garderoby! Jeżeli chce mi pan dawać instrukcje i zlecenia, ma pan telefon, może pan zadzwonić. Istnieje też instytucja zwana pocztą. Proszę jednak nie starać się o widzenie na tym terenie. Precz, mówię!

Otworzyła drzwi i rozkazującym ruchem ręki wskazała na oświetlony korytarz.

Popatrzył na nią wzrokiem, w którym musiała być utajona nienawiść i gniew, chociaż oczy jego zachowały swój szklisty, nieruchomy wyraz.

Ruszył ramionami, po czym zwrócił się ku wyjściu.

- Histeryczka! - zmeł w ustach, gdy był już na korytarzu.

Ina Ordeyg zamknęła starannie drzwi garderoby, po czym usiadła na małej kozetce, ukryła twarz w dłoniach i poczęła się zanosić od łkań.

* * *

Od owego wieczoru, kiedy agent Znak Zapytania za swe miłosne zaloty, został wyrzucony przez Inę z garderoby, tancerka nie widziała go więcej.

Nie pojawił się więcej w Casino de Varsovie. Jego stałe miejsce, które sobie zarezerwował, pozostawało przez kilka wieczorów puste, aż wreszcie kelnerzy zrezygnowali z oczekiwania na gościa, który za każdą swą bytnością zwykł wysączać butelkę dobrego i drogiego wina.

Kilkakrotnie nieznajomy pan o wyblakłych martwych oczach wzywał Inę Ordeyg do telefonu i ta drogą dawał jej zlecenia. W sobotę, jak zwykle, doręczył jej przez posłańca kopertę zawierającą jej honorarium szpiegowskie.

Nie wiadomo, czy barczysty mężczyzna przyznał się wobec starszych organizacji do tego, co zaszło w garderobie tancerki.

To pewne jednak, że nie należał do ludzi, którzy by nie regulowali swych rachunków życiowych, chociażby nawet te rachunki były najdrobniejsze.

Uważał też konsekwentnie, że jego rachunek z Iną winien być wyrównany.

Los więźnia wysp Sołowieckich nie w jego ręku leżał. I on był pionkiem w dłoniach Znak Zapytania, takim samym pionkiem jak Ina. Należał jednak do wyższego stopnia wtajemniczonych i wiedział rzeczy, jakich nigdy nie powierza się uszom kobiety.

Człowiek o wyblakłych, martwych oczach postanowił inaczej ukarać Inę za to, że odrzuciła jego miłosne propozycje. Znał jej ambicje i znał jej dążenia i jej stosunek do Gorzyckiego i na tym odcinku postanowił dokonać zemsty.

Zdołał przekonać tego, który był Znakiem Zapytania, że dalsze śledzenie Gorzyckiego nie przedstawia dla organizacji najmniejszego interesu. Zdołał przekonać władze sprzysiężenia, że Inę Ordeyg należy zużytkować w inny sposób i powierzyć jej inne, ważniejsze zadania.

Z chwilą gdy to mu się udało, miał w stosunku do Gorzyckiego wolną rękę, Znakowi Zapytania obojętne bowiem już było, czy Ina Ordeyg pozostawała nadal kochanką szefa policji, czy też z nim zerwie.

Ina Ordeyg była bardzo daleka od chęci zerwania z Gorzyckim. Dążeniem jej było przecież doprowadzić do tego, by Gorzycki poślubił ją - tancerkę kabaretową - by tą drogą zdobyć nazwisko i odpowiednią towarzyską pozycję.

Zemsta barczystego pana miała iść właśnie w tym kierunku, by pokrzyżować Inie Ordeyg te ambitne plany.

Agent Znaku Zapytania wziął się do tego w sposób bardzo prosty i nieskomplikowany.

Gdy pewnego dnia Gorzycki pracował w swym gabinecie, rozległ się dzwonek telefonu.

Szef policji podniósł słuchawkę z widełek.

- Hallo! Kto mówi!

Odpowiedź, jaką usłyszał Gorzycki, istotnie musiała być bardzo dziwna, bowiem brwi oficera policji uniosły się oznaką zdziwienia.

- Kto mówi? - powtórzył.

Z tamtej strony jednak zakomunikowano Gorzyckiemu to, co miano do zakomunikowania, po czym tajemniczy osobnik, telefonujący do szefa policji, położył słuchawkę.

Twarz Gorzyckiego ściągnęła się gniewem. Nie położył słuchawki na widełki, nie przerwał połączenia, lecz podszedł do drugiego aparatu, połączył się z centralą i zapytał, z jakim telefonem połączony jest jego telefon.

Odpowiedziano mu wkrótce, ale odpowiedź ta niczego mu nie wyjaśniła. Aparat stojący na jego biurku połączony był z aparatem telefonicznym jednej z kawiarni warszawskich. Stamtąd to telefonował nieznamy osobnik, który zrobił anonimowe doniesienie; doniesienie, w które Gorzycki nie mógł i nie chciał uwierzyć.

Równocześnie Ina Ordeyg otrzymała od Znaku Zapytania polecenie wykonania nowej „roboty” dla tajemniczej organizacji.

Było to pierwsze polecenie tego rodzaju, jakie Ina Ordeyg otrzymała.

Tym razem „robotą” miała być większa, co miało być dowodem specjalnego zaufania i wyrazem uznania dla zdolności i sprytu Iny.

Sprawa w gruncie rzeczy była bardzo prosta.

W najbliższym czasie miała zostać dokonana zasadnicza reorganizacja Policji Państwowej. Plan reorganizacji oznaczony literą T - co oznaczało tajne - znajdował się w posiadaniu Gorzyckiego i spoczywał w szufladzie biurka w jego prywatnym mieszkaniu.

Zadanie, jakie powierzył Inie Znak Zapytania było bardzo nieskomplikowane. Należało ów dokument wydostać z zamkniętej szuflady biurka, skopiować w skrócie jego treść, po czym schować oryginał z powrotem na miejsce, kopię zaś doręczyć we wskazany sposób i pod wskazany adres.

Inie Ordeyg było tym łatwiej wypełnić polecenie Znak Zapytania, że miała klucze od mieszkania szefa policji i przebywała dość często w mieszkaniu kochanka w czasie jego nieobecności.

Tancerka, pouczona telefonicznie przez barczystego mężczyznę o wyblakłych oczach, zabrała się do rzeczy systematycznie. Tego samego jeszcze dnia, podczas pobytu w mieszkaniu Gorzyckiego, dokonała woskowych odcisków zamków jego biurka.

Odciski te powędrowały w kilka godzin później do jednego ze zdolnych ślusarzy, któremu obiecano dobrą zapłatę, jeżeli klucze sporządzone według zdjętych wzorów, gotowe będą w ciągu kilku godzin.

Ślusarz, zachęcony obietnicą specjalnej zapłaty, wykonał terminowo pracę.

Ina Ordeyg następnego dnia rano znalazła się w posiadaniu podrobionych kluczy od biurka Gorzyckiego.

Reszta powinna była pójść jak z płatka, bowiem nie było nic łatwiejszego, jak dostać się do biurka w godzinach, gdy Gorzycki był w biurze.

Ina Ordeyg wiedziała, że nie potrzebuje się śpieszyć. Gorzycki nigdy nie przychodził do mieszkania, przed ukończeniem przepisowej ilości godzin urzędowania.

Czasu było więc dość, a nawet było go, aż za wiele.

W godzinach południowych Ina udała się do mieszkania Gorzyckiego. Szła pełna najlepszych myśli. Wiedziała, że to, co ma zrobić, musi się jej udać, że w zadaniu, jakie jej powierzono, nie ma ani źdźbła niebezpieczeństwa.

Mimo to, gdy stanęła przed drzwiami mieszkania kochanka, gdy wyjęła klucz od zatrasku i już, już miała drzwi otworzyć, beztroska jej zniknęła. Ogarnęły ją złe przeczucia, które nie wiadomo skąd i dlaczego spadły nagle na nią.

Zatrzymała się u drzwi i zawahała przez chwilę. Miała dość częste chwile wahań, ilekroć przystępowała do jakiegokolwiek pracy nakazanej jej przez Znak Zapytania, pracy, której dokonanie musiało być połączone z nadużywaniem zaufania kochającego ją człowieka. Jedynie hojne wynagradzanie Iny przez tajną organizację, przytępiło nieco wyrzuty sumienia.

Ina Ordeyg była przesądna. Gdy ów głos wewnętrzny ostrzegł ją przed jakimś nieznanym grożącym jej niebezpieczeństwem, zrobiła gest, jakby chciała się wrócić.

Wahanie to jednak trwało tylko chwilę.

- Nie trzeba ulegać nerwom - szepnęła do siebie.

Energicznym ruchem przekręciła klucz w zatrasku i znalazła się w mieszkaniu.

Panował w nim spokój i cisza. Ina Ordeyg skierowała się do tego samego pokoju,

gdzie owej pamiętnej nocy zginął, otruty cyjankiem potasu, nieszczęsny agent Intelligence Service Roger Crandall.

Rozebrała się i rzuciła na fotel płaszcz i kapelusz. Następnie wydobyła z kieszeni podrobione klucze i przyjrzała się im z uśmiechem.

O tej samej porze w gabinecie Gorzyckiego zadzwieczał znów telefon.

Gorzycki poznał, że mówi ten sam mężczyzna, który odłożył słuchawkę.

I tym razem, rozmowa z nieznanym była bardzo krótka.

Natychmiast po jej ukończeniu, szef policji opuścił swój gabinet.

Gdy znalazł się na ulicy, skinął na pierwszą przejeżdżającą taksówkę. Rzucił adres zdenerwowanym głosem.

Ina Ordeyg tymczasem otworzyła bez trudu szufladę biurka i wyjąwszy papiery poczęła je przeglądać bardzo systematycznie i uważnie, tak by Gorzycki nie mógł się nawet domyślić, że ktoś gospodarował w jego biurku.

- Jest!

Trzymała w ręku dokument, którego odpis miała zrobić. Znowu ogarnęła ją fala niepokoju. Poczęła nadśluchować, lecz w całym mieszkaniu panowała głęboka cisza.

Rozłożyła mały notesik i zaczęła robić szybkie notatki. Pogrążona w pracy zapomniała o swych obawach, wyzbyła się niepokoju.

Nie słyszała, jak skrzypnęły drzwi gabinetu, nie widziała postaci, która w drzwiach stanęła.

Dopiero po chwili podniosła głowę znad kopiowanego dokumentu i spojrzała na drzwi.

Wszystka krew zbiegła jej do serca. Twarz tancerki stała się kredowo blada.

W drzwiach gabinetu stał Adam Gorzycki i patrzył na nią chłodnym spojrzeniem swych stalowych oczu.

Ina Ordeyg znieruchomiała i trwała tak przez czas dłuższy.

Adam Gorzycki stał również nieporuszony i nie spuszczał oczu z tancerki.

Wreszcie podszedł do niej ciężko i ujął dokument, którego kopię Ina sporządzała.

- A więc to tak? - rzekł krótko, tonem, w którym obok pytania była również odpowiedź.

Ina odzyskała naraz przytomność. Czowała, że musi coś powiedzieć, że musi się bronić, że musi - nie wiadomo w jaki sposób - uratować sytuację. Głos jej drżał lekko, zmieniony i dławiony wzruszeniem.

- Posłuchaj mnie... Ja...

Co mówić, na Boga, co mówić? Czy tu można było rzucać słowa usprawiedliwienia, czy można było wykazywać swą niewinność?

Została przecież zdemaskowana na gorącym uczynku przeszukiwania biurka Gorzyckiego, na kopiowaniu tajnego aktu oznaczonego jako poufny.

Czyż w tych warunkach, można się było tłumaczyć, czyż można było znaleźć jakiś wykręt?

Każde słowo, które wypowie, będzie nieszczerze i kłamliwe.

Powiedzieć, wyznać całą prawdę? Nie, tego nie można uczynić.

Ina Ordeyg podniosła się z miejsca. Ujęła w rękę notes, w którym robiła notatki. Gorzycki bardzo łagodnym ruchem odebrał jej ów notes z ręki i nie oglądając go, schował ten dowód jej winy do kieszeni.

Poczęli patrzeć na siebie uważnie i czujnie. W oczach mężczyzny był gniew i oburzenie. Wielkie, czarne oczy Iny wilgotne były od łez, które, choć powstrzymywane całym wysiłkiem, napływały jej gwałtownie do oczu i piekły ją pod powiekami.

Gorzycki poza jednym krótkim zdaniem, nie powiedział dotąd nic więcej. Przewiercał Inę surowym wzrokiem i jakby czekał jej słów, jej tłumaczenia, jej łez.

Podeszła do fotela, na którym położyła w pośpiechu płaszcz i kapelusz.

- Czy mogę wyjść? - zapytała - Czy może chcesz postąpić według litery prawa?

Znowu nie odpowiedział. Podeszedł wolno do biurka i schował do niego dokument. Wziął w rękę podrobione klucze i przyjrzał się im uważnie.

- Dla kogo to było robione? - zapytał niespodziewanie Iny.

Teraz ona nie odpowiedziała. Powoli, tak jak czyni to człowiek, który pierwszy raz po ciężkiej chorobie ma wyjść na przechadzkę, włożyła płaszcz i kapelusz. Opanowywała się coraz bardziej. Jeżeli nie zrobi urzędowego użytku ze swego odkrycia, partia nie była jeszcze przegrana w stu procentach.

Nie była to zresztą jedna partia, lecz dwie partie. Jedną z nich Ina już przegrała. Przegrała ją zupełnie, bowiem nie udało się jej sporządzić dla Znak Zapytania kopii poufnego dokumentu. Pozostawała do rozegrania druga partia, ta, w której Ina była zaangażowana osobiście.

Co uczyni teraz Gorzycki? Czy przebaczy jej?

Czy zerwie z nią, czy też poprzestanie na jej mętym tłumaczeniu, tłumaczeniu, którego dotąd nie zdołała sobie obmyślić? Kochał ją przecież, szalał za nią i za jej ciałem namiętym i zmysłowym. Czy zerwie tak łatwo węzły, które ich łączyły? Czy pozwoli jej odejść?

- Do widzenia! - rzuciła krótko i sucho i zwróciła się ku wyjściu.

- Proszę zostać - zabrzmiał twardy głos Gorzyckiego Jeżeli ktoś chce w tych warunkach wyjść z mego mieszkania, musi mnie zapytać o pozwolenie.

Odwróciła się.

- Zatrzymujesz mnie? - rzekła. - Pytałam cię przecież, czy chcesz zrobić użytek z tego, co udało ci się przypadkowo odkryć, czy też pozwolisz mi odejść spokojnie.

- Musimy wprawdzie o tym pomówić.

- O czym?

- Nie graj komedii. O roli, jaką spełniałaś wobec mnie. O ohydnej dwulicowej roli. Więc po to zdobyłaś moje zaufanie, po to robiłaś wszystko, by usidlić mnie swym wdziękiem, by móc swobodnie wykradać tajemnice, w których posiadaniu jestem z tytułu mego stanowiska?

W głosie Gorzyckiego brzmiała głęboka uraza i gorzkość.

- Oświadczałaś mi swoją miłość. Kochałaś mnie. O tak! Czyniłaś to tylko po to, by uspić mnie, by uczynić mnie jak najdalszym od wszelkich podejrzeń. Kłamałaś mi! Kłamałaś mi, mówiąc, że mnie kochasz. Kłamały twe pocałunki, twe spojrzenia i twe pieszczoty. Wszystko od początku było kłamstwem i fałszem. Raz jeszcze uwierzyłem w życie, raz jeszcze dałem się nabrać na miłość...

- O, nie!... Posłuchaj!

- To ty posłuchaj do końca. Raz jeszcze dałem się oszukać kobiecym słodkim słówkom. Zapomniałem, że mam tylko do czynienia z... tancerką! Teraz rozumiem już wszystko.

- Nie rozumiesz nic. Posłuchaj!...

Szef policji poruszył przecząco głową.

- Chcesz się tłumaczyć? Chcesz się usprawiedliwiać? Zdaje mi się, że to syzyfowa praca. Złapałem cię przecież na gorącym uczynku kopiowania aktu! Cóż w tych warunkach można powiedzieć na swą obronę? Możesz żałować, korzyć się, przyznać do winy, która i tak jest udowodniona. Działałaś z premedytacją. Oto podrobione klucze do mego biurka. Kto wie, czy to po raz pierwszy przewracasz w moich papierach.

Milczała zdruzgotana jego słowami, widząc beznadziejność wysiłków chociażby zmniejszenia swej winy.

Gorzycki tymczasem, mówił dalej z drwiącym uśmiechem:

- Gospodarowałaś sobie w moim biurku zupełnie spokojna o to, że o tej godzinie nie przyjdę do domu. Zaskoczyła cię moja obecność w mieszkaniu. Słusznie, przyznaję, że jest

ona zupełnie przypadkowa. Po prostu ostrzeżono mnie przed tobą. Zwrócono mi uwagę, że prowadzisz jakąś podwójną grę, ty... oszustko!

Ina Ordeyg wyprostowała się nagle. W czarnych jej oczach zapaliły się błyskawice gniewu. Z pokornej, oczekującej z obawą decyzji Gorzyckiego, dziewczyna stała się obrażoną kobietą.

- Ani słowa więcej! - odparła stanowczym tonem. - Nie masz żadnego prawa mnie obrażać i nazywać oszustką. Proszę, oto telefon. Przysługuje ci prawo zadzwonić, gdzie należy, i skierować mnie do policji politycznej celem przesłuchania. To jest jedno wyjście z sytuacji. Drugim wyjściem jest pozwolić mi odejść spokojnie. Byłoby i trzecie - wysłuchać mnie i przebaczyć, jeżeli przebaczyć możesz, ale po tym, co mówiłeś przed chwilą, uchylam tę możliwość. Ty zaś, zamiast zdecydować się na jedno lub drugie, obrzucasz mnie obraźliwymi słowami. Pozwól tedy, że ja sama zadecyduję o moim losie, skoro moja wina jest niewątpliwa.

Chwyciła za słuchawkę telefoniczną. Ręka opięta w rękawiczkę, niecierpliwie uderzyła w widelki.

- Z komisariatem policji... - wymieniła numer komisariatu.

Gorzycki chwycił ją za rękę.

- Czyś oszalała, Ino?

Szarpnęła się, nie chcąc oddać mu słuchawki. Położył rękę na widelkach, przerywając w ten sposób połączenie. Następnie wziął z jej ręki słuchawkę i położył na widelkach aparatu.

- Siadaj, Ino! - rzekł już innym tonem. - Pomówimy spokojnie.

- Nareszcie. Czekałam na to od chwili, kiedy mnie nakryłeś.

Usiadł naprzeciw niej.

- Powiedz mi Ino, dla czyjego użytku kopiowałaś ten dokument? Kto cię namówił do tego? Po co to robiłaś? Czy dużo miałaś otrzymać za tę robotę?

Gniew jej minął już zupełnie, ustępując miejsca przygnębieniu.

Uśmiechnęła się smutno.

- Zacząłeś właśnie od tych pytań, na które nie mogę odpowiedzieć.

Zdziwienie przemknęło po twarzy szefa policji.

- Posłuchaj mnie, Ino! - zwrócił się znowu do kochanki. - Trzeba byś zrozumiała, że od tych właśnie, a nie innych pytań, musi się zacząć nasza rozmowa, jeżeli w ogóle mamy ją dalej prowadzić. I ty twierdzisz, że na pytania owe nie możesz odpowiedzieć?

- Nie mogę.

- Może po prostu nie chcesz.

- Tłumacz to sobie, jak chcesz! Skoro prosiłam cię, abyś mnie wysłuchał, chciałam zaapelować do ciebie i prosić cię, żebyś to, co ci mam do powiedzenia, wziął tak, jak to będzie brzmiało, żebyś w tym, co ci powiem nie podejrzewał żadnego podstępu. Teraz jednak sędzę, że moje słowa na nic się nie zdadzą.

Przerwała i namyślała się przez chwilę.

- Widzisz, mój kochany - zaczęła znowu - ja nie mogę ci powiedzieć wszystkiego. Nie dlatego, żebym nie chciała, ale po prostu nie mogę. Musiałbyś poprzestać jedynie na tym, co ci teraz powiedzieć mogę, a tego pewnie nie zechcesz.

Gorzycki wstał i wielkimi krokami począł przemierzać pokój, co było u niego oznaką zdenerwowania.

Stanął naraz przed Iną i jął do niej mówić tonem miękkiej perswazji.

- Wiesz przecież Ino, że cię kocham i wiesz dobrze, że nie przysłoby mi tak łatwo rozstać się z tobą. Dlatego też powinniśmy wyczerpać wszelkie środki, które by pozwoliły na wyjaśnienie obecnej sytuacji. Proszę więc, powiedz mi to, co będziesz mogła powiedzieć na swe usprawiedliwienie.

Podniosła głowę i swe płomienne, czarne oczy utkwiała w Gorzyckim. Twarz jego była blada jak płótno. Szefowi policji nasunęła się naraz refleksja, że Ina jest jednak cudownie piękną kobietą.

- Mów Ino! - zachęcił ją łagodnie.

- Niewiele ci mogę powiedzieć. Może zrozumiesz, że istnieją w życiu takie sytuacje, kiedy człowiek działa pod przymusem, kiedy ulega jakimś wyższym niecodziennym siłom i wpływom. Tak jest właśnie ze mną. Czasem człowiek chciałby coś powiedzieć, ale nie może, czasem dławi go tajemnica, której musi dochować przed kimś bliskim, ale jednak tajemnicy owej dochować trzeba, skoro ujawnienie tej tajemnicy mogłoby komuś przynieść szkodę. Zechciej mnie zrozumieć, że ja właśnie jestem w tej sytuacji.

Gorzycki namyślał się przez chwilę.

- Zdaje mi się, że zrozumiałem cię. Zechciej ty jednak wziąć pod uwagę, że komu jak komu, to mnie winnaś powiedzieć całą, stuprocentową prawdę. Jeżeli nie jako kochankowi, to jako szefowi policji. Wiesz przecież, że władza, jaką mam w rękach, jest bardzo wielka. Zdajesz sobie chyba z całą pewnością sprawę, że jestem w możności złamać każdego, kto by przeciwstawił się prawu. Jeżeli padłaś ofiarą jakiegoś szantażu, jeżeli znaleziono jakiś sposób terroryzowania cię, to sprawa jest bardzo prosta. Powiedz mi całą prawdę, wymień tych, którzy cię szantażują - znasz chyba ich nazwiska? - a jutro będą wszyscy pod kluczem. No, Ino, czekam.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie mogę tego uczynić.

- Nie ufasz mi?

- To śmieszne. Po prostu nie mogę tego uczynić.

Twarz Gorzyckiego skamieniała ponownie.

- Jak chcesz - rzekł zimno. - W takim razie jednak...

- O, proszę, zrozum, w tym, co chcesz, bym ci powiedziała mieści się właśnie sedno tajemnicy.

Potrząsnął głową.

- Niestety! Nie mogę tego zrozumieć.

- To bardzo źle. Sądziłam, że jednak zrozumiesz...

- Raz jeszcze proszę, powiedz mi wszystko.

- Powiedziałam już, że nie mogę.

- A więc...

Wzrok Gorzyckiego padł na drzwi. Ina, która siedziała z pochyloną głową, nie zauważyła jego spojrzenia.

Szef policji zawahał się na chwilę.

- Jesteś wolna, Ino - rzekł wreszcie z wysiłkiem.

Wstała ciężko. Zrozumiała, że trzeba odejść.

- Ach, tak! - wyszeptała bezbarwnie.

I naraz płacz, wielki przemożny płacz począł targać jej postacią. Łzy wielkie jak groch spływały po jej twarzy.

Gorzyckiego ogarnęło wzruszenie, odwrócił jednak głowę, nie chcąc dać tego poznać po sobie.

- Posłuchaj mnie! Posłuchaj!!... - szlochała.

Gorzycki stał jednak nieporuszony, zimny. Nie zrobił najmniejszego gestu. Twarz jego była zimna, obojętna.

Ina otarła naraz oczy.

Rysy jej stężały, przygryzła drżące wargi.

Bez słowa skierowała się ku drzwiom. Wolno otworzyła je, wolno przeszła przez próg, przez który już nigdy nie miała przejść z powrotem.

Drzwi zamknęły się równo i wolno, tak jak zostały otwarte.

W gabinecie Gorzyckiego unosił się lekki, delikatny zapach perfum kobiety, która odeszła na zawsze, unosząc z sobą tajemnicę, której nie mogła zwierzyć nawet kochankowi.

Rozdział XVI

NA RÓWNI POCHYLEJ

Sparalizowany emeryt kolejowy, utrzymujący tajny dom gry, zwrócił się do metra sali i uczynił gest oznaczający pytanie.

- Semkowski? - zapytał tamten, przywołując uśmiech na swą bladą, niewyspaną twarz..

Właściciel domu gry, przykuty paralizem nóg do fotela na kółkach, skinął głową, potakując.

- Rzecz prosta, że o niego mi chodzi... Przyszedł znowu? Gra?

- Gra! Już od dwóch godzin. Z początku miał passę, teraz traci każdą stawkę.

Nastąpiła chwila milczenia.

Indywidualność, mianowana przez paralityka metrem sali, dodało tonem fachowego wyjaśnienia.

- On nie może wygrać, nawet gdybyśmy tego chcieli. Hazarduje zupełnie na ślepo. Będzie znowu gotów.

Krzaczaste brwi emeryta zbiegły się nad czołem.

- Jak sądzisz? Czy przyjdzie sam? - zagadnął, otulając szczerzej nogi pledem.

Blade indywidualności przymrużyło filuternie oko.

- Nie ma obawy. Jeżeli sam nie wpadnie na tę mądrą myśl, poradzi mu któraś z naszych dziewczynek... Jak ten facet leci na kobiety... To po prostu satysfakcja, że są na świecie tacy ludzie...

Niewyspany człowiek przerwał nagle i ostrzegawczo podniósł palec.

Do drzwi kantorku zapukano nerwowo i niecierpliwie.

- Czyżby? - zapytał paralityk.

- Możliwe. - odparł metr sali, równie lakonicznie.

Obaj zrozumieli się doskonale.

Drzwi kantorku otworzyły się nagle i ukazał się w nich major Semkowski, tak zmieniony, iż właściciel spelunki zdziwił się, chociaż nie należał do ludzi, którzy się łatwo dziwią.

Major ubrany był w cywilny garnitur, policzki mu płonęły, krawat przekręcił się, marynarka była rozpięta.

Pan w fotelu okraszył twarz najmiłym uśmiechem, na jaki było go stać. Zdawał się

nie widzieć wzburzenia swego klienta.

- Witam pana, panie ma... o, przepraszam... panie Semkowski. Gdyby nie mój paraliż, stanąłbym przed panem na baczność. Taki stały gość i taki dobry gość z pana, panie majo... och, pardon... panie Semkowski. Pan do nas, zdaje się, w interesie. Trudno! Przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że nie odwiedza nas pan dla towarzyskich pogawędek.

Semkowski włożył ręce do kieszeni spodni, zapewne chcąc w ten sposób uniknąć powitania i kołysząc się na nogach podszedł do starego.

- Chciałem tylko powiedzieć panom, że przegrałem wszystko. Pożyczka udzielona mi przez panów, wróciła do nich po tarczy rulety.

- Wróciła?... - ozwał się niewinnym tonem blady metr sali.

Chciał mówić coś dalej, lecz paralityk szybkim ruchem powieki dał mu znak, aby milczał. Ryba sama szukała przynęty.

- Pan, zdaje mi się, robi z tego tragedię, panie Semkowski? Pan liczy na krótką metę. Czy nie rozumie pan jeszcze, że trzeba ponieść duże ofiary, by wywołać uśmiech fortuny. Zresztą ja pana nie namawiam. Mógłby pan mieć potem żal do mnie. Chce pan grać - niech pan gra dalej. Nie przyjdzie pan tu nigdy więcej - będzie nam przykro, ale to trudno...

Semkowski, po dużej przegranej, wypił kilka kieliszków koniaku, które podnieciły go jeszcze bardziej. Policzki mu płonęły.

- Owszem, wyniosę się stąd - cedził słowa, przechadzając się nonszalancko po pokoju.

- Zdaje mi się jednak, że to będzie koniec tej spelunki. Wrócę tu razem z policją.

Sparaliżowany pan roześmiał się serdecznie.

- Dworuje pan sobie z nas, panie ma... proszę o wybaczenie!... panie Semkowski. To jeden z lepszych dowcipów jakie słyszałem w tym roku.

- A jeżeli to uczynię?

- Jeżeli?... Gdyby pan miał zamiar zrobić to naprawdę, szef sztabu generalnego, otrzymałby weksle opatrzone pańskim podpisem. Nie wiem, czy zrobiłoby to dobrze pańskiej ambitnej karierze.

- Prowokuje mnie pan, bym to uczynił?

- My zrobimy, co do nas należy.

Twarz Semkowskiego przybrała siną barwę.

- Cóż to? Szantaż? - zapytał.

- To tylko obrona konieczna - brzmiała spokojna odpowiedź. - Na szczęście zaasekurowaliśmy się przed fantazjami pana.

Metrowi sali krzyk zamarł na ustach.

Semkowski dobył rewolwer z kieszeni i zarepetował go z chrzęstem.

- Może teraz wyrównam moje szanse z szansami panów - rzekł drwiącym tonem. - To będzie nawet miła rozrywka...

Podrzucił kilkakrotnie rewolwer na dłoni.

Sparaliżowany właściciel spelunki nie drgnął nawet, lecz chłodnym wzrokiem przewiercał Semkowskiego.

Zdawał sobie sprawę, że tylko zimna krew może mu dopomóc w opanowaniu sytuacji.

Nie była to zresztą sytuacja nowa. Zdarzało się już kilkakrotnie, że zdenerwowany gracz wyrabiał awantury w kantorku, groził skandalem i żądał zwrotu przegranej.

Staruszek o bezwładnych nogach, zdawał sobie jednak sprawę, iż gdy raz jeden ulegnie próbie szantażu, zgubiony będzie na zawsze. Dlatego też obierał drogę cynicznego spokoju i tym sposobem zwyciężał.

Dlaczegożby i tym razem nie miał wygrać trudnego położenia?

Ręka starego pana spoczęła w szufladzie biurka przezornie - jak zawsze - do połowy wysuniętej.

W szufladzie tej leżał na samym wierzchu odbezpieczony rewolwer.

- Panie majorze! - rzekł z naciskiem, ujmując broń w rękę. - Wymieniam umyślnie pańską rangę wojskową, by doprowadzić pana do opamiętania. Semkowski może być zdolny do każdego szaleństwa, ale major Semkowski musi liczyć się z tym, co robi... Krótko i wężłowato - czego pan chce?...

- To bardzo proste - odrzekł major. - Zwróci mi pan weksel, który podpisałem niebacznie.

- Niech pan lepiej od razu strzela. Na ten temat nie może być żadnej dyskusji.

- Żądam zwrotu tego weksla. Proszę mnie nie zmuszać do popełnienia szaleństwa.

Właściciel tajnego domu gry, ani na włos nie zmienił swej pozycji.

- Zdaje mi się, że ocenia pan fałszywie sytuację. Ja powędruję do rodzinnego grobu, a pan, po degradacji - do więzienia... To słaba kariera dla oficera drugiego oddziału...

Ręka z rewolwerem opadła bezwładnie wzdłuż ciała.

Sparaliżowany emeryt wyzyskał natychmiast moment wahania.

- Krzesło dla pana majora - rozkazał trzęsącemu się metrowi sali. - Proszę, panie Semkowski, niech pan zajmie miejsce.

Zdenerwowany niefortunny gracz usłuchał tego wezwania.

Błękitne oczy sparaliżowanego pana nie traciły ani na chwilę swego dobrodusznego wyrazu.

- Portfel wekslowy - rzucił znów krótki rozkaz.

Wyjął z czarnej teki plik weksli i począł je przerzucać, aż trafił na blankiet z podpisem Semkowskiego.

Paralityk ujął weksel w palce i przedarł go na cztery części.

- Służę panu, panie majorze! - rzekł, kładąc przed nim skrawki papieru. - Pozwalam sobie ostrzec pana z naciskiem, że jeżeli raz jeszcze pan zbłądzi do tych zacisznych apartamentów, szef sztabu generalnego zostanie natychmiast powiadomiony o trybie pańskiego życia.

Smągła twarz Semkowskiego pobladła nagle.

- Pan mi ubliża! Takie postawienie sprawy jest dla mnie obelgą.

- Pan sam upoważnił mnie do tego, grożąc mi rewolwerem.

Mierzyli się wzrokiem.

- Proszę pana! - rzekł zduszonym głosem oficer.

- O, proszę, bardzo proszę - odparł prawie pogardliwie właściciel tajnego domu gry - niech pan już idzie do domu i niech pan nie wraca tu więcej.

- Jedna drobna formalność - ozwał się oficer. - Proszę o nowy blankiet wekslowy, by zastąpić nim podarty.

- Za żadną cenę. Jesteśmy skwitowani.

- Pan może tak. Ja - nie. Raz jeszcze proszę o weksel do podpisu.

Stary pan zdawał się namyślać.

- Mógłbym się na to zgodzić - ozwał się wreszcie - jednak pod jednym warunkiem. Weksel, który pan teraz podpisze, będzie opiewał na sumę trzykrotnie wyższą niż weksel podarty przed chwilą...

Semkowski osłupiałym wzrokiem patrzył na starego pana.

- Jak pan to sobie wyobraża? - zapytał.

- To bardzo proste. Różnica między starym a nowym wekslem zostanie panu natychmiast wypłacona gotówką, co może oduczy pana takich kawałów jak dzisiejszy.

- Do czego to prowadzi? Przecież ta suma przewyższać będzie moją całoroczną pensję.

- W ciągu jednego wieczora może pan wygrać trzy razy więcej. Wóz albo przewóz, panie majorze. Wybór nie jest, zdaje się, trudny. Albo zostanie pan nadal naszym miłym gościem i skorzysta pan z naszych nieograniczonych usług, albo każę pana wyrzucić przez służbę, choćby pan miał w każdej kieszeni siedmiostrzałowy rewolwer.

Major Semkowski milczał przez długą chwilę. Stanowczy ton starego pana zrobił na

nim wrażenie.

Zrozumiał, że postąpił jak głupiec, chcąc pod groźbą rewolweru wymusić zwrot weksla.

Zupełnie nieoczekiwana propozycja udzielenia mu nowej pożyczki, wprowadziła go w osłupienie. Przez krótką chwilę przyszło mu na myśl, że zastawiona jest na niego jakaś sprytna pułapka, równocześnie jednak odezwała się w nim żądza posiadania pieniędzy, owa żądza, która wypełniała jego dotychczasowe życie, owa żądza, która uczyniła go niewolnikiem hazardu.

Walka, którą toczył z sobą, była krótka. Można ją było nazwać czczą formalnością, bowiem Semkowski, podejmując ów spór z samym sobą, z góry był przekonany o przegranej wszystkich skrupułów, jakie w nim jeszcze istniały.

Stary pan obserwował bacznie twarz Semkowskiego, przez którą przelatywały fale zmiennych wrażeń.

- No, panie Semkowski! - odezwał się wreszcie - Sądzę, że nie ma się co namyślać. Propozycja, przyzna pan chyba, jest ponętą.

- Istotnie. Potem, gdy przegram tę sumę, zaofiaruję mi panowie znowu pożyczkę na dalszą grę. To są przecież szopki i albo są panowie dobroczyńcami rulety, albo utrzymanie tajnego domu gry jest sztuką dla sztuki, z czym - przyznaję otwarcie - nie spotkałem się jeszcze w czasie mego krótkiego żywota.

- Czyli po prostu nie rozumie pan tego, co czynimy.

- Rzecz prosta. Jedynym wytłumaczeniem jest to, że chcecie mnie chwycić mocno w garść w celu, którego nie domyślałem się jeszcze w tej chwili.

- Pan jest zbyt podejrzliwy. Dałem już panu chyba dowody, że słowa moje należy tak brać jak one brzmią. Nie ma w nich nic, co by można nazwać podrywką.

- Przyzna mi pan jednak, że ta filantropia jest nieco podejrzana.

Paralitik roześmiał się beztrósco.

- Jak to zaraz widać, że jest pan oficerem Drugiego Oddziału. We wszystkim węszyć pan coś podejrzanego. Oto weksel! Panie majo... panie Semkowski. Proszę niech pan podpisze. Według moich obliczeń przegrał pan u nas tak dużo, że słusznie należy się panu jakaś pomoc od nas. Ten weksel nigdy nie będzie oglądał świata bożego, a mam nadzieję, że nie będzie się go pan starał wykupić kulami rewolwerowymi, jak to próbował pan teraz uczynić.

Semkowski milczał.

- Drogi panie! - ozwał się znów właściciel spelunki, odgadując, iż opór oficera jest już

zupełnie złamany. - Ja nie cofam tego, co powiedziałem. Proszę się zdecydować, czy zostajemy przyjaciółmi, czy też rozstajemy się natychmiast. Wóz albo przewóz.

Podsunał Semkowskiemu, jak poprzednim razem, blankiety wekslowe i wieczne pióro.

Oficer patrzył przez długą chwilę na cyfry wypisane na blankietach. Miały one kuszącą moc magnesu.

Nagły ruch ręki po wieczne pióro. Semkowski energicznie rzuca swe podpisy na papier.

Podobnie jak poprzednim razem, stary pan wręcza mu natychmiast plik banknotów.

Semkowski, nie licząc, chowa je do kieszeni. Te pieniądze palą mu palce. Po raz pierwszy podaje rękę staremu paralitykowi.

Skinienie głowy dla metra sali. Semkowski, ogarnięty nagłą myślą, wybiega z kantorku.

W sali gry grają jeszcze. Skacze kulka rulety po wirującej tarczy.

Semkowski podchodzi do stołu. Staje obok krupiera. Wyjmuje z kieszeni paczkę dopiero co otrzymanych banknotów.

Major Drugiego Oddziału sztabu ma dziwny uśmiech na ustach.

Przez chwilę przypatruje się grającym, po czym ruchem pełnym nonszalancji kładzie na stole rulety paczkę banknotów otrzymaną od sparaliżowanego właściciela spelunki.

- Zero! - oświadcza krótko.

Goście tajnego domu gry są zdziwieni i poruszeni.

Krupier, znający pecha, jaki towarzyszy stale Semkowskiemu, patrzy na niego długo i nieznacznie rusza ramionami.

Tarcza rulety idzie w ruch. Kulka z kości słoniowej, kryjąca w sobie tajemnicę losu, kołuje w przeciwnym kierunku.

Semkowski jest bardzo spokojny.

Jedynie barwa jego twarzy upodabnia się do koloru szarego garnituru w jaki jest ubrany.

Niespodziewana decyzja przychodzi mu do głowy.

- Jeżeli przegram - mówi do siebie - kropnę obu krupierom w łeb, a potem zrobię to z sobą samym.

Coraz wolniej i wolniej wiruje tarcza rulety. Zbłąkana, biała kulka podskakuje wśród przegródek.

Semkowski przemyka oczy.

Słyszysz monotony, zrównoważony głos krupiera.

- Zero...

Szmer towarzyszy temu słowu.

Stosy banknotów rosną przed Semkowskim.

Napycha sobie kieszenie pieniędzmi, a to co przed nim zostało na stole rzuca ponownie na jakąś liczbę.

Znowu wygrywa. Znowu stawia i wygrywa po raz trzeci.

Jakby spod ziemi zjawia się obok niego metr sali..

- Gratuluję panu! - mówi nieszczerze. - Gra jest skończona... Rozbił pan bank.

Goście tajnego domu gry poczynają znikać jeden po drugim z sali.

Semkowski zachowuje się jeszcze ciągle, jak człowiek oszołomiony snem.

Naraz przychodzi do siebie. Przesuwa ręką po czole i stwierdza ze zdziwieniem, że dłoń jest wilgotna.

- Głupia emocja - szepcze do siebie.

Metr sali kręci się ciągle wokół niego.

- Chcę mówić z właścicielem - mówi Semkowski.

Obleśne indywidualum jest wyraźnie zmieszane.

- Może jutro rano, jest tak późna godzina.

Semkowski wzrusza ramionami.

- Nie, chcę zobaczyć się z nim teraz.

Tamten rozkłada bezradnie ręce.

- Ha! Skoro pan tak chce koniecznie...

- Koniecznie i stanowczo.

Sparaliżowany emeryt porusza rękami na jego widok. Wie już o wielkiej wygranej.

- Brawo, panie Semkowski. Czy widzi pan, że skusił pan Fortunę?.. Byłem dobrym doradcą...

Semkowski przysuwa sobie krzesło i siada.

- Istotnie, oddał mi pan dziś w nocy wielką przysługę. Jestem panu rzetelnie wdzięczny.

Semkowski wydobywa odliczoną sumę banknotów, kładzie ją na stole, podsuwa do starego.

Paralitik patrzy zdziwiony.

- Co to znaczy?..

- To bardzo proste. Zwracam sumę, na którą opiewają weksle i proszę o zwrot

blankietów.

Metr sali i paralytyk, wymieniają między sobą szybkie ostre spojrzenia.. Tego nie spodziewali się wcale, Semkowski czeka spokojnie. Ma teraz czyste sumienie.

Z nastroju tego wrywa go głos starego pana. Jest on, jak zwykle, dobroduszny i łagodny.

- Niechże pan weźmie te pieniądze i pójdzie się wyspać... I na nas czas, byśmy to uczynili, zamiast prowadzić dyskusje.

- Tu nie ma mowy o dyskusjach. Zwracam pieniądze, proszę o weksle.

- Ma pan czas. Weksel poczeka...

- Ale ja nie poczekam.

- Obawiam się, że będzie pan czekał bardzo długo.

W głosie starego pana brzmi jakiś ton szczególny, który budzi w Semkowskim nieokreślony niepokój.

- Czy mam postępowanie panów uważać za kpiny?

- O nie, to sprawa zupełnie serio.

- A więc pytam zupełnie serio i poważnie: Czy zgodzą się panowie, bym teraz, zaraz, wycofał moje weksle?

Znowu szybkie, porozumiewawcze spojrzenie, podchwyczone tym razem przez Semkowskiego.

- Nie panie, my teraz o tym nie będziemy mówili.

Oficer jest zupełnie zbity z tropu.

- Teraz nie?.. A więc kiedy?...

- Kiedy zechcemy.

- To niesłychane. Któż może mi odmówić prawnego wykupu weksli?

Stary pan chichoce długo i zgryźliwie.

- Prawnego - tak... Ale czyż na tym terenie może być mowa o prawie? Przecież nasz proceder jest bezprawiem. My jesteśmy poza prawem... Poza prawem także jest obecność pana tutaj. Oficerom nie wolno odwiedzać takich lokali. Po cóż więc te górnolotne frazesy o prawie?

Semkowski pochylił głowę. Ten człowiek miał zupełną rację. Miał słuszość w każdym calu. On, oficer, stąpa po ścieżkach bezprawia, jakże tedy mógł żądać, by ludzie z którymi mówił, postępowali z nim jak ludzie prawa i honoru?

Major był porywczym człowiekiem. I tym razem chwycił go mocny gniew. Semkowski zdołał się jednak uspokoić. Zrozumiał teraz bardzo wyraźnie, że tylko

zachowując zupełny spokój, ma szanse uzyskania pewnej przewagi nad tymi dwoma arcysprytnymi łotrami.

- Ja potrafię zmusić panów do oddania mi moich weksli.

- Zmusić? A to ciekawe? I w jakiż to sposób?

- W bardzo prosty. Prosto stąd udam się do najbliższego komisariatu i zamelduję o tajnym domu gry w tym mieszkaniu albo, co będzie nawet lepiej, skomunikuję się wprost z urzędem śledczym. Co panowie na to?

- Nic!

- Jak to nic?

- To bardzo proste i łatwe do zrozumienia. Po pierwsze, wielkie pytanie, czy pan stąd wyjdzie, a po drugie, zanim pan zdoła złożyć urzędowi śledczemu swe rewelacyjne zeznanie, weksle z pana podpisem zostaną opatrzone datą i doręczone szefowi sztabu głównego.

- Zamkną pana jako szantażystę.

- Być może. Ale weksle pana będą jednakże w rękach pańskich przełożonych. Powiedzmy, że ja posiedzę, ale pańska kariera oficera sztabowego, będzie raz na zawsze skończona. Czy przyzna mi pan rację?

Semkowski pochylił głowę.

- W zupełności. Pan stawia wszystko na kartę, ja zaś nie chcę ryzykować wszystkiego.

- To się panu bardzo chwali. My naprawdę mamy niewiele do stracenia, ale wszystko do zdobycia.

- Widzę to. Chciałbym jednak wiedzieć, co za cel ma ta cała komedia?

- Cel? Bardzo prosty.

- Jakiż to?

- Chcemy mieć w panu swojego człowieka.

- Swojego człowieka. To brzmi dość fantastycznie. I to ja mam być tym swoim człowiekiem?

- Pan! Będzie pan, rzecz prosta jednym z naszych ludzi.

- Jednym z naszych? A więc takich swoich ludzi jest więcej?

Sparaliżowany pan uśmiechnął się.

- O, panie! - rzekł komicznym tonem. - My pracujemy hurtowo.

- Wspaniałe wyjaśnienie sytuacji. Jak jednak wyobrażają to sobie panowie, w jakim to charakterze mam być tym waszym człowiekiem?

- Nie mogę panu teraz tego określić. W czasie gdy będziemy potrzebowali pana usług, zwrócimy się do niego. Wekselki pana zostaną u nas. Gdyby próbował pan stawić opór,

będziemy wiedzieli, co z tym fantem zrobić.

- A więc to szantaż i szantaż wbrew wszelkiej rzeczywistości.

- Niech pan to sobie nazywa, jak pan chce. Ludzie małostkowi chwytają się słów, ludzie o szerokich horyzontach nie bawią się w dyskusje, lecz dążą do celu. To jest zupełnie jasne.

- Ale przecież ja chcę wykupić weksle.

- Nie wykupi ich pan. Proszę z tego zrezygnować.

- Trudno jest poddać się szantażowi.

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

- Jeżeli kto chce się przyzwyczaić. Ja nie chcę tego i znajdę sposoby, by wyrwać panom żądła.

- Ależ proszę bardzo. Niech pan to zrobi.

- Panowie drwią sobie ze mnie.

- Ani trochę. Przeciwnie, jesteśmy zdania, że robimy panu propozycję, z której w przyszłości będzie pan bardzo zadowolony.

- Czyżby?

- Zapewniam pana.

- Jedno pytanie. To wszystko, co się stało ze mną, było ukartowanym planem od początku do końca. Czy tak?

Sparalizowany właściciel spelunki uśmiechnął się słodko.

- A gdyby nawet? Trudno mój panie, my znamy się na ludziach a wiedzieliśmy od dawna, że z panem inaczej nie można. Jak pan widzi, metoda zakrywania do czasu kart jest bardzo dobra.

Semkowski wstał.

- Zdaję sobie znakomicie sprawę z sytuacji - rzekł do człowieka, który go miał w rękach. - Wpadłem w pęta łotrów, którzy uprawiają szpiegowską robotę, w którą chcą mnie panowie wciągnąć, nie pytając o to, czy jest to zgodne z moją wolą...

- Nam wystarczy, że jest zgodne z naszą wolą. Odgadł pan jednak trafnie nasze interesy. Tym łatwiej będzie teraz panu przystąpić do pracy.

Major Semkowski patrzył przez długą chwilę spod przymrużonych powiek na sparalizowanego pana. Przypomnił sobie o wekslach, o groźbie przedstawienia tych weksli szefowi sztabu, o niezwyklej propozycji, jaką otrzymał, propozycji, którą można było określić mianem najniecieńszej z niecných.

Stary pan zrozumiał to spojrzenie. Sięgnął do biurka i wydobył z jakiejś szuflady plik

banknotów, które począł wyrzucać na stół, obok banknotów Semkowskiego.

- Panie majorze - rzekł drwiącym nieco tonem - ileż to zarabia pan z racji swego stanowiska służbowego? Nie! Nie! Nie o to mi chodzi, znam bowiem zupełnie konkretnie wysokość tej sumy. Chciałem panu tylko powiedzieć, że leży tu przed panem suma dziesięć razy wyższa. Oto jest kwota, którą przeznaczam dla pana i którą będziemy panu służyli w każdym miesiącu w zamian za bardzo drobne usługi, usługi, których zresztą nie będziemy żądać w tej chwili. W każdym momencie może pan wziąć od nas te pieniądze i dołączyć do swej wspaniałej wygranej. Dajemy panu dzień czasu do namysłu. Proszę pomyśleć zimno i zastanowić się.

Sparaliżowany pan skinął głową na znak, że rozmowę uważa za skończoną.

Semkowski zrozumiał ten gest, płomień przeleciał mu po twarzy.

- Dobrej nocy! - wycedził sucho.

Gdy wyszedł, stary pan zatarł ręce.

- Mamy go! - wyszeptał do siebie - Nie poszło nawet zbyt trudno. Myślałem, że będzie gorzej. Teraz trzymam go w garści...

Rozdział XVII

SZCZĘŚCIE SYLWESTRA MATUSZKI

Od momentu kiedy tajemniczy nieznajomy osobnik złożył wizytę w ponurym mieszkaniu Matuszki, gdzie na biurku trupia czaszka szczyrzyła swe złote zęby w straszliwym uśmiechu, gdzie nad drzwiami przybity był rozkrzyżowany nietoperz - Matuszka żył jakby w ekstazie, żył w męce niecierpliwego oczekiwania.

Słowa nieznajomego rozpały w Matuszce najniższe instynkty, ukryte w zakamarkach jego duszy, wzbudziły chorobliwe pożądanie, by owe wszystkie wizje, o których opowiadał mu nieznajomy gość, spełniły się, by stały się faktem. Faktem tym cudniejszym, że stworzonym własnymi rękoma.

Na podatny grunt padły słowa nieznajomego. Na gruncie owym poczęły one kiełkować i krystalizować się coraz wyraźniej.

Matuszka pamiętał o tym doskonale, że nieznajomy odezwie się w swoim czasie i da sygnał.

Oczekiwał tego sygnału, lecz nikt się nie zgłaszał. Zniecierpliwiony tym oczekiwaniem, przestał wreszcie zdawać sobie sprawę, czy to, co usłyszał z ust nieznajomego, było czymś powiedzianym serio, czy też były to drwiny i mistyfikacja urządzona przez kogoś, kto znał tryb życia i upodobania Matuszki.

Postanowił wreszcie Matuszka, że skoro się nie może doczekać wiadomości od nieznajomego, sam na własną rękę rozpocznie krwawą akcję sabotażu, o której myślał całymi dniami i która każdej nocy spędzała mu sen z powiek.

Począł właśnie wypracowywać sobie pewien plan w tym kierunku, gdy nieznajomy odezwał się.

Pewnego dnia, wczesnie rano, śpiącego jeszcze Matuszkę obudziło energiczne stukanie do drzwi mieszkania.

Matuszka ocknął się natychmiast i z dużą niechęcią poszedł otworzyć drzwi.

Jakiś chłopiec, zaledwie dwunastoletni, wręczył mu niewielki pakiet starannie zalakowany i okryty pieczęciami.

Matuszka domyślił się natychmiast, że pakiet ten przysyła mu Znak Zapytania. Odprawił chłopca, po czym zamknął drzwi i zajął się otwarciem przesyłki.

Znalazł tam Książeczkę materiałów wybuchowych wydaną przez władze, która stwierdzała, że Matuszka jest szczęśliwym właścicielem kamieniołomów niedaleko od

Wiednia leżących i że ma on prawo nabywania materiałów wybuchowych dla celów eksploatacji owych kamieniołomów.

Książeczka materiałów wybuchowych miała więc ułatwić Matuszce kupowanie tych materiałów, które miały być później zużyte do fabrykacji maszyn piekielnych niosących śmierć i zniszczenie.

Obok owej książeczki, tak bardzo cennej i tak bardzo ułatwiającej Matuszce nabycie dynamitu i ekrazytu, paczka zawierała pokaźny plik banknotów, oraz dokładną mapkę okolic Jüterboga, gdzie miał nastąpić pierwszy akt sabotażowej akcji.

Do mapki dołączone było objaśnienie, z którego Matuszka dowiedział się, jak ma się udać na miejsce planowanego zamachu, kiedy, którego dnia i o której godzinie, na którym wreszcie torze ma być, na kilka kilometrów od Jüterboga, umieszczona maszyna piekielna...

Poza tym przesyłka nie zawierała, ani słowa więcej.

Matuszce jednak wystarczało to najzupełniej...

Nieznajomy dotrzymał przyrzeczenia.

Matuszka obliczył, że zamach na ekspres pod Jüterbogiem ma być, wedle instrukcji nieznajomego, dokonany za dziesięć dni.

Termin ten wydał mu się zbyt odległy, jednakże po namyśle uznał, że trzeba będzie na jakieś pięć dni przed oznaczoną datą być już na miejscu, by zbadać dokładnie teren, na którym miały się rozegrać tragiczne i pełne grozy wypadki.

Od chwili doręczenia mu paczki z tak miłymi dla niego wiadomościami Matuszka żył jakby w transie.

Był prawie nieprzytomny, spragniony, by już jak najszybciej ujrzeć połamane i pogięte, straszliwie spustoszone szczątki wagonów kolejowych, by słyszeć płacz i jęki rannych i ogarniętych śmiertelną trwogą i paniką pasażerów.

Sporo czasu zajął mu zakup materiałów wybuchowych na dostarczoną książeczkę, następnie zaś obmyślanie sposobów, jak zbudować maszynę piekielną, by jej siła niszcząca była jak największa i najmocniejsza.

Matuszka całymi dniami przemyślał nad tym problemem, aż wreszcie opętany żądzą zniszczenia wynalazł system maszyny piekielnej, która w zupełności miała odpowiadać swej nazwie.

Na pięć dni przed dokonaniem zamachu na pociąg pospieszny pod Jüterbogiem Matuszka dostał nowy list ze szczegółowymi instrukcjami, które pouczały go, gdzie ma się zatrzymać i do kogo zwrócić po przyjeździe na miejsce zamachu.

Wszystko było opracowane w najdrobniejszych szczegółach do tego stopnia, że

Matuszka czuł się tym nawet dotknięty, uważając, iż ogranicza się jego własną inicjatywę, którą się pragnął pochwalić, Zdawał sobie jednak sprawę, że musi słuchać i w zupełności zastosował się do otrzymanych wskazówek.

Na trzy dni przed zamachem, Matuszka, pod jakimś pozorem, opuścił swe mieszkanie w Wiedniu, mieszkanie, gdzie złote zęby szczyrzyła trupia czaszka, i wyjechał do Jüterboga.

Przez cały dzień następny, wypoczęty i wyspany, Matuszka badał okolice i przeprowadzał w planie zamachu konieczne poprawki. Opuściło go gorączkowe podniecenie, począł rozumować chłodno i logicznie, rozważając szanse i okoliczności sprawy.

Maszyna piekielna była gotowa i czekała tylko, kiedy zostanie położona na torze.

Matuszka obchodził się z nią delikatnie jak z dzieckiem. To było przecież pierwsze dzieło jego niszczycielskiego kunsztu.

Nadszedł wreszcie krytyczny dzień, dzień, kiedy wielki ekspres miał zostać zniszczony pod Jüterbogiem...

Matuszka dnia tego zerwał się o świcie, chociaż ekspres przez Jüterbog dążący w stronę Berlina, przejechać miał punkt, w którym miał napotkać maszynę piekielną, dopiero o godzinie 18:30.

Radość i duma rozpierały pierś Matuszce. Oto każda sekunda zbliżała go do owej wielkiej chwili, kiedy miał dokonać dzieła zamachu, tego zamachu, o którym tak wiele i tak długo marzył, oto każda minuta przybliżała ów moment dzikiej rozkoszy, jedynej w swoim rodzaju, rozkoszy miażdżenia i niszczenia.

Przez szereg godzin Matuszka nie mógł sobie znaleźć miejsca. Włóczył się po Jüterbogu, wstępował to do tej, to do innej kawiarni, od niechcenia przrzucał pisma ilustrowane, popijając mocną herbatę, i czekał z niecierpliwością, kiedy nadejdzie godzina, w której będzie mógł umieścić na torze ładunek dynamitu o długim, bardzo długim nasiarkowanym lonce.

Wreszcie przyszło mu na myśl, że jego osoba może zwrócić uwagę, co bynajmniej nie leżało w jego intencjach.

Poszedł więc za miasto na dłuższy spacer, byle tylko zabić czas, byle tylko jak najbardziej skrócić chwile niecierpliwego oczekiwania.

O godzinie czwartej po południu zaczęło się już ściemniać. Matuszka wstąpił do małego hoteliku, gdzie mieszkał, zabrał maszynę piekielną i pod osłoną coraz bardziej gęstniejącego mroku udał się na miejsce, gdzie, według otrzymanych instrukcji, położyć miał na torze minę.

Wszystko poszło jak z płatka. Mrok już był zupełny i trudno było przypuszczać, by

posterunek kolejowy, posterunek do tego dość odległy, kontrolował jeszcze tory przed przejazdem przez Jüterbog pociągu pośpiesznego.

Matuszka przeciągnął nasiarkowany i nasaletrowany sznur do narzędzia zniszczenia i przerzucił go sprytnie przez nasyp, po czym sam zszedł z nasypu i usiadł zadowolony z pracy, jakiej dokonał.

Noc była ciemna i bezksiężycowa, niebo groziło deszczem. W mrokach owej nocy siedział Matuszka i czekał. Czekał jak zwid głoszący i niosący nieszczęście, czekał jak zły duch, jak chochlik potworny, który przygotował wszystko do splątania straszliwego figla.

O jakieś czterysta metrów od miejsca, gdzie spoczywał na torze ładunek dynamitu, kończył się ostry wiraż, który przechodził w prostą linię.

Długość lontu, który miał spowodować wybuch niszczycielskiego ładunku, obliczona została w ten sposób, że Matuszka zapalić miał lont ów w momencie, w którym wyłonić się miały na wirażu snopy reflektorów lokomotywy.

Jak długo czekał Matuszka na ów upragniony moment, sam tego nie wiedział i na pewno nigdy się nad tym nadmiernie nie zastanawiał. Znajdował się jakby w zupełnym odrętwieniu duchowym. W mózgu miał jakąś ogromną pustkę.

Naraz!

Daleko, bardzo daleko, w wilgotnym deszczowym powietrzu głos znakomicie niosącym, zaszemrały, zastukały koła, pojęk przebiegł przez szyny, a turkot, zrazu bardzo odległy, stawał się bliższy i coraz bliższy.

Matuszka ocknął się z odrętwienia.

Oto nadchodziła upragniona chwila. Oto szedł pociąg pośpieszny, dążący przez Jüterbog do Berlina.

Matuszka wdrapał się do połowy nasypu i czekał. Był zupełnie spokojny, trudno byłoby w nim poznać neurastenika, u którego nerwy szalały z lada błahego powodu.

Hałas nadchodzącego pociągu rósł z każdą sekundą. W monotony, a wciąż na sile przybierający turkot kół, wdarł się łoskot wiodącej pociąg lokomotywy.

Coraz bliżej... bliżej... BLIŻEJ...

Ekspres dążący do Jüterboga wpadł na ostry wiraż, wlokąc za sobą długi wąż oświetlonych wagonów.

Matuszka wbił sobie zęby w wargi tak głęboko, że aż wąski strumyczek krwi począł się wić po jego brodzie.

Coraz bliżej... bliżej... BLIŻEJ...

Ślepie lokomotywy błyszczące jak karbunkuły ukazały się naraz zza ostrego wirażu i

białymi smugami oświetlać jęły czarną przestrzeń.

Oczekiwana chwila nadeszła...

Matuszka wpił się nieprzytomnym, obłąkanym wzrokiem w światła lokomotywy, która parła błyskawicznie naprzód odziana w pióropusz czarnego dymu.

Zdawać by się mogło, że Matuszka zahipnotyzowany ślepiami stalowego potwora zapomniał o maszynie piekielnej, o spoczywającym na torze ładunku dynamitu, o loncie, który biegł tuż koło niego i zwieszał się z nasypu.

Ale nie! Matuszka nie zapomniał.

W krótkiej chwili, w ułamku sekundy przeżył on całą wizję zniszczenia, z kinematograficzną szybkością przemknęło przez zwoje jego mózgu wyobrażenie katastrofy, jaką miał spowodować.

Oto pędzi, oto pożera przestrzeń wspaniały, zwycięski ekspres, oto rwie i tętni stalowy potwór, ziejący dymem i parą, ciągnący za sobą warkocz wagonów, bijących w czerń nocy rzędem jasno oświetlonych wagonów. Podobny jest do apokaliptycznego smoka, do olbrzymiej potwornej gąsienicy fosforyzującej wielkimi cętkami, gąsienicy poruszającej się i wijącej się z szaloną szybkością. Tam, w tych oświetlonych wagonach, jadą ludzie. Wiozą z sobą swe troski, radości, swą dolę i niedolę. Zabijają czas jazdy rozmową, przerzucaniem gazet, czytaniem książek, słuchaniem radia, pogawędkami lub jedzeniem w wykwinnym restauracyjnym wagonie.

I oto on, on - Matuszka! - jest w mocy jedną iskrą zatrzymać i zniszczyć ów cud techniki ludzkiej, ów pociąg wspaniały biegnący po szynach drżących jak struny. Oto on - Matuszka! - jest mocen jedną iskrą wysadzić ekspres i zamienić go w kupę żelastwa i gruzu. Oto on jest w mocy zamienić ludzką ciżbę, jadącą w owym ekspresie w zbitą masę ciał, pogruchotanych, pogniecionych i pokrwawionych, w zlepisko zmiażdżonych mózgów i zdławionych, w ostatnim wydechu płuc, w straszliwą galaretę tkanek zlepionych krzepnącą krwią...

On - on, Matuszka.

Pociąg pośpieszny, idący do Jüterboga jest coraz bliżej... bliżej... BLIŻEJ...

Matuszka budzi się z chorobliwych snów i marzeń. Pojmuje naraz, że jeżeli natychmiast nie zapali lontu - pociąg przeleci koło niego i zniknie w dali, i wsiąknie w mrok nocy...

Zbrodniarz odrywa na chwilę oczy od karbunkułów lokomotywy i zapala lont.

Iskra przebiega przez sznur i znika w górze nasypu.

Wali się, coraz większa, urastająca w ruchomą ścianę, ciemna masa pociągu.

Matuszka stacza się w dół nasypu i poczyną biec, ile sił w nogach, w kierunku przeciwnym od jazdy ekspresu.

Słyszy tylko szum powietrza w uszach i łomot mijających go wagonów.

Więcej nic. Nic!... Nic!...

- A jeżeli lont zgasł? Jeżeli dynamit nie wybuchnie, jeżeli pociąg pomknie dalej, otarłszy się o śmierć i zniszczenie?

Matuszka kieruje się instynktownie na ukos i dopada jakiegoś drzewa. Przytula się do jego pnia...

Naraz...

Błysk ognia na mrocznym torze. Chyboce się i chwieje nasyp. Rwą się szyny i skręcają jak cienkie druty, w strzepy idą drewniane podkłady.

Trwa to wszystko tak krótko, dzieje się z taką szybkością, że Matuszka raczej wyczuwa, niż widzi, poszczególne fazy katastrofy.

Pociąg wspina się w górę jak łoś ranny w ostępach. Gasną jarzące się okna wagonów. Setki okrzyków trwogi zlewają się w jeden straszny pomruk.

Wagony ekspresu w dziwacznych podrygach wałęsają się w dół nasypu, pociągając za sobą lokomotywę, która zdołała przejechać przez krytyczne miejsce.

Jeden z wagonów, padając, przygniata swym ciężarem telegraficzny słup i zrywa gęstwę drutów.

Mrok jakby zgęstniał... Martwota ciszy... A potem jęki, straszliwe jęki ofiar uwieczonych w labiryntach poskręcane żelaza.

Matuszka trwa przytulony do omszałego pnia drzewa, trwa bez ruchu i szeroko otwartymi oczyma patrzy na dzieło, którego dokonał.

Pot zimny osiada mu na czole. Wstrząsa nim dreszcz po dreszczu. Wsłuchuje się w jęki i płacze, w rozpaczliwe wołania o ratunek, syci swe oczy spustoszeniem, jakiego dokonał.

Z kilku wagonów wydobywają się zaczynają języki ognia i liżą szczątki dawnego ekspresu. Jakieś postacie z trudem wydostają się z pogruchotanych wozów i krążyć poczynają jak cienie.

Jakiś głos, spokojny i opanowany, wydaje rozkazy, kieruje tymi, którzy nie zginęli, nie zostali ranni, którzy nie postradali zmysłów.

Matuszka nie czeka dłużej.

Jednym jeszcze spojrzeniem obejmuje teren katastrofy, oddala się i znika w mrokach bezgwiazdnej nocy.

Rozdział XVIII

CIEŃ NAD EUROPA

Jüterbog był tylko wstępem.

Jüterbog był pierwszym akordem owej piekielnej symfonii, symfonii zniszczenia, terroru i szpiegostwa, jaka szalała nad wyniszczoną kryzysem, osłabłą i wyczerpaną Europą.

Zdawać by się mogło, iż macki polipa rozpostarły się po wszystkich krajach i państwach Europy, zdawać by się mogło, iż nad kontynentem rozpostarły się jakieś olbrzymie, potworne, niesamowite ręce.

Ręce o długich, kościstych palcach, ręce podobne szponom drapieżnych ptaków, ręce podobne rękóm szatana.

Te właśnie ręce zdławiły Rogera Crandalla, te właśnie ręce wykradły z hotelu Atlantis ostatni raport agenta Th-113, te właśnie ręce zmusiły Inę Ordeyg do pójścia na służbę obcego wywiadu.

One to pokonały Olgierda Grota, one to podsuwały majorowi Semkowskiemu weksle z kuszącym korowodem zer, one to dały obłąkańcowi Matuszce ładunek dynamitu i powiedziały mu: Idź i niszc!

Ręce te bawiły się uczuciami, słabościami i ambicjami ludzi, jak bawi się chłopiec, pociągając za sznurek pajaca.

O ile chodziło o uchwycenie tych potwornych rąk, o skucie tych rąk w okowy kajdan, o odrąbanie ich toporem, rąk tych nie było. Ręce te znikwały, oddalały się, stawały się majakiem, fantomem wyobraźni.

Rąk tych nie było nigdy.

Widziano tylko to, co ręce te dokonywały.

One to rzucały iskry w dobrze strzeżone prochownie, one to koszarowe studnie zatruwały zarazkami śmiertelnych chorób, one to silniki samolotów wojskowych pozbawiały jednej, małej śrubki, której brak zamieniał dumne sztuczne ptaki w nicość połamanych szczątków.

Ręce te, tajemnicze, niewidzialne, mocarne jak dłonie demona, rozkręcały kolejowe szyny i całe pociągi zrzucały z nasypów w otchłanie zniszczenia i śmierci.

Ręce te otwierały w salach sztabów generalnych kasy ogniotrwałe i unosiły z nich tajne akta mobilizacyjne, plany kampanii wojskowych i akta dotyczące rozdziału dywizji i pułków.

Ręce te chwyciły Europę za gardło i dławiły ją straszliwie, nielitośnie.

Ręce te wisiały nad stolicami państw i rzucały na nie ponury cień lęku i niepewności.

Jak sfory psów spuszczone z łańcuchów tropiły, węszyły, szukały, podejrzewały, przerzucały się z tropu na trop watahy policyjnych i wojskowych szpiclów.

Szukano wroga tam, gdzie był, lecz nigdzie go nie dostrzegano.

Szukano wroga tam, gdzie go nie było.

Wzmacniano posterunki wojskowe, zaostrzano regulaminy wart, kordonami obstawiano prochownie, ogłaszano, znoszono i znów ogłaszano stan wojenny, dróżnikom kolejowym dano wojskowe załogi, uzbrojono lokomotywy w żrenice reflektorów, zmniejszano szybkość pociągów... Nie pomagało nic!

Nie było dnia, by zmęczeni telegrafści nie odczytywali długich pasków papieru donoszących o nowych aktach sabotażu.

Nie było dnia, by aparaty Hughesa nie przenosiły z miejsca na miejsce alarmów.

Nie było dnia, by nie dźwięczały między stolicami wystraszone dzwonki telefonów.

Wiedzano, że owe niszczycielskie ręce są rękami Znaku Zapytania.

Wiedzano pozornie dużo, ale nie wiedzano zarazem nic, kim i czym był ów Znak Zapytania.

On zaś, niepozorny i ukryty, był więcej mózgiem niż ciałem. Był marną ruiną człowieka, był jak gdyby nadkruszoną latarnią morską, która z głowicy swej miota na morze strumień olśniewających błysków.

Gdziekolwiek padł ów błysk, na czymkolwiek zatrzymywała się myśl owego potwornego mózgu, tam ludzie stawali się niewolnikami Znaku Zapytania, tam zniszczenie szczyrzyło swe zęby, tam trwoga ludzka biła w niebo, jak wycie wilczego stada.

Był tym groźniejszy, że kryła go niepozorność.

Był tym silniejszy, że osłaniało go kalectwo.

Był tym potworniejszy, że w wizjach tylko swoich mógł widzieć to, czego dokonywał.

Po tysiąc, po dziesięć tysięcy razy przewalać się mogła tuż koło niego sfora czujnych gończych psów policyjnego wywiadu.

Po tysiąc i dziesięć tysięcy razy mogli otrzeć się o niego i nie dostrzec go.

To dodawało mu sił. To dodawało mu wytrwałości.

Nie widzieli go i nie znali ci, którymi kierował.

Nie domyślali się nawet, że on jest tą radiostacją, która bezwzględnie rzuca rozkazy, że on jest ta strzelista anteną, która polecała, komenderowała, kierowała.

Nie widział on nigdy tych, którymi rządził, wiedział tylko tyle, ile było trzeba, by

władzę nad nimi utrzymać.

Nagradzał ich i posyłał na śmierć, wydawał wyroki, zabijał, gdy dostrzegł najmniejszy cień zdrady lub wahania - nieznany nieznanych - nieznający nieznających.

Mózg jego układał i obmyślał plany, na ustach jego błąkał się gorzki, ironiczny uśmiech wszechwiedzy, a dłonie jego cierpliwie i nieustannie rozdawały judaszowe srebrniki, siały sztukami i rulonami złota, bowiem Znak Zapytania wiedział, iż kruszec jest to potęga, jakiej nie opierają się najsilniejsze twierdze.

Jak rozpostarte skrzydła nietoperza rzucał cień na dusze wielu ludzi i wiódł je z sobą w błędny taniec dzikich namiętności.

Działał złem i zwyciężał przez zło.

Rozdział XIX

SPOTKANIE

Ręce, owe potworne ręce Znak Zapytania, wśród innych ofiar zwróciły uwagę na osobę porucznika Jerzego Chemnickiego z Drugiego Oddziału Sztabu.

Pewnego dnia porucznik Chemnicki wezwany został do szefa działu mobilizacyjnego Sztabu Głównego.

Szef działu wyłożył krótko Chemnickiemu misję, jaką porucznik miał spełnić.

- Pojedzie pan, panie poruczniku, do Krakowa. Jak pan woli, albo południowym, albo nocnym pociągiem pośpiesznym. Sądzę jednak, że nocny pociąg będzie panu bardziej odpowiadał.

Porucznik Chemnicki skinął głową na znak, że istotnie wybiera pociąg nocny, podczas gdy major mówił dalej:

- Przewiezie pan do Krakowa i wręczy szefowi Okręgu Krakowskiego tę oto paczkę - tu oficer sztabu wskazał młodemu porucznikowi wypchaną, czarną torbę. - Ostrzegam pana, panie poruczniku, że teka ta zawiera tajne akta mobilizacyjne. Dlatego też obowiązkiem pana jest strzec jej bardziej niż swego honoru. Rozumie pan, panie poruczniku?

Porucznik Jerzy Chemnicki skinął znowu potakująco głową.

Zadanie, jakie mu polecono, wydało mu się niesłychanie łatwe. Był przyzwyczajony do tego rodzaju misji, zawsze połączonych z surowymi ostrzeżeniami, tak że w końcu przestało to na nim robić wrażenie.

Cóż bowiem tak wielkiego miał uczynić? Czyż mogło nastęczyć jakąkolwiek trudność przewiezienie wypchanej papierami teki pierwszą klasą pociągu pośpiesznego pod troskliwym okiem konduktorów.

Niebezpieczeństwo było tym mniejsze, że o przewiezieniu akt nikt przecież nie wiedział poza majorem, nim samym i dowódcą okręgu w Krakowie.

Jerzy Chemnicki zapewnił majora, że wszystko będzie w porządku, po czym uściskał jego suchą dłoń, zabrał ciężką torbę i opuścił gabinet przełożonego.

Gdy znalazł się w swej pracowni, zamknął tekę do szuflady opatrzonej w szyfrowy zamek.

Do odejścia pociągu miał jeszcze kawał czasu.

Pobrał Rozkaz wyjazdu i wyszedł na miasto.

Począł właśnie żałować, że nie wybrał pociągu południowego. Byłby jechał za dnia,

zamiast tłuć się po nocy, byłby się przespał w jednym z hoteli krakowskich, a tu, tymczasem, trzeba było czekać szereg godzin na pociąg wieczorny.

Od pewnego czasu każda podróż budziła w nim uczucie przykrości. Wspomnienia jego ani na chwilę nie oddalały się od owej niezwyklej przygody, jaką przeżył w pociągu pośpiesznym, zdążającym z Gdyni do Warszawy, od owej dziwnej przygody, kiedy dopiero co poznana, olśniewająca urodą towarzyska podróży rzuciła mu się w ramiona i oddała mu swe ciało, pozostając zagadkową, daleką i obcą.

Od chwili owej, kiedy pożegnał ją przed dworcem głównym po opuszczeniu pociągu, nie widział jej, ani ani też nie słyszał o niej absolutnie niczego.

Obiecywała mu, że zadzwoni do niego, do sztabu, że zatelefonuje, że da znak życia o sobie, a przecież mijały długie dni, a Chemnicki nie wiedział nic, co się stało z ową tajemniczą kobietą, po której pozostało mu tylko wspomnienie dziwnej, drażniącej urody i kipiących temperamentem zmysłów.

Chemnicki dziwił się sam, iż tak wielką wagę przywiązywał do owej przygody w pociągu, przygody, w której, w gruncie rzeczy, nie było nic nadzwyczajnego.

Ot, jedna z tych przelotnych awanturek, jedna z tych przygód, o których się zapomina w momencie, kiedy się skończą.

Jakże Chemicki nie mógł zapomnieć.

Tajemnicza kobieta, którą nagły zmysłowy wybuch rzucił w jego objęcia, interesowała go tym więcej, im bardziej starał się zbagatelizować tę dziwną znajomość.

- Co się z nią stało? - zastanawiał się często.

Gdy się rozstawali, pod wrażeniem świeżo przeżytej rozkoszy obiecywała mu, że spotkają się jeszcze w życiu, że zadzwoni do niego.

Tymczasem nie dzwoniła. Zginęła w wielkim targowisku milionowego miasta i nie sposób było ją odszukać.

Nie pozostał mu nawet w rękach najmniejszy ślad, który by mu pozwolił zacząć poszukiwania tej kobiety. Pozostało mu tylko wspomnienie sypkiego złota jej puszystych włosów.

Wspomnienie to owładało czasem Chemnickim w sposób irytujący i nieznośny.

Nie mógł się pogodzić z myślą, iż - być może - nigdy już nie ujrzy owej kobiety. Nie mógł się pogodzić z myślą, iż z czasem przestanie może wierzyć w prawdę swego przeżycia.

Prowadził życie samotne, zamknięte w sobie, niechętny hulankom, stroniący od kieliszka, uchodzący wśród kolegów za dziwaka.

W parze jednak z tymi „wadami” szło uznanie, jakim się cieszył ze strony

przełożonych.

Wolno snuły się godziny dzielące go od odejścia pociągu. Mimo że do odjazdu expressu krakowskiego pozostała godzina, zabrał z domu cenną tekę i małą podręczną walizeczkę i udał się na dworzec.

W czasie drogi odniósł wrażenie, które go rozśmieszyło. Wrażenie, że jest śledzony. Uznał tę myśl za niedorzeczną, jednakże zamiast iść piechotą, jak zamierzał, wsiadł do taksówki i udał się na dworzec.

Był jednym z pierwszych, którzy zajęli miejsce w wagonach pociągu.

Na szybie przedziału pierwszej klasy widniała nalepiona kartka z napisem Zarezerwowane. Chemnickiego poczęła ogarniać senność. Wiedząc, że ma cały przedział do swej dyspozycji, zachowywał się zupełnie swobodnie. Zrzucił mundur i włożył piżamę.

- Włożę sobie tekę pod głowę - mówił do siebie - i będę spał jak anioł do samego Krakowa.

Pociąg wypełniał się z wolna pasażerami.

Chemnicki zamknął drzwi przedziału i przesłonił okna firankami, tak jednak, że przez szparę mógł obserwować przechodzące korytarzem osoby.

Jakaś smukła postać kobieca przeszła koło jego przedziału raz i drugi, Chemnicki jednak nie zwrócił na nią uwagi. Był istotnie zmęczony i nie pragnął niczego innego jak tego, by jak najprędzej zasnąć.

Konduktorzy z trzaskiem zamykali drzwi wagonów. Pociąg pośpieszny WarszawaKraków drgnął i potoczył się zwolna wzdłuż peronu.

Chemnicki wyciągnął się na siedzeniu.

Nie wiadomo dlaczego, przyszła mu znowu na myśl przygoda miłosna w pociągu GdyniaWarszawa.

Ruszył ramionami.

Trzeba wreszcie zapomnieć o tym głupstwie..

Zresztą łatwość, z jaką jego partnerka uległa nastrojowi, który ogarnął ich oboje, nie świadczyła dodatnio o sile jej charakteru.

Chemnicki przeciągnął się sennie.

- Trudno! - szepnął do siebie. - Było - przeszło, jak wszystko przechodzi w życiu. Dobrze tylko, że jest to wspomnienie miłe, a nie przykre. Oby takich wspomnień było więcej.

W tej samej chwili z hałasem uchyliły się drzwi przedziału, którego nie zamknął na klucz.

Oficer wznosił głowę i wpatrzył się w postać, która stanęła w progu przedziału.

Była to kobieta.

Ubrana była w obcisły kostium podróżny; puszyste futro niebieskiego lisa chroniło ją od chłodu późnej jesieni. Kapelusz o małym rondzie ocieniał drobną delikatną twarz. Spod owego kapelusza wysuwały się kosmyki złotych niesfornych włosów.

Kobieta zatrzymała się w progu przedziału, zajmowanego przez Chemnickiego i patrzyła nieruchomo na leżącego oficera.

Oczy ich się spotkały. Chemnickiemu dech zamarł w piersiach. Zerwał się naraz na równe nogi.

- To ty?... To pani?... - wyjąkał zmieszany.

Jasny, dobry uśmiech przebiegł po twarzyczce kobiety. Weszła do przedziału, zamykając drzwi za sobą. Małą, trzymaną w ręku walizeczkę, rzuciła na ławkę przedziału i stanęła znowu nieruchomo, oczekując tego, co on powie.

- To ja! - powiedziała tylko, a raczej wyszeptała ledwie dosłyszalnym głosem.

Był już przy niej. Trzymał w swych rękach jej rączki obciążone rękawiczkami. Tulił usta i twarz do okrywającego dłonie zamszu.

- To ty!... To... pani!...

Oboje nie wiedzieli, jak to się stało, że nagle twarze ich znalazły się obok siebie, że oczy utonęły w oczach, że usta ich zbliżyły się do siebie i że połączyli się w dreszczu pełnego tęsknoty, długiego, do utraty tchu trwającego pocałunku.

Kobieta oprzytomniała pierwsza. Ruchem delikatnym i łagodnym uwolniła się z jego objęć.

Energicznym pociągnięciem ręki zdjęła z głowy kapelusz. Złote, puszyste, wspaniałe włosy rozsypały się wokół jej twarzy jasną aureolą.

Dopiero teraz zaczęli mówić z sobą. Szybko, urywanie, bezładnie, jak ludzie, którzy nie widzieli się dawno, a którzy wiele mają sobie do powiedzenia.

- Do Krakowa?

- Tak. A ty?... A pani...

- Tak samo. Potem, może, do Zakopanego.

- Czy wiedziałaś, że będę dziś jechał?

- Skądże znowu! Prosty zbieg okoliczności - uśmiechnęła się wycięciem kształtnych warg. - Chociaż po prawdzie wiedziałam coś nie coś, że poje... że pan dziś pojedzie.

Zdziwił się ogromnie.

- Pani o tym wiedziała?

Uśmiechnęła się znowu. Czyniła to bardzo ładnie.

- Tak. Co prawda dowiedziałam się o tym dość późno. Zauważyłam pana w chwili, gdy w kasie kolejowej stemplował pan swój rozkaz wyjazdu. Był pan tak zajęty, że nie zauważył pan, że byłam w pobliżu.

- Ach, tak.

- Widzi pan, jaki pan nieuważny. Zamiast mnie szukać, ja pana szukać musiałam.

Milczeli przez chwilę i przypatrywali się sobie ciekawie. Pierwsza przemówiła kobieta.

- Bez pytania wpakowałam się do tego przedziału, nie wiedząc, czy życzy pan sobie tego, czy też nie, czy krępuję pana, czy nie? Czy mogę zostać?

- Także pytanie! To zupełnie naturalne i zrozumiałe.

- To jest przedział służbowy?

- Służbowy! Mimo to jednak starczy w nim miejsca na nas dwoje.

- Znakomicie - uśmiechnęła się. - Wobec tego pojedziemy razem.

Poczęła gospodarować w przedziale, zdjęła płaszcz, ułożyła wzburzone włosy i przypudrowała twarz.

Patrzył w milczeniu na te wszystkie ceremonie, które, nie wiadomo dlaczego, napępiały go ogromną radością.

Mówili do siebie bardzo mało, a gdy rozpoczęli rozmowę, rwała się ona bardzo szybko.

Było to zupełnie naturalne. Czyż wiedzieli coś wzajemnie o sobie? Czyż łączyło ich coś poza owym wybuchem niszczącej żądy, jakiej ulegli oboje przed kilku tygodniami, również w przedziale pociągu pośpiesznego, wtedy kiedy widzieli się po raz pierwszy.

To było ich jedyne wspólne wspomnienie, wspomnienie, które teraz w warunkach tak podobnych ich pierwszemu spotkaniu, stawało się ich pamięci bliskie, realne i plastyczne. Wspomnienie to zabraniało padać słowom, stało na przeszkodzie ich rozmowie, wspomnienie to wołało, uświadamiało, że można je przecież teraz powtórzyć, na nowo uczynić faktem.

Chemnicki uczył, iż nerwy jego poczynają drgać nigdy nie ugaszonym, a teraz obudzonym na nowo pożądaniem owej kobiety.

Dziwny zmysłowy wyraz jej drobnej twarzyczki, sypkie złoto jej włosów, rysunek jej piersi drobnych a krągłych, uwypuklających się pod obcisłym podróznym pulowerem - wszystko to doprowadzało go do szaleństwa.

Usiadła tuż obok niego i patrzyła na oficera swymi wielkimi oczyma o rozszerzonych źrenicach. Owionął go upajający, budzący dreszcz zapach jej perfum.

Chociaż w przedziale przyćmione było światło, ujrzeli oboje, że twarze ich pokryła

nagła bladość.

Nie było nic, nie istniało nic poza pożądaniem, poza pierwotną mocarną żądzą wzajemnego posiadania.

Kobieta patrzyła w piękną twarz młodego oficera i naraz serce jej ścisnęło się bolesnym skurczem. Jakaś myśl przykra i okrutna, jak zgrzyt po szybie w nocnej ciszy, wdarła się do jej umysłu i zmaćla falę pragnienia.

Jakby chcąc przed myślą ową szukać w nim ucieczki, oparła głowę o ramię Chemnickiego.

Ręka jego objęła ją drapieżnie. Głodne palce otoczyły mocną pieszczotą pagórki piersi prężące się pod materiałem.

Szybkim nerwowym ruchem, ruchem prawie gwałtownym, odrzuciła w tył głowę i utonęła rozszerzonymi, zmętniałymi źrenicami w jego spojrzeniu.

Była w tym spojrzeniu tęsknota i tkliwość, pożądanie i prośba, pragnienie i oddanie.

Twarcz jego zbliżyła się do jej twarzy. Usta jego zawisły na chwilę na jej wargach, jak jastrzęb zawisa nad swą ofiarą, zanim na nią runie, po czym wtuliły się w nie naraz głodne i nienasycone.

Wgryzła się w jego usta do szaleństwa, do zapamiętania, do krwi. Omdlewała w pocałunku, który zdawał się trwać do końca...

Ciche pukanie do drzwi przedziału...

Drgnęli, oderwali się i odsunęli od siebie.

Kobieta podniosła ręce do wzburzonych włosów, by je uporządkować.

Chemnicki uczył ciepły, słodkosłonawy smak krwi na wargach. Podniósł do ust chusteczkę, na której zaznaczyła się czerwona plama.

- Proszę!

Wszedł konduktor. Zdawał się niczego nie widzieć, niczego nie dostrzegać, nawet niczego nie domyślać.

Bez pośpiechu, uprzejmie i flegmatycznie sprawdził rozkaz wyjazdu porucznika i skontrolował bilet pięknej pani.

Podniósł rękę do czapki.

- Dobranoc państwu.

Drzwi przedziału zamknęły się znowu. Teraz już nikt nie miał im przeszkadzać.

Chemnicki wstał i szybkim ruchem zasłonił firanki przedziału u wychodzących na korytarz okien.

Kobieta siedziała przy oknie z głową przytuloną do szyby, która chłodziła jej

rozpalone skronie. Wargi jej były zaciśnięte, oczy wpatrywały się w mrok nocy, którą pociąg pośpieszny przecinał świetlistą wstęgą.

Jerzy Chemnicki podszedł do młodej kobiety. Musnął jej złote, urocze włosy.

- To dziwne - rzekł - wypowiadając myśl, która nurtowała nim od chwili ich spotkania. To dziwne, że my zawsze w pociągu...

Uniosła naraz głowę i spojrzała na niego. Zatonął w ciemnym błękitcie jej przepastnych oczu.

Ruchem szybkim przyłożyła mu do ust drobną, małą rączkę o długich, wytwornych palcach, rączkę pachnącą perfumami.

- Błagam cię! - szept cichy, proszący, uległy - błagam cię, nie mów nic. Ani słowa. Niczego. To tak maści czar takich chwil...

Usłuchał. Nie powiedział już nic. Przytrzymał ręką jej małą dłoń przy swych ustach, ukląkł przy niej i bawił się lekkim chwytnością jej palców w swe białe, zdrowe zęby.

A potem oparł twarz na jej kolanach i trwali tak bez ruchu.

Zapomnieli o tym, gdzie się znajdują, nie obchodziło ich dokąd jada, nie obchodziło ich kim są, co robić będą jutro. Nie obchodziło ich nic, tylko to, że są razem z sobą.

Po burzy zmysłów, z jakiej wyrwało ich pukanie konduktora, nastąpiło chwilowe uspokojenie.

Od kobiety biło ciepło dojrzałej, świadomej zmysłowości.

Palce jej wczepiły się w bujną czuprynę Chemnickiego, mierzwiły jego włosy pieśczołą zrazu delikatną, potem coraz bardziej namiętą i gwałtowną.

Nagle ruchem mocnym, bolesnym, ujęła w garść jego włosy i przegięła w tył jego głowę, źrenice jej były rozszerzone, jak źrenice człowieka, który się boi. Nie bała się - pożądała tylko.

Krwawe, mordercze rozkoszą usta kobiety spadły na wargi Chemnickiego.

- Ty!... Ty!... Ty!... rzuciła niewyraźnym szeptem.

Pocałunek ten przeważał skalę. Pożar krwi, który się w nim wzbudził, zniszczył wszelkie skrupuły, przełamał wszystkie tamy.

Silne, atletyczne ramiona oficera obręczą nienasyconej żądz opasały jej plecy.

Drżące palce walczyły z pulowerem, gdzie za pajęczą koszulką dygotały i rwały się w nieprzytomnym oddechu półkule wezbranych rozkoszą piersi.

Białe ciało błysnęło obnażone z pęt ubrania. Szukały go chciwie głodne, spragnione młode wargi, zagarniając je nienasyconie huraganem pocałunków.

- Dosyć... Dosyć szarpały się na rozdygotanych wargach słowa, które zabraniały

treścią, a pozwalały tonem.

Zew płci odebrał im zmysły, rozpałił krew do stanu wrzenia, osłonił oczy dobrotliwą, słodką mgłą pożądania.

Przechyliła się na siedzeniu, pociągając go za sobą.

Ręce oficera błdziły po ciele kobiety, ślizgały się po jędrnych kształtach nóg, szukając upragnionej nagości...

W dudnieniu pociągu, w pojęku buforów, w szumie mknącego przez granat nocy pociągu oddali się sobie w dzikim, obłądnym paroksyzmie straszliwej rozkoszy.

* * *

Ginęły w przestrzeni, zapadały się w cień nocy budki dróżników i bloki posterunków kolejowych.

Przebiegali przez jakieś stacje jasno oświetlone, mijali jakieś przystanki małe i mizerne, gdzie zatrzymują się tylko pociągi osobowe, a przez które ekspres przelatuje z hałasem i pojękiem.

Mijali jakieś pociągi dążące w przeciwną stronę, mijali leniwe tasiemce pociągów towarowych.

Nie wiedzieli o niczym. Nie istniało dla nich nic...

Trzymała na kolanach jego głowę i wsłuchiwała się w jego oddech równy i spokojny.

Upojony rozkoszą w jej szczodrych ramionach, wyczerpany miłosną udręką, usnął ukołysany do snu monotonnym ruchem pociągu i pieszczotą jej aksamitnych rąk.

Siedziała wyprostowana, bez ruchu, wstrzymując oddech, wpatrzona w jego męskie rysy, pogrążona w jakiejś bolesnej ekstazie.

Liczyła minuty i sekundy, które dzieliły ją jeszcze od strasznej, brutalnej prawdy, od chwili, kiedy bezlitosna rzeczywistość miała rozdzielić ich tym razem na zawsze, od chwili, kiedy miała zadać ból uspijonemu na jej kolanach mężczyźnie, tak jak niedawno dała mu rozkosz i szal bezpamiętny.

Nie otrząsnęła się jeszcze z przejmującego uczucia, jakie jej dała pieszczota jego silnych ramion, a już, już zbliżała się godzina, która miała zadać cios zarówno jej jak i jemu.

Cios ten wbrew jej woli miał paść właśnie z jej ręki.

Myślała szybko, chaotycznie, szukała sposobów ratunku, ale nie znajdowała ich. Wiedziała, że szukanie ich jest krótkotrwałym złudzeniem, oszukiwaniem samej siebie.

Od rozkazów Znak Zapytania nie było apelacji, nie było sprzeciwów, nie było ucieczki, nie było ratunku...

Spojrzała na zegarek, umieszczony na przegubie ręki.

- Jeszcze godzina, akurat godzina! - stwierdziła bezgłośnie ruchem warg.

Spojrzała znów na twarz śpiącego, wsłuchiwała się znowu w jego równy oddech.

Nie trzeba było usypiających papierosów, nie trzeba było narkotyków ukrytych w czekoladkach, nie trzeba było żadnych podstępów - wystarczyło zmęczenie miłosne, które uśpiło porucznika Chemnickiego.

Kobieta sięgnęła delikatnie po torebkę i wydobyla z niej mały flakonik, wypełniony jakimś płynem. Zwilżyła delikatnie chusteczkę owym płynem i przyłożyła ją do ust i nosa Chemnickiego.

Śpiący drgnął, poruszył się, lecz nie przebudził.

Mdły, nieznośny, duszący zapach chloroformu nappełnił przedział.

Bolesna, pionowa zmarszczka przecięła czoło kobiety.

Ostrożnym ruchem uniosła oficera i złożyła jego głowę na poduszkach przedziału. Wzrok jej padł na czarną, grubo wypchaną tekę.

Gorzki uśmiech rozchylił jej obolałe od pocałunków wargi.

Ta teka była zniszczeniem jej szczęścia. Dla niej to musiała popełnić tę podłość, którą popełniała.

Poczęła się powoli ubierać, ułożyła włosy zawsze niesforne i rozwichrzone, ukarminowała starannie usta i upudrowała twarz.

W drobne te czynności wkładała całą swą uwagę, jakby chciała zająć niemi wszystkie swe myśli, cały swój umysł bez reszty...

Następnie otworzyła małą walizeczkę. Walizeczka ta była pusta.

Z kolei wzięła tekę i próbowała ją otworzyć. Była ona jednak zamknięta na kluczyk.

Zawahała się.

Co robić?... Czy przeszukać kieszenie śpiącego? Nie! Mimo dawki chloroformu byłoby to ryzykowne.

Sięgnęła znowu do torebki. Wyjęła z niej żyłkę i poczęła nią pruć boki skórzanej torby.

Sięgnęła do wnętrza rozciętej torby i wydobyla z niej plik papierów.

W korytarzu wagonu usłyszała jakiś szelest, jakieś kroki.

Podniosła głowę i nadśluchiwała czujnie. Następnie uspokojona, drżącymi nieco rękoma jąla wydobywać z teki papiery i układać w swej walizce.

Pociąg zwalniał już biegu, zbliżając się do Częstochowy.

Zamknęła walizkę, włożyła kapelusz i rękawiczki i zupełnie już gotowa do opuszczenia przedziału czekała niecierpliwie na zatrzymanie się pociągu.

Podeszła do śpiącego i przypatrywała mu się długo, długo, ze świadomością człowieka, który wie, że nigdy już więcej nie ujrzy drogiej sobie istoty.

Ekspres wtoczył się ciężko na stację w Częstochowie.

Kobieta pochyliła się nad śpiącym oficerem, którego ujarzmiła pożarem swej krwi, urodą swego ciała, szaleństwem pocałunków, a którego karierę niweczyła w tej chwili raz na zawsze.

Wargi jej drgnęły nagle, jakby się załamała, jakby w ostatniej chwili brakło jej odwagi.

Zebrała jednak siły. Przyklękła i nie zważając na przykry zapach chloroformu, ucałowała dwa razy śpiącego.

- Częstochowa! - brzmiało już za oknami wołanie konduktorów.

Otworzyła drzwi przedziału. Korytarz był pusty.

Przemknęła się szybko i wysiadła z pociągu, nie od strony stacji, lecz od strony torów.

W walizce, którą trzymała w ręku, unosiła dokumenty, wykradzione porucznikowi Jerzemu Chemnickiemu.

* * *

W pół godziny po opuszczeniu Częstochowy, porucznik Chemnicki przebudził się nagle, z głową dziwnie ciężką, z ohydny smakiem w ustach.

Minęła długa chwila, zanim oficer odzyskał na tyle świadomość, by zorientować się, gdzie się znajduje.

Podniósł się całym wysiłkiem woli i rozejrzał po przedziale, który był pusty.

Równocześnie poznał, że dławiący zapach, unoszący się w przedziale był zapachem chloroformu.

Poszukał raz jeszcze wzrokiem kobiety, z którą spędził w przedziale chwile rozkoszy, kobiety, w której ramionach usnął.

Nie było jej; nie było jej płaszcza, ani kapelusza, ani walizki.

Wzrok jego padł na czarną tekę, przeciętą ostrą żyłką, tekę porzuconą w pośpiechu, zionącą raną pustego wnętrza.

Głuchy jęk wyrwał się z piersi oficera. Teraz zrozumiał wszystko...

Zatoczył się i przewyciężając straszliwy ból w skroniach, dowlókł się do drzwi przedziału.

Wyszedł na korytarz, odszukał konduktora, który przeraził się jego wyglądem.

- Panie poruczniku? Co panu?...

- Gdzie...gdzie jest ta pani, co jechała ze mną?

- Wysiadła w Częstochowie...

- Miała przecież jechać do Krakowa. Do Krakowa miała bilet.

- Nic podobnego. Ta pani miała bilet wykupiony tylko do Częstochowy, dlatego fakt, że wysiadła, nie zdziwił mnie wcale.

- Ach, tak! Miała bilet do Częstochowy...

- Co się stało, panie poruczniku?

- Ta kobieta mnie okradła - rzucił nagle twardo Chemnicki. - Przecięła tekę, w której wiozłem tajne akta do Krakowa i akta te zabrała ze sobą. W chwili, gdy usnąłem, zmęczony, znarkotyzowała mnie chloroformem.

Konduktor zbladł.

- Gdybym wiedział! Gdybym mógł podejrzewać. Myślałem, że to dobra znajoma pana porucznika.

- Owszem! - odparł oficer gorzko. - Widziałem ją drugi raz w życiu.

Wiedział, że w tej chwili oskarżał sam siebie.

Porucznik Chemnicki wrócił do przedziału.

Był już zupełnie spokojny i pogrążony w głębokim odrętwieniu. Wszystko, to, co się stało, było tak dalekie, tak bardzo mu obojętne.

- Teka z aktami? Pal ją ichto! Niespełniony obowiązek? Głupstwo! Haniebna kompromitacja munduru; o którego honor tak dbał do niedawna? Drobiazg, którym się zajmować nie warto. Złamana świetnie się zapowiadająca kariera? Ot, nie ma o czym mówić.

Była tylko jedna rzecz, była tylko jedna myśl, która jeszcze bolała, ale która bolała piekielnie.

Więc to wszystko było kłamstwo! Podłe ohydne kłamstwo, kłamstwo posunięte tak daleko, jak daleko je można w ogóle posunąć.

Kłamstwem, wstrętnym kłamstwem, w wyrachowaniu poczętym były jej pocałunki, kłamstwem były słowa miłości szeptane przez jej wargi, kłamstwem były oploty jej ramion, kłamstwem uściski, w których omdlewała, kłamstwem rozkosz, którą mu dała... Wszystko to było kłamstwem, oszustwem, podstępem.

W chwili gdy on od zmysłów odchodził w miłosnym uniesieniu, oszalałymi pocałunkami okrywając jej cudne ciało, w chwili gdy przeżyła się i gięła w uściskach jego silnych ramion - myślała tylko o jednym, myślała o czarnej tece.

Szeptała mu, twarz przy twarzy, serce przy sercu, o swej tęsknocie za nim, o swej radości, że są znów razem i zarazem obmyślała plany, jak zdobyć dokumenty ukryte w czarnej tece.

Upoiła go darem swego ciała, uśpiła wyczerpaniem miłosnym po to, by łatwiej wykraść wiezione przez niego akta, po to, by łatwiej zbiec ze zdobyczą.

Wszystko było kłamstwem. Kłamstwem jej złote, puszyste, cudne włosy, kłamstwem jej urocze, przepastne oczy, kłamała czerwien warg, kłamał każdy powab jej ciała.

Porucznik Chemnicki ścisnął rękoma głowę i starał się myśli od siebie odsunąć. Były one jednak silniejsze od niego. Odpędzane wracały i opętywały znowu jego słaby mózg.

Na najbliższej stacji porucznik wysiadł i powiadomił o kradzieży dokumentów policję, po czym wysłał depeszę do Sztabu Głównego. Na końcu tej depeszy zaznaczył, że wraca do Warszawy, by stawić się do dyspozycji władz.

W dwie godziny potem, postarzały, o twarzy szarej jak popiół, porucznik Chemnicki wracał pociągiem pośpiesznym do Warszawy.

Siedział wraz z nim w przedziale jakiś młodzieniec, który raczył Chemnickiego swymi wspomnieniami ze służby wojskowej. Porucznik milczał uporczywie, aż zwróciło to uwagę gadatliwego młodzieńca.

- Ja panu, zdaje się, przeszkadzam - rzekł nie tracąc tupetu.

Porucznik machnął ręką.

- Proszę. Niech pan mówi dalej... To jest bardzo zajmujące.

Spodziewał się, że na dworcu w Warszawie zostanie aresztowany przez żandarmerię. Jego szef jednak, jak się okazało, znał go dobrze. Nie czekała go żadna niespodzianka.

Wsiadł do taksówki i pojechał do sztabu.

Zameldował się szefowi. Natychmiast został przyjęty.

Patrzyli sobie długo w oczy. Rzadko padały słowa, słowa rozstrzygające, ciężkie, mające wagę ołowiu.

Chemnicki nie ukrył niczego. Oskarżył się z całą otwartością.

Odpiął szablę i złożył ją na biurku szefa.

Usłyszał jak przez mgłę wydane mu polecenie, by przeszedł do drugiego pokoju i tam oczekiwał dalszej decyzji co do swego losu.

Usłuchał, poruszając się jak automat...

W kilka minut potem, strzał rewolwerowy zaalarmował oficerów Sztabu Głównego.

To porucznik Jerzy Chemnicki wyrównał swe rachunki życiowe.

Rozdział XX

POCIĄG NR 341

Ina Ordeyg nie komunikowała się już z wysokim barczystym mężczyzną w ciemnych okularach.

Z woli Znak Zapytania straciła z nim wszelki kontakt. Ta sama nieubłagana wola pchnęła ją do nowej pracy, równie jak poprzednia niebezpiecznej.

Od chwili, gdy szef policji państwowej, Adam Gorzycki, zdemaskował ją, swoją kochankę, jako agentkę tajemniczej organizacji wywrotowej i złodziejkę tajnych dokumentów, rola jej zmieniła się najzupełniej.

Przestała być mało znaczącym pionkiem, służą sług Znak Zapytania.

Wszystkowiedzące oczy zwróciły się na nią łaskawie. Oceniły jej energię, odwagę i spryt.

Przeznaczano ją do coraz to trudniejszych spraw, do coraz odpowiedniejszych funkcji.

Nie mogła wymówić się od nich. Nie miała wyboru. Zresztą nie było sposobu wycofania się z tej pochyłej ścieżki najeżonej niebezpieczeństwami, po której popychały ją w nieznaną przyszłość ręce wszechmocnego Znak Zapytania.

Adam Gorzycki odciął jej drogę powrotu owego fatalnego dnia, gdy zastał ją przy otwartej szufladzie swego biurka robiącą odpis tajnego dokumentu policji politycznej.

Wszelkie mosty za nią były spalone. Nie mogła się już opierać zimnym, despotycznym wyrokom, jakie kierowały nią z ogniska tajemniczego sprzysiężenia.

Znak Zapytania oceniał dobrze Inę Ordeyg. On wiedział, że ta kobieta jest już stracona dla wszelkich zajęć i spraw, które nie były jego sprawami.

Oceniał ją odpowiednio i... wynagradzał odpowiednio.

Obsypywał ją pieniędzmi. Złotymi kajdanami skuwał jej wolę, choć wiedział, że wola ta nie może się wyłamać spod przemożnych nakazów jego woli.

Ina Ordeyg poddała się temu złotemu, a straszemu losowi.

Ina Ordeyg wiedziała przy tym, że życie jej brata, uwięzionego na wyspach Sołowieckich, zależy tylko jedynie od Znak Zapytania, od jednego jego skinienia.

Była ta świadomość jeszcze jednym ogniwem łańcucha, który skuwał jej los.

A zresztą... Zresztą było jej z tym dobrze.

Nigdy jeszcze w swym życiu nie była tak bogata. Nigdy jeszcze tyle nowych wrażeń nie oszałamiało jej, tak żadnej coraz to nowych emocji. Nigdy jeszcze z taką rozkoszą nie

poddawała się cudzej mocy, mocy potężnej, dającej w jej drobne białe dłonie los setek i tysięcy ludzi, pozwalającej jej przenosić się z miasta do miasta, z kraju do kraju, z państwa do państwa, beztrąsko, choć zawsze oko w oko z niebezpieczeństwem.

Inę Ordeyg porywały te szalone igraszki z widmem ciągłego niebezpieczeństwa, ten obłąkany taniec na krawędzi życia i śmierci.

Nie bała się ani przez chwilę. Nauczyła się myśleć, że potężne ręce Znak Zapytania osłonią ją zawsze, ochronią w momentach grożących katastrofą.

Wiedziała, że jeśli zginie w tej walce, którą z całym światem prowadziła, to tylko za zgodą Znak Zapytania.

A chciała żyć. Kochała życie. Wielbiła życie, cudne, upajające życie młodej, zdrowej, silnej dziewczyny poruszającej się wśród niebezpieczeństw, ocierającej się o śmierć, zawsze jednak bezpiecznej i - jak dotąd - zawsze zwycięskiej.

I dlatego duszą i ciałem zaprzedała się służbie tej potwornej mocy, która ją do siebie przykuła i rozporządzała nią jak rzeczą własną, mocy Znak Zapytania.

Znak Zapytania wiedział o tym, jak wiedział o wszystkim.

Miał ją w swoim ręku bez zastrzeżeń i czynił z nią, co chciał.

Wydźwignął ją na wysoki szczebel kariery szpiegowskiej, na szczebel dostępny tylko najzdolniejszym, najdzielniejszym, najbardziej godnym zaufania.

Ina Ordeyg została jednym z agentów kolejowego wywiadu Znak Zapytania.

Przestała być już dawno tancerką, w Casino de Varsovie.

Poznała inne nieznanne jej dotąd życie, życie pełne swoistego uroku.

Poznała zaciszne przedziały sleepingów, poznała wytworne wagony restauracyjne międzynarodowych ekspresów, poznała luksus coraz to innych, a zawsze wspinających hoteli, poznała urok olbrzymich, luną bijących dworców kolejowych.

Ina Ordeyg była uchem i okiem Znak Zapytania, była mikrofonem szpiegowskoterrorystycznej organizacji.

Nie wiedziała nawet, ile razy informacje zebrane przez nią były wyrokiem śmierci dla wielu, wielu ludzi, ile razy wywiad przyczyniał się do tego, iż Znak Zapytania dawał Matuszce krótkie, a wymowne dyspozycje i wiadomości o jakiejś strasznej katastrofie kolejowej, które obiegały przez prasę światową.

Ina Ordeyg bardzo często wzywana była do owego domu na przedmieściu Warszawy, gdzie mieścił się tajny dom gry, tak bardzo dobrze znany majorowi Semkowskiemu. Tam wydawał jej cichym, spokojnym głosem dyspozycje i wysłuchiwał jej raportów człowiek już stary i siwy, człowiek o sparaliżowanych nogach, który przykuty był już do końca życia do

krzesła na kółkach.

Ina Ordeyg obawiała się tego człowieka. Jego spokój, jakiego mogliby mu pozazdrościć stoicy, jego równy monotony głos, jego oczy patrzące spod przymrużonych powiek dziwne wywierały na niej wrażenie...

Ina Ordeyg nie wiedziała, kim jest ten człowiek, który wywierał na nią taki wpływ magnetyczny. Chwilami przypuszczała i podejrzewała, że on - być może! - jest właśnie Znakiem Zapytania, ale nie była tego pewna.

Wiedziała tylko jedno, że ten człowiek musiał być nieubłagany i groźny dla tych, którzy by mu się sprzeciwili. To był człowiek o żelaznych nerwach i o żelaznej woli.

Pewnego razu - było to rano - Ina Ordeyg wróciła do Warszawy z Gdańska, gdzie wysłał ją rozkaz Znaku Zapytania.

Wychodząc z dworca, spotkała się oko w oko z Adamem Gorzyckim, który z małą walizką przeciskał się szybko przez tłum falujący w hali dworca głównego.

Spotkanie to nastąpiło w ten sposób, że zobaczyli i zauważyli się wzajemnie dopiero w momencie, kiedy zderzyli się z sobą.

Zmęczone, niebieskie oczy Gorzyckiego objęły szybkim spojrzeniem sylwetkę swej dawnej kochanki.

Uderzyła go zmiana w ubiorze dziewczyny. Zawsze ubierała się dobrze, teraz jednak była to elegancka, wytworna dama. Luksusowy strój podnosił jeszcze jej czarującą urodę. Po twarzy Gorzyckiego przebiegł jakiś skurcz. Zrozumiał w tej chwili, że jest mu bardzo droga, że jest mu tak droga, jak była dawniej... zanim...

Nie widział jej od tej chwili, kiedy przyłapał ją na rewidowaniu szuflad biurka. Nie starał się nawet dowiedzieć, co się z nią stało. Chciał zapomnieć o niej, nie chciał badać co robiła, dla kogo pracowała, z czyjego polecenia, będąc jego kochanką, śledziła go równocześnie.

Domyślał się, że była ona jednym z pionków Znaku Zapytania, nie miał jednak siły, by podjąć próbę przekonania się o tym. Człowiek zwyciężył tym razem służbistego szefa policji. Starał się tylko zapomnieć.

Ina Ordeyg zderzywszy się z Gorzyckim, zmieszana się również i chciała go szybko wyminąć, gdy zupełnie niespodziewanie odezwał się do niej.

- Dzień dobry, Ino!

- Dzień dobry!...

Po chwili wahania podała mu rękę, opiętą w wytworną rękawiczkę. Pochylił głowę i ucałował wyciągniętą do niego rękę.

To było jak gdyby zawieszenie broni.

Tragarz, niosący walizki Iny, zatrzymał się i czekał niecierpliwie, oni zaś mówili szybko i bez ładu, jak rozmawia dwoje ludzi, którzy nie widzieli się dawno. Mówili jednak nic nie znaczącymi ogólnikami, jakby obawiali się wzajemnie siebie, jak gdyby starali się o to, by nie powiedzieć niczego poza zdawkowymi słowami, które są puste i bez treści.

- Co się z tobą dzieje?...

- Nic! żyje się jakoś, z dnia na dzień...

- Czy wracasz z tournée artystycznego?

- Nie! Podróżowałam dla przyjemności.

- Dobrze ci się powodzi, Ino?

- Jak widzisz! A tobie?

- Tak, jak tobie, Ino. Służba. Chwili wytchnienia nie mam.

- Daleko jedziesz?

- Do Wiednia...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz powstrzymał się nagle. Powiedział zbyt dużo. Nie powinien był tego mówić.

Ina spostrzegła to natychmiast.

Rozmowa ich urwała się. Pożegnali się szybko i nerwowo.

Ina Ordeyg, z sercem ściśniętym, z uczuciem tej przykrości, jaką odczuwamy, skoro po dłuższym niewidzeniu stykamy się z człowiekiem, który dawniej był czymś dla nas, a z którym nas życie rozdzieliło, wsiadła do taksówki i udała się do swego mieszkania.

Nie był to już, jak dawniej, pokoik na mansardzie, lecz piękne trzypokojowe mieszkanie o luksusowym urządzeniu.

Zaledwie Ina miała czas umyć się i przebrać po podróży, gdy zadzwonił telefon i jakiś męski głos umówił się z nią „na śniadanie”.

Ina Ordeyg wiedziała, co to znaczy i co kryje się pod takim „śniadaniem”. To po prostu organizacja Znak Zapytania wzywała ją do złożenia raportu z podróży.

Ina Ordeyg, nie zwlekając, udała się do wielkiego domu na przedmieściu, gdzie w jednym z mieszkań mieściło się tajne kasyno gry.

Jak zawsze, tak i tym razem, przyjął ją emeryt kolejowy, od lat szeregu przykuty do fotela z powodu paraliżu nóg.

Ina Ordeyg usiadła przy nim i poczęła mu zdawać sprawozdanie ze swej podróży i jej wyników. Nauczyła się mówić krótko i dobitnie.

W organizacji Znak Zapytania niepotrzebne były żadne krasomówcze tony.

W czasie rozmowy ze sparaliżowanym emerytem kolejowym, Ina Ordeyg kilkakrotnie spojrziała zupełnie przypadkowo na leżącą na stole kartkę.

Na kartce, zanotowany był czerwonym ołówkiem jakiś trzycyfrowy numer.

Nie wiadomo dlaczego, Inę Ordeyg kartka ta zainteresowała.

Rozmawiając z właścicielem tajnego domu gry, Ina Ordeyg poczęła czynić wysiłki, by ów numer odczytać. Wreszcie udało jej się.

Numer, który odczytała brzmiał 341.

Ina Ordeyg nie wiedziała, co ów numer oznacza, zdawała sobie tylko sprawę z faktu, iż owa kartka papieru, nosząca na sobie trzycyfrowy numer, ogromnie ją interesuje.

Przez cały czas rozmowy nurtowała Inę myśl o tym, jakby to było dobrze, gdyby można było dziwny szyfr ów odczytać i dowiedzieć się, co oznaczał numer 341.

Jak na złość konferencja z emerytem kolejowym dotkniętym paraliżem trwała dnia tego nadzwyczaj długo.

Przez cały ten czas Ina myślała tylko o jednym, o tym, co może oznaczać i do czego może się odnosić liczba 341.

Wreszcie posłuchanie zostało skończone. Ina Ordeyg była wolna. Przed pożegnaniem się z właścicielem tajnego kasyna gry Ina odważyła się zapytać, co oznaczać może liczba wypisana na owej, leżącej na stole, kartce.

Paralitik nie odpowiedział od razu, lecz przez długą chwilę patrzył na Inę Ordeyg.

Wreszcie ruszył ramionami i zaczął mówić o czym innym.

Ją zaś ta cyfra zaczęła prześladować. Nie wiadomo dlaczego, po co i na co, numer 341 nieustannie przychodził jej na myśl.

Widziała go wszędzie, zdawało się jej, że woła z murów kamienic, że wyrasta na kostce bruków i na oślizgłej asfaltowej jezdni.

W tych trzech cyfrach tworzących numer 341 musiała być i była jakaś tajemnica i to wielka tajemnica, bowiem inaczej nie zobaczyłaby Ina kartki z owym numerem na stole sparaliżowanego emeryta.

Ina Ordeyg daremnie próbowała zapomnieć o liczbie, która ją tak zainteresowała. Liczba ta z jakimś dziwnym chorobliwym uporem ciągle tłukła się w jej mózgu.

Ina Ordeyg nie lubiła siedzieć bezczynnie, toteż, korzystając z kilkunastu wolnych godzin, które mogła dla siebie poświęcić, poczęła gorączkowo pracować nad rozwiązaniem zagadki numeru 341.

Na rzeczy najprostsze wpadamy zwykle na ostatku, kiedyśmy już zapłacili frycowe. Tak było i tym razem. Ina Ordeyg przebiegła najpierw w myśli wszelki inne, mniej lub

bardziej udatne możliwości, zanim zorientowała się w rzeczy najprostszej. 341 oznaczało numer pociągu.

Ina Ordeyg w rozkładzie kolejowym odszukała pociąg noszący ten numer i wydała okrzyk przerażenia.

W rozkładzie kolejowym numerem 341 oznaczony był pociąg pośpieszny kursujący bezpośrednio na linii WarszawaKrakówWiedeńTriest.

Rozkład jazdy wypadł z ręki Iny Ordeyg. Twarz jej pokryła się śmiertelną bledością.

Teraz już wiedziała wszystko. Teraz już cała prawda była jej wiadoma. Teraz wiedziała dlaczego kartka z numerem 341 leżała na biurku paralytyka wśród innych notatek.

Pociąg numer 341 był pociągiem skazanym na zagładę. Pociąg numer 341, który przed kilkoma godzinami opuścił dworzec warszawski, miał już nie wrócić nigdy na dworzec główny stolicy Polski. Pociąg numer 341 miał się stać przedmiotem nowego zamachu, nowego aktu terroru...

Pociąg pośpieszny numer 341 pożera kilometr po kilometrze, wije się wśród wiraży, pozostawia za sobą stacje i stacyjki. Spokojni i beztroscy jadą pasażerowie. A tam gdzieś, na jakimś kilometrze, tam gdzieś, na jakimś wirażu, tam gdzieś, koło jakiegoś mostu czy wiaduktu czeka, czai się, wypatruje białej smugi dymu i szuka uchem podźwięku szyn Herostrates1 XX wieku - obłąkany, szalony Matuszka, człowiek o chorym mózgu, człowiek, którego upaja widok krwi, którego raduje obraz zniszczenia...

Tam gdzieś, daleko, na jakimś kilometrze, zbrodnicze ręce fanatyka lubują się paczkami wybuchowych materiałów, zakładają minę na torze, gotują śmierć i zagładę.

Pociąg numer 341 zdąża do swego przeznaczenia. Jest zgubiony, spoczęło bowiem na nim oko Znaku Zapytania i zajęły się nim ręce Matuszki.

W pociągu numer 341 jodzie do Wiednia szef policji politycznej Adam Gorzycki. Jej dawny kochanek. Człowiek, wobec którego dopuściła się ohydny czynu rewidowania jego biurka...

Adam Gorzycki zdąża w objęcia śmierci.

Przez ciało Iny Ordeyg przebiega dreszcz. Piękna dziewczyna nie rozumuje, nie bawi się w analizę odruchu, który nią kieruje. Nie ma na to czasu. Trzeba ratować Gorzyckiego, a wraz z nim cały pociąg.

Ina Ordeyg ścisła rękami skronie. Jakże trudno jest obmyślić środki ratunku, gdy się jest młodą i słabą dziewczyną i gdy się chce wyrwać kogoś śmierci wbrew woli potężnej, silnej organizacji.

Ina Ordeyg nie myśli o niczym więcej, tylko o tym, jak uratować Gorzyckiego. Nie

pomna jest tego, że czyniąc to, naraża się Znakowi Zapytania, że sama swoje życie stawia na szale.

- Co robić? Co robić? Co robić?

Zaczyna wertować rozkład jazdy i przekonuje się, że ekspres zmierzający do Wiednia, za niecałe dwie godziny będzie w Krakowie.

Gdyby o tej godzinie odchodził do Krakowa samolot, mogłaby jeszcze zdążyć i dołapać Gorzyckiego w Krakowie. Aby on ocalał; palicho pociąg i innych pasażerów.

Ina biegnie do telefonu. Dzwoni do dyrekcji linii lotniczych. Odpowiadają bardzo grzecznie. Samolot do Krakowa? Wystartował dziesięć minut temu.

Przekleństwo!

Ina Ordeyg jest spokojna, że do Krakowa nie zdarzy się żadna katastrofa. To będzie w pasie nadgranicznym lub koło Wiednia. Wiedeń jest bramą wypadową Matuszki.

Dziewczyna ubiera się szybko. Zbiega ze schodów i wybiega na ulicę. Mija kilka taksówek. Wszystkie zajęte. Jest jedna wolna.

Ina siada do taksówki i rzuca adres urzędu telegraficznego. Rzuca na blankiet słowa ostrzeżenia:

Zostać w Krakowie. Nie jechać dalej.

Co napisać więcej? Jak napisać, by depesza nie obudziła podejrzeń?

Ina namyśla się przez chwilę, po czym pisze szybko sygnał, jakim przyzywają pomocy tonące okręty:

SOS

Tak! Teraz jest dobrze. Ina jest pewna, że Gorzycki zrozumie treść telegramu. Zrobi wtedy to, co będzie uważać za stosowne i możliwe. W każdym razie jest ostrzeżony.

Ina płaci depeszę terminową. Gorzycki zostanie ją na dworcu w Krakowie...

Uspokojona dziewczyna wraca, do domu. Dopiero teraz czuje śmiertelne znużenie po podróży, po spotkaniu z Gorzyckim, po rozmowie ze sparaliżowanym emerytem kolejowym, po odkryciu tajemnicy numeru 341.

Po drucie biegnie do Krakowa alarmująca depesza. Gorzycki jest zbyt doświadczonym człowiekiem, by w takich czasach zlekceważyć takie ostrzeżenie.

Ina Ordeyg uspokojona, że zrobiła wszystko, co do niej należało, zasypia snem głębokim i spokojnym.

W dyrekcji poczt i telegrafów poruszenie. Nadchodzi meldunek. Koło Włoch jakaś zbrodnicza ręka przecięła druty telegraficzne, zerwała telegraficzne połączenia. Kraków i Katowice są odcięte. Nie sposób nadać depeszy, nie sposób porozumieć się telefonicznie,

dopóki uszkodzenia nie zostaną naprawione.

Zarządzają, by depesze terminowe do Krakowa przekazać przez Lwów. Zarządzenie to zostaje wykonane, lecz wytwarza się przez to opóźnienie.

Depesza do Gorzyckiego, wołająca SOS, depesza, którą Ina Ordeyg chce zmazać swą winę wobec dawnego kochanka przychodzi do urzędu ruchu w Krakowie w kwadrans po odejściu ekspresu numer 341 w kierunku Wiednia.

Ekspres numer 341 jest już w drodze ku swemu przeznaczeniu. Ina Ordeyg nie myli się. Ina Ordeyg dobrze przewidywała. Na terytorium Austrii, niedaleko od czechosłowackiej granicy, czuwa Matuszka, demon zniszczenia i zagłady...

Gorzycki nie wie o niczym, nie przeczuwa, nie domyśla się niczego. Nie domyślają się niczego pasażerowie pociągu. Od kilku tygodni, nic już nie było słyhać o katastrofach kolejowych, o podkładaniu bomb na tory. Panika, poczęła się powoli uspakajać. Pasażerowie pociągu numer 341 jadą spokojnie.

Każdy ruch tłoków maszyny, każdy obrót kół, każdy przebyty kilometr zbliża pociąg nieuchronnie do straszliwej katastrofy. Jest to bieg w objęcia śmierci.

Ina Ordeyg śpi jeszcze, gdy dwu panów zatrzymuje się przed drzwiami jej mieszkania. Nie dzwonią jednak, lecz koło drzwi zaczynają manipulować i po krótkim czasie tych prób drzwi zostają otwarte. Jest jeszcze wczesny wieczór. Dwaj panowie wchodzą do mieszkania, jeden z nich włącza telefon, po czym odbywają krótką naradę.

Następnie przechodzą do sypialni Iny i budzą ją delikatnie.

Zaspana siada na tapczanie i patrzy na dwu intruzów przerażonymi oczyma.

- Co to znaczy? - pyta drżącymi wargami.

Obaj milczą przez chwilę, wreszcie jeden z nich mówi:

- Przysłała nas Znak Zapytania. Ma pani się zgłosić natychmiast do sparaliżowanego starego pana. Mamy tam panią odstawić.

Ina Ordeyg rozumie już wszystko. Znak Zapytania wie, iż wysłała depeszę ostrzegającą Gorzyckiego, jakże mogła nawet przypuszczać, że Znak Zapytania nie dowie się o tym?

Ina Ordeyg rozumie, że śmierć jest blisko, bardzo bliźiutko niej, że ociera się ona o jej młode, piękne ciało.

- Pójdę z wami dobrowolnie - mówi. - Proszę mi pozwolić się ubrać. Proszę wyjść do drugiego pokoju.

Tamci patrzą po sobie. Są nieco zmieszani.

- Proszę ubrać się przy nas. Mamy ścisłą instrukcję niespuszczania oka z pani.

- O!...

Ina Ordeyg zaczyna z nimi rokowania, lecz są nieubłagani. Musi przełamać swój wstyd kobiecy i ubrać się przy nich, czując, jak każdy jej ruch i jej gest ścigają dwie pary pożądlivych oczu.

- Jestem gotowa! - oznajmiła wreszcie.

Jeden z nich pokazuje Inie browning.

- Proszę nie stawiać oporu, nie krzyczeć na ulicy ani w taksówce. Jesteśmy zdecydowani skończyć z panią w razie najmniejszego podejrzanego ruchu.

Schodzą na ulicę, gdzie oczekuje ich taksówka.

Zajmują w niej miejsce i wóz rusza natychmiast.

Na ulicach miasta gazeciarze wykrzykują coś, ile sił w młodych gardłach. W uszy Iny wpadają słowa nadzwyczajny dodatek.

Szarpie za rękaw jednego ze swych opiekunów.

- Chciałabym kupić dodatek nadzwyczajny. Zatrzymajcie wóz na chwilę.

Porozumiewają się wzrokiem. Naturalnie, nie ma w tym nic złego.

Taksówka staje. Jeden z eskorty Iny Ordeyg wysiada i po chwili wraca z wilgotną jeszcze płachtą dodatku nadzwyczajnego.

Ina porywa go w drżące ręce.

Z ust jej wydobywa się okrzyk rozpacz. Dodatek nadzwyczajny głosi katastrofę pociągu numer 341...

Ilość zabitych i rannych nieustalona - brzmi ogólnikowa wiadomość.

Ina Ordeyg drży na całym ciele. W głowie mąci się od szybkich, poszarpanych myśli.

- Czy Gorzycki był w pociągu, czy ocalał? Czy okrași on swą osobą i swym nazwiskiem listę zabitych i rannych, o których donosi nadzwyczajny dodatek, że liczba ich jest nieustalona?

Inę dręczą jak najgorsze przeczucia. Zapomina nawet o swym położeniu, o tym, że jest aresztowana przez zbirów Znak Zapytania, że stanie przed sądem tajnej organizacji. Dręczy ją jedna myśl: Co stało się z Gorzyckim? Czy żyje? Czy może ranny?

Ina jest już pewna, że Gorzycki nie odebrał depeszy i że nie opuścił pociągu przed katastrofą.

Gdyby otrzymał był depeszę, poczyniłby natychmiast odpowiednie zarządzenia i spowodowałby zatrzymanie pociągu, oraz dokładne badanie torów aż do Wiednia.

Gdyby otrzymał depeszę, Matuszka nie dodałby nowego listka do wieńca swej potwornej chwały...

A więc, Gorzycki był w katastrofie i kto wie, może zginął? Na nic jej trud i narażenie się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Taksówka tymczasem zatrzymała się przed wielkim domem na przedmieściu.

Ina bez żadnego oporu daje się prowadzić po schodach, do lokalu, gdzie była rano. Wprowadzają ją do pokoju, gdzie w fotelu na kółkach siedzi sparaliżowany starszy pan.

Patrzy on na Inę długo swymi pozbawionymi blasku oczyma, aż rzuci wreszcie polecenie.

- Proszę nas zostawić samych.

Starszy pan zaczyna mówić bardzo spokojnym głosem, jak to jest jego zwyczajem.

- Pani Ino! Co pani zrobiła?

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Ach! Nie rozumie pani. To bardzo źle! Zresztą zachowanie pani, gdy przyszli po nią nasi ludzie, było tego rodzaju, że byłem przekonany, iż orientuje się pani lepiej niż dobrze czym obraziła pani Znak Zapytania.

Ina Ordeyg potrząsnęła głową.

- Ja wiem, o czym pan mówi, ale nie widzę w tym mojej winy.

Sparaliżowany emeryt kolejowy począł na blacie od stołu wybijać palcami jakiegoś marsza.

- Proszę pani - rzekł wreszcie wolno i z namysłem, jakby na wadze rozsądku ważył każde wypowiedziane słowo - my naszych pracowników, a ja też tylko jestem z nich jednym, dzielimy na dwie kategorie. Na takich, którzy pracują ideowo i takich, których opłacamy. Jeżeli jeden z ludzi należących do tej pierwszej grupy zawiedzie nas, usprawiedliwiamy go w znacznie większej mierze, niż tych, którzy są płatnymi narzędziami. Proszę zrozumieć: my płacimy, a więc wymagamy, by za pieniądze robiono to, czego żądamy... Rozumie pani?

- Rozumiem.

- To dobrze. Niech pani posłucha mnie cierpliwie. Pani należy do kategorii tych płatnych. Ja nie przeczę, pani uroda, pani spryt, pani inteligencja i rzadka, jak u kobiety, zimna krew - to są atuty, które uczyniły z pani bardzo dla nas cenną siłę. Zresztą niech to pani zmierzy miarą pieniędzy, którymi opłacamy pani usługi. I właśnie pani zrobiła nam to, o czym mówimy. Za to Znak Zapytania karze.

Starszy pan zmęczył się mówieniem i przerwał na chwilę. Ton jego wobec Iny był prawie ojcowski.

- Pani Ino. Może źle zrobiłem, że nie ostrzegłem pani wcześniej. Każdy z członków organizacji Znaku Zapytania jest śledzony przez innego. Nawet sam wielki tajemniczy Znak

Zapytania jest inwigilowany i wie o tym. Pani też była śledzona i to śledzona stale. W pół godziny po nadaniu przez panią depeszy, zanim zdołano ją przekazać, ręce Znak Zapytania zerwały wszelkie połączenia z Krakowem i Katowicami. Pociąg numer 341 stał się, podobnie jak i poprzednie ekspresy międzynarodowe, ofiarą naszej terrorystycznej akcji. Nie uniknął swego losu.

- Czy dużo ofiar?

- Nie mogę być w tej sprawie pani informatorem. Pani Ino, za zdradę Znak Zapytania grozi kara śmierci. Ja mam w tej chwili w ręku prawo decyzji o pani życiu i śmierci. Jedno moje słowo i Iny Ordeyg nikt nigdy nie zobaczy, a co więcej, nawet jasnowidz nie odnajdzie pani ciała.

Paralityk znów przerwał. Ina Ordeyg siedziała odrętwiała. Zdawała sobie sprawę, że życie jej wisi na włosku, ale nie mogła znaleźć w sobie siły, by ukorzyć się, by błagać o darowanie tego życia. Być może nie zrobiła tego, ponieważ nie wierzyła, by kamiennym sercom ludzi Znak Zapytania znane było uczucie litości.

- Pani Ino! W moim ręku jest pani życie i śmierć. Zdecydowałem już, zanim pani tu przyszła. Pani będzie żyła. Przebaczenie błędu w naszej organizacji to rzadkość - dlatego podam pani motywy tego wyroku. Będzie pani żyła, ponieważ jest nam pani potrzebna, ponieważ służba pani dla nas była bez zarzutu, ponieważ nie popełniła pani zdrady, jaką byłaby denuncjacja nas do policji lub władz wojskowych, ponieważ tę nieszczęsną depeszę wysłała pani, by ratować człowieka, który był pani bliski. Wreszcie ratuje panią fakt, że w rubryce nadawca telegramu wpisała pani fałszywe nazwisko i adres. Policja ma już w rękach blankiet depeszy, ale, żeby na głowie stawała, nie znajdzie pani. Dałaby dużo, by odnaleźć nadawczynię depeszy. Oj, dużo! Darujemy pani życie również dlatego, że została już pani ukarana. Adam Gorzycki...

-...nie żyje! - dokończyła Ina, złamanym głosem, kryjąc twarz w dłoniach.

- Nie żyje! - potwierdził paralityk. - A mógłby żyć, gdyby pani inaczej zabrała się do sprawy. Każdy członek organizacji ma prawo wymienić jedną bliską osobę, którą chce, by oszczędzono. Gdyby pani zamiast nadawać depeszę, przyszła do mnie i poprosiła o życie Gorzyckiego, wywabilibyśmy go z pociągu pod lada pretekstem i byłby żył...

Głuchy szloch dziewczyny skłonił starszego pana do uczynienia przerwy w rozmowie.

- Ino Ordeyg! - rzekł. - Proszę, niech pani zachowa spokój. Daruję pani inne życie. Po tym, co pani zrobiła, brat pani, uwięziony na Sołówkach, zakładnik pani posłuszeństwa, winien zostać rozstrzelany. Daruję mu życie. Będzie nadal zakładnikiem. Jeżeli jednak dostrzegę w pani cień wahania, cień zdrady, nic go nie uratuje.

Ina Ordeyg patrzyła przymrużonymi oczyma gdzieś, w kąt pokoju, ponad głową mówiącego.

Wielkie, ciężkie łzy spływały po jej policzkach, złościąc jasne bruzdy w warstwie makijażu.

Stary sparaliżowany pan przez długą chwilę przypatrywał się jej, bębnił ustawicznie palcami po drewnianym blacie stołu, wreszcie zaczął znowu mówić:

- Doskonale rozumiem pani łzy i zdaję sobie sprawę dlaczego pani płacze... Mam jednak wrażenie, że pani sama nie zna przyczyny swoich łez... Pani się zdaje, że pani płacze z rozpaczy po śmierci Gorzyckiego. Pani się zdaje, że pani go jeszcze kocha... Myli się pani!... Wysłanie depeszy w ślad za Gorzyckim było po prostu tylko jedynie odruchem, w który włożyła pani sporą dozę energii. Energia ta, wysiłek pani nerwów - zostały zmarnowane... Płacz pani jest płaczem dziecka, które nie postawiło na swoim... Proszę obetrzeć łzy, upudrować buzię i posłuchać, co pani powiem.

Ina Ordeyg machinalnie przesunęła ręką po twarzy, po czym otworzyła torebkę i wydobyla chusteczkę. Osuszyła powieki. Makijaż był istotnie zrujnowany.

Ina było stuprocentową kobietą i zapominając na razie o wszystkim innym, zajęła się „poprawianiem” twarzy.

- Wobec tej historii z ekspresem numer 341, nie chcę, by uprawiała pani dalej wywiad kolejowy. Byłoby to, być może, przykre dla pani. Dam pani inną robotę, która pozwoli pani odwdziżyć się Znakowi Zapytania za darowane winy... Sądzę, że uwodzenie mężczyzn byłoby najwłaściwszym dla pani zadaniem, pozwoliłoby pani zapomnieć o tym, co zrobiło pani dzisiaj przykrość... To przy tym wielka satysfakcja rzucić sobie do nóg opornego lub obojętnego mężczyznę... Zdaje się, lubi pani tego rodzaju zwycięstwa... Jest właśnie ktoś, kogo by trzeba w ten sposób ujarzmić. Ujarzmić po to, by stał się miękki jak wosk w naszych rękach. Musimy być go pewni na wszystkich frontach.

- Kto to jest? - zapytała Ina, dając równocześnie wyrazem twarzy do zrozumienia, iż głęboko przekonana jest o tym, iż nie oprze się jej żaden mężczyzna.

- Niewątpliwie chce pani też wiedzieć, czy jest młody i przystojny?... Człowieka tego mamy w rękach w siedemdziesięciu pięciu procentach. Chodzi o to, by pani zdobyła jeszcze te brakujące dwadzieścia pięć procent... To chytra sztuka i zręczna. Może się, mimo wszystko, wywinąć...

Stary pan stuknął palcem w kasę ogniotrwałą, w której poblizu siedział.

- Tu, w tej kasie, mam jego weksle na pokaźną sumę. Roczna pensja nie wystarczyłaby mu na wykupienie tych weksli... On zaczął grać z zapalem w ruletkę i przyjął

od nas pożyczkę. Reszty łatwo się domyślić.

- Kto to jest? - spytała ponownie Ina.

- Gruba ryba. Oficer Sztabu Generalnego. Drugi Oddział. Ten człowiek jest stracony. Jest dla mnie zagadką, jak on się dostał do polskiego Drugiego Oddziału, który obok angielskiej Intelligence Service jest najbardziej ostrożny w doborze ludzi. Czy rozumie pani, pani Ino, że chodzi mi o to, by zatrzymać w swej władzy tego człowieka. Wszelkimi siłami!... Weksle zrobią swoje, a usidlenie go w ponętny romans dokona reszty. Musi być pani, pani Ino, kosztowną przyjaciółką. Musi go pani rujnować. Trzeba go jeszcze bliżej zepchnąć ku krawędzi przepaści... No cóż? Zajmie się pani tą sprawą?...

Ina Ordeyg bez namysłu skinęła głową. Chciała raz wreszcie skończyć tę rozmowę, która ją strasznie męczyła.

- Nie mam nic przeciwko tej zabawie... Kiedy mam zacząć i zawrzeć znajomość z tym panem?

- Jutro przyślę pani fotografię majora Semkowskiego i dokładny opis trybu jego życia. Poznanie jakoś zaaranżujemy. Niech pani będzie jutro w tej małej kawiarence na Miodowej... Widzę, że jest pani zmęczona wrażeniami tego wieczoru. Niechże pani teraz pójdzie odpocząć trochę.

Paralityk skinął głową Inie na znak, że posłuchanie jest skończone.

Nacisnął guzik znajdujący się na metalowej płycie i drzwi usunęły się cicho, poruszane elektrycznym mechanizmem, po czym równie cicho zamknęły się za Iną Ordeyg.

-

1 Herostrates - szewc żyjący w IV wieku p.n.e. w Efezie owładnięty obsesją zyskania wiecznej sławy. Uznał, że miejsce w historii może mu zapewnić tylko wielka zbrodnia. Spalił w 356 r. p.n.e. efeski Artemizjon, jeden z siedmiu cudów świata.

Rozdział XXI

WYSPY GROZY

Na wieżyczce blokhauzu, który góruje nad poszarpanymi skałami wybrzeża, w nieprzeniknionych ciemnościach nocy łopocze w podmuchach lodowatego wichru czerwona flaga z rysunkiem sierpa i młota zamkniętym w pięcioramiennej gwiazdzie.

Stara, nadgryziona zębem morza i czasu latarnia morska wysyła naprzeciw nadbiegającym spienionym falom jasne ramię światła.

Daremnie się trzodzi. Nie wiadomo, po co i dla kogo?

Rzadko, bardzo rzadko błędzą po tych wodach okręty. Nie mają tu czego szukać i rybackie szkunery. Jeżeli któryś zapędzi się w te strony, błyski morskiej latarni nie przyzywają go do cichej przystani, lecz budzą lęk i grozę wśród stęsknionej za wypoczynkiem załogi.

Pieni się, gniewa i piętrzy nawała morskich wód, którymi Morze Białe bije jakby taranem w poszarpane, skaliste wybrzeża.

Kryją się w mrokach nocy, jakby wstydząc się swego istnienia, ponure i posępne, ociekające krwią ofiar, ozdobione grzywami lasów - Wyspy Sołowieckie, potworne wyspy kaźni, wyspy łez, których nikt nie liczy, wyspy udręki, o które nikt nie pyta, wyspy beznadziei i śmierci.

Na Wyspach Sołowieckich co dwie godziny zmieniają się sowieckie warty. Padają słowa komendy, słychać ciężkie, miarowe stąpania odzianych w grube szynele szyldwachów.

Czasem od zapalanej zapalki zaświeci na chwilę zimny błysk stali nadzianej na nabity karabin. Czasem, gdy rozchodzą się ołowiane chmury, smutne światło księżyca migoce w ostrzach bagnatów, dając świadectwo niezłomności sowieckiej władzy, która co najgroźniejszych rewolucjonistów zesłała na te wyspy dalekie, by dać im poznać mściwość i zaciętość nowego reżimu.

Lodowaty wicher, którego każdy podmuch ostrzami igieł siecze twarz wartowników, hula wśród zabudowań więziennych, bijąc o drewniane ściany baraków.

Pod osłoną pochmurnej nocy śpią Wyspy Sołowieckie, najstraszniejsza kaźń, jaką zna świat współczesny.

Kto raz postawił nogę na skalistym wybrzeżu tych wysp, ten mówił sobie, że wszelką z tą chwilą porzuca nadzieję. Przestawał być człowiekiem, a stawał się tylko zwierzęciem, zabawką w ręku doświadczonych oprawców, bydlęciem roboczym, któremu z wielkiej łaski

Czerezwyczajki1 dano prawo oddechu i życia gorszego od śmierci, wobec którego śmierć jest wypoczynkiem i szczęściem.

Zimą biorą wyspę w swe posiadanie stalowe okowy lodu, latem - zmarznięte tundry zmieniają się w potworne bagniska, nad którymi unoszą się roje roznoszących zarazę komarów.

Zimą dokucza mróz. Drży ciało w podartych łachmanach. Latem - pastwi się nad więziami niezdrowy wilgotny upał niosący z sobą zabójcze opary schnących błot.

Śmierć nie unika Sołówek. Śmierć nie omija tych wysp stworzonych jak gdyby na jej wieczysty benefis.

Wspólne są tortury baraków, gdzie tłoczą się za życia więźniowie, wspólne są doły, gdzie wtlacza się ich po śmierci.

Od czasu do czasu, gdy świt szarzeje, na wzgórku za linią palisad rozlega się huk strzałów rozdarty przez poświst wichury.

To od kul strażników nowego porządku ginie oporny, buntowniczy więzień.

Śpią, budzą się, żrą wstrętne cuchnące jadlo, pracują bez sensu i treści nieustannie skuci w kajdany. Brzęczą łańcuchy łączące z sobą ręce i nogi zesłańców.

Od stalowych obręczy zakutych na przegubach kończyn obciera i odparza się skóra.

Wielkie, jęczące się rany tworzą się na nogach i stopach. W zmierzwionych, nieczesanych włosach koczują falangi robactwa.

Z Wysp Sołowieckich nie ma ucieczki. Chyba do wspólnego dołu. Nikt nie wierzy w jej powodzenie. Rzadko kiedy, próbuje jej jaki śmiałek lub desperat.

Tutaj nikt w nic nie wierzy, tu nikt niczego nie oczekuje, tu nikt niczego się nie spodziewa.

Tak jak dzikie mewy unikają Sołowieckich Wysp, unika ich również i nadzieja.

Nikt nie zna nazwisk więźniów, nie wie, co ich czeka.

Podobne są sobie puste, a pełne udręki, dni podobne do ziarenek różańca przesuwanych kościstą ręką ascetycznego, opływającego krwią biczowań średniowiecznego mnicha.

Wśród tych żyjących potępieńców, za życia z listy żywych wykreślonych, nosi ciężar swych kajdan, żyje bez jutra i daremnie czeka śmierci więzień czerwonej racji stanu, inżynier Jerzy Iskrzyński.

Już od trzech lat przebywał w sołowieckiej katordze, jakiej nie były równe katorgi carskiej Rosji, uważane za piekło na ziemi.

Trzy lata... Trzy wieki...

Inżynier Jerzy OrdeyIskrzyński nie wiedział zresztą o tym, jak długo trwają jego

męczarnie. Stracił rachubę czasu.

Był maszyną, nie człowiekiem, a maszyną, która co wieczora, na komendę waliła się wraz z tłumem innych podobnych maszyn na rojące się od robactwa, lepiące od brudu, cuchnące, mokre prycze więzienne.

Był maszyną, która co noc na komendę przewracała się z boku na bok wmieszana w tłum innych, podobnych maszyn, tworzący żywy most ciał i śmierdzących ohydnie szmat, zbity tak, że żadna ręka nie mogła poruszyć się, by podrapać zgnojona, pokrytą strupami, pokąsaną do krwi skórę.

Był maszyną, która co rano na komendę zrywała się z potwornego legowiska swojego, dygocącą z zimna, skostniałą lub duszącą się od zabójczego upału.

Był maszyną, która co dzień na komendę, pożerała skąpą rację cuchnącej zupy i gliniastego chleba, na komendę szeregowała się wraz z innymi w długi wąż i dzwoniąc żelaziwem ciężkich kajdan, wlokła się wśród dzikich ciosów nahaja i kolb dozorców poganiaczy na miejsce bydlęcej pracy, bezmyślnej i bezcelowej.

Był maszyną, która co dnia na komendę musiała tępą siekierą, od której krwawiły ręce okute w kajdany, zwalić określoną ilość pni drzewnych skamieniałych od mrozu lub potężnym młotem o twardym stylisku rozbijać określoną ilość kamieni, głazów czy skalnych odłamków.

Był maszyną, która tym tylko przypominała człowieka, że nie pozbawiona była uczucia, odczuwała głód, chłód, ból od uderzeń i gorsze od bólu swędzenie po ukąszeniach jadowitych owadów i nieznośnych pasożytów, ale w której rozum, spryt, wola i sumienie nie istniały.

Nie można było nazwać go, tak jak i innych, bydłem. Bydło nie wytrzymałoby takiego życia. Nie można było nazwać go, tak jak i innych, człowiekiem. Człowiek nie zniósłby takiego życia. Był maszyną! Tylko maszyną!

Dzień włókł się za dniem. Noc przelatywała za nocą.

W dzień świszczwały kańczugi dozorców, huczały topory walące w drzewa, dźwięczały młoty druzgocące głazy, brzęczały kajdany krwawiące ciało.

W nocy, w nieopalanym nigdy barakach, brzmiały jęki, przekleństwa i charkot konających.

Czas płynął.

Inżynier Jerzy Ordeygiński nie różnił się zupełnie od innych skazańców. Wyspy Sołowieckie zacierają wszelkie różnice, jakie zachodzą między ludźmi, typami, charakterami czy przekonaniem.

Iskrzyński żył tak jak inni, nie zdejmując nigdy ze siebie zawzonego chałata z grubego, ostrego sukna, przegniłego z potu i brudu, tak jak inni miał włosy polepione, nigdy nie strzyżone, twarz obrosniętą i zsiekaną wichrem i mrozem, spękane, granatowe prawie usta, zapadłe policzki, oczy błyszczące z głodu nigdy nie nasyczonego, ręce zarośnięte brudem, stwardniałe, pokrwawione, nogi poranione przez twarde chodaki, ciało porane od ciosów nahaja i roje, roje robactwa na sobie.

Tak jak i inni, brzęcząc kajdanami, spełniał na komendę wszelkie rozkazy i polecenia dozorców.

Tak jak i inni żył i konał powoli.

Była jednak jedna różnica między nim, a jego współwięźniami.

Gdy inni czekali śmierci jak wybawienia, on bał się śmierci. On chciał żyć. On kochał życie. On wolał potworną teraźniejszość od wizji przyszłego zaziemskiego żywota.

Gdy innych myśl zasnęła raz na zawsze, przestała funkcjonować zupełnie zbędna, myśl inżyniera Iskrzyńskiego pracowała stale i niezmiennie.

Inżynier Iskrzyński wierzył przeciwko rozumowi, że ucieczka z katorgi, w której przebywał, jest możliwa.

Ileż projektów wysnuł jego umęczony mózg pomiędzy jednym a drugim uderzeniem bicia dozorca.

Ileż pomysłów najbardziej fantastycznych lęgåo się pod czaszką, której nie oszczędzały ciosy sowieckiego żołdaka w szpiczastej pikielhaubie i ciepłym szynelu.

Ale wszystkie te projekty, pomysły i zamiary pozostawały tylko w sferze fantazji. Były wytworem szaleńczej desperacji. Niczym więcej.

Przyszedł dzień, niczym nie różniący się od innych, może bardziej mroźny, może bardziej wietrzny, może bardziej szary, ale równie jak poprzednie beznadziejny, rozpaczliwy.

Jak zwykle, tak i dnia tego, stanął inżynier Iskrzyński w szeregu ludzimaszyn, by pod strażą bagnatów i kańczugów powlec się do pracy w głąb tundry na wielkie poręby podobne cmentarzyskom.

Jak zwykle, tak i dnia tego, ruszył dźwięczący łańcuchami oków pochód.

Inżynier Iskrzyński włókł się w ostatniej parze. Myślał o sposobie ucieczki, co stało się u niego z biegiem czasu manią.

Nie, w danym momencie daleki był od chęci wprowadzenia w czyn swych najlepszych, nawet najbardziej pomysłowych projektów. Ani przez chwilę nie spodziewał się zmiany w swym życiu.

Niewielka gruda zmarzłej ziemi, gruda leżąca na drodze pochodu miała jednak w tej

chwili odegrać rolę w życiu inżyniera Iskrzyńskiego.

Wlokący się z brzękiem po zmarzłej ziemi łańcuch kajdan, zaczepił o zlodowaciałą bryłę błota, szarpnął, zarył się głęboko w otwarte rany na nodze wyżarte stalowymi obręczami i zwałił z nóg nieszczęśliwego więźnia.

Okrzyk bólu wyrwał się z za ściśniętych zębów Iskrzyńskiego. Inżynier runął na ziemię, jak kłoda.

Leżał, drżąc na całym ciele z bólu. Nie miał siły, by się podźwignąć. Krew płynęła ciepłą strugą z warg i nosa rozbitego w nagłym wypadku, a urażoną nogą szarpał ból dojmujący.

Pochód więźniów nie zatrzymał się ani na chwilę. Nikt nie obejrzał się nawet, słysząc odgłos padającego ciała i jęk bolesny rwący się z zagryzionych do krwi ust.

Wypadki takie jak ten, były zbyt częste, zbyt znane, zbyt nieznaczące dla ludzi, w których wygasło już doszczętnie człowieczeństwo - tak dozorców, jak katorżników. Poszli dalej, dzwoniąc okowami, ciężko wlokąc obciążone żelastwem stopy. Oddalali się powoli, niknąc za zakrętem ścieżyny, wijącej się wśród wysokich pni drzew.

Iskrzyński leżał ciągle na śniegu bez ruchu. Jak przez mgłę widział, jak krople krwi ściekającej z jego twarzy kapią na śnieg i drażą w nim jaskrawoczerwone małe lejki.

Potężny cios nahaja poderwał go, parząc jak ogniem.

To jeden ze zbirówdozorców, drań o zwierzęcej mordzie i rudych kłakach zarastających plugawą, czerwoną gębę, idący na końcu korowodu, pozostał przy leżącym więźniu.

Rzemień kańczuga wzniósł się znów ze świstem w powietrze i spadł jak rozpalony pręt na plecy Iskrzyńskiego.

Ciało torturowanego zwinęło się pod tym ciosem jak liść owionięty podmuchem pożaru. Głęboki dreszcz wstrząsnął nim. Potem drugi, trzeci... tyle, ile uderzeń padło z łap kata na postać rozpostartą na ziemi, przytuloną do kanciastych brył lodu i błota.

Oprawca bił bez przerwy, raz za razem, wolno, metodycznie, z wprawą nabytą w czasie codziennych tortur zadawanych ofiarom, ze zwierzęcym okrucieństwem.

Pastwił się, znęcał, jakby znajdując szczególną rozkosz w świście batoga, w jękach katowanego, w głuchym odgłosie razów spadających na plecy więźnia.

Nie przemówił ani słowa, nie kłął nawet. Nahaj tylko gwizdał w powietrzu, napędzany całą siłą zbójckiego ramienia.

Iskrzyński wił się po ziemi, gryzł skrwawioną gębą grudę, aby nie wrzeszczeć z potwornego bólu.

Czuł, jak rzemień kańczuga orze mu ciało, przeciąwszy łańchmany nędznego szynela, jak drze skórę, jak krew ścieka cienkimi strużkami z otwartych na nowo ran.

Wiedział, że jeżeli nie wstanie natychmiast, to rozbawiony oprawca zasieczy go na śmierć lub też, gdy zmęczy się zbytnio, jednym wystrzałem z karabinu zakończy sprawę z niepotrzebnym już półtrupem. Starał się więc za wszelką cenę podźwignąć, z wysiłkiem naprężając zmartwiałe mięśnie rąk, ale coraz to nowe ciosy przybijały go do śniegu.

Dozorca miał już dosyć tej „orki”. Potężnym kopnięciem odtrącił półmartwe ciało, cofnął się o krok i począł repetować karabin. Zamek broni zaciął się jednak. Łapy oprawcy zaczęły nim targać i szarpać gwałtownie.

Sekundy płynęły jak wieki...

Iskrzyński podniósł z wysiłkiem obolałą głowę i spojrzał tam, skąd miała nadejść śmierćwybawicielka.

Żołdakdozorca nie patrzył na niego, zajęty odsuwaniem zardzewiałego zamku karabinu. Był odwrócony do leżącego.

Iskrzyński wpił przekrwiony, nienawistny wzrok w bydlęcy pysk swego kata.

- Zabijesz mnie... Zabijesz... Już za chwilę... - przewlokła się ospała, martwa myśl. - Nie!... Nie zabijesz!... To ja cię zabiję!...

Jakieś ciemne plamy zatańczyły przed oczyma inżyniera. Krew buchnęła do głowy. Nagła decyzja, jak elektryczna iskra, przeszła mózg.

Iskrzyński sam nie wiedział, jak się to stało, że siły wróciły mu nagle, a stało się to błyskawicznie.

Leżące ciało poderwało się jak zwolniona napięta sprężyna.

Jeszcze nie stanął dobrze na nogach, jeszcze nie rozkurczył zgiętych mięśni, gdy ciężki łańcuch zwisający mu u rąk zatoczył łuk w powietrzu i pchnięty potężnym wysiłkiem rozpaczy i wściekłości trzasnął w czerwoną, złą mordę siepacza.

Chrupnęło coś. Krótki wrzask rozdarł powietrze i żołdat zwałił się z nóg, upuszczając karabin.

Szpiczasta czapkapikielhauba z gwiazdką czerwoną spadła z ogolonego łba i potoczyła się po ziemi.

Iskrzyński skoczył wilczym susem do rozpląszonego cielska. Brzęczący łańcuch grubych, żelaznych ogniw, świsnął po raz wtóry i spadł z chrzęstem na czaszkę bolszewicką.

Patrząc na drgające konwulsyjnie ciało i łapska w rękawicach drapiące śnieg ostatnimi skurczami, więzień zrozumiał, co się stało.

Tak, dopiero teraz zrozumiał. To, co uczynił, nastąpiło prawie bez wiedzy jego woli.

Ból, gniew i rozpacz zastąpiły rozum i logikę.

Patrzył rozszerzonymi oczyma na rozwaloną potężnym ciosem kajdan czaszkę dogorywającego krasnoarmiejca. Widział, jak ostatni dech zamarł na rozwartych ustach szczerzących zgniłe, zielone zębiska w martwym okrzyku, i czuł... że nie przestał być człowiekiem mimo wszystko.

Zabił! Musiał zabić! W przeciwnym razie sam byłby zabity. Prawo człowieka - instynkt życia zwyciężył.

Inżynier Jerzy Ordeygi Iskrzyński stał się po raz pierwszy w życiu mordercą.

Rozejrzał się wokół, tak jak rozgląda się osaczone w ostępie zwierzę... Nic, nikt go nie widział. Nikogo nie było. Był sam ze stygnącym na śniegu ohydny trupem, którego czoło, nos i oczy zamieniły się również, jak wierzch czaszki, w jedną krwawą masę, wokół którego rozlewała się czerwona kałuża posoki.

Iskrzyński odwrócił się ze wstrętem. Wstrząsnął nim dreszcz.

- Gdybym się zawahał, sam leżałbym tak, jak ty... - mruknął.

Milczał długo, rozglądając się ciągle po białej płaszczyźnie śniegu, leżącego grubą warstwą między drzewami.

- Jestem wolny... - rzekł nagle głośno. - Tak! Jestem wolny...

Oczy jego, czujne oczy zbiega, rzuciły jedno jeszcze spojrzenie w stłoczoną po obu stronach ścieżki gęstwę pni obielonych śniegiem, a potem zmierzchły, jakby cień padł na nie.

Nie... Zdawało mu się tylko... Nie, był wolny.

Droga do wolności stała otworem. Więzień nie był jednak wolny. Przestał dopiero być niewolnikiem.

Z kajdanami ciągle jeszcze brzęczącymi na rękach podszedł do trupa dozorczy. Pochylił się nad olbrzymim cielskiem, rozwalonym na śniegu i dłonią drżącą sięgnął do kieszeni szynela sowieckiego.

Wydobył składany nóż, talię kart okrytych skorupą brudu i pęk kluczy. To było właśnie to, czego z biciem serca poszukiwał; Te klucze miały stać się dalszym etapem na nieznaną daleką drogę do wolności.

Cienki kawałek stali wniknął do otworu nanożnych obręczy. Szczęknęły zamki. Dwie pary stalowych szczęk odpadły z przegubów nóg, odsłaniając wyżarte w skórze bransolety ran.

Jeszcze jedno szczęknięcie. I jeszcze jedno... Łańcuchy opadły na śnieg z metalicznym brzękiem.

Zgarbione bary skazańca się wyprostowały. Ramiona skulone rozwarły się nad głową,

jakby chcąc objąć szare, ołowiane niebo, szumiące szczyty jodeł, śnieg lecący gęstymi płatami, horyzont daleki w wycince, ścieżki biegnące do baraków - cały widoczny świat.

To, co czynił dalej inżynier OrdeyIskrzyński, czynił jak we śnie, nie wiedząc zaiste, co czyni z pośpiechem gorączkowym i pełnym popłochu w ruchach.

Palce jego zdrętwiałe i bolące ześlizgiwały się z grubych guzików szynela, gdy podźwignąwszy zwłoki zdzierał z nich co tchu płaszcz, mundur i bieliznę. Każdą sztukę zrabowanego w ten sposób ubrania, unosił skrzętnie w pobliską gęstwinę i składał na kupę.

Przyniósł jeszcze buty, pas, czapkę, po czym, gdy obnażonego trupa bolszewika zasypywały płaty gęstniejącego śniegu, zerwał ze siebie wstrętne lachmany i przebrał się, na mróz nie bacząc, w zdobyty strój. Trochę trudno było stłumić jęk bólu wyrywającego się z piersi, gdy wciągał na okrwawione nogi wielkie buciary zabitego - z tym wszystkim jednak szybko skończył to ohydne czynności.

Już przedzierzgnięty w bolszewickiego zbira podszedł do nagiego trupa i zawłókszy go w gęstwinę, taszcząc za nogi, złożył pod drzewem między grubymi pazurami korzeni, po czym nagarnął nań mnóstwo śniegu i usypał nad ciałem mogiłę.

Teraz dopiero, gdy gęsto sypiący śnieg zasnuwał grób oprawcy i ślady wleczonych zwłok grubą, w oczach rosnącą powłoką, gdy cisza głucha leżała wśród leśnych gęstwin, gdy żaden znak nie wskazywał już na to, że miejsce to było miejscem walki o życie, gdy dłonie ścisnęły broń, a ciało okrywał gruby, cuchnący, ciepły szynel - inżynier Iskrzyński stwierdził z zupełnym przekonaniem, że dzieło jest w połowie ukończone.

Nie wiedział, którędy wiedzie droga do wolności, nie wiedział, co go na niej czeka, jeśliby ją nawet instynktownie odnalazł, nie wiedział, jak ma iść, co ma czynić - wiedział jedno, wiedział, że musi żyć, bo chce żyć.

I instynkt życia pchnął go wprost w gąszcz jodeł, karłowatych sosen, pokracznych brzoź i patykowatych jarzębin jakimś szlakiem niewidocznym, a może nawet nieistniejącym, bezdrożami, gęstwiną, oparzeliskami i płataniną gałęzi, konarów i pni.

Ten sam instynkt kazał mu skierować się znowu na północ, a potem z lekka na zachód. Tak idąc, a raczej wlokąc się, podpierając się karabinem, zbliżał się, nie wiedząc o tym, do wybrzeża morza.

Śnieg gęsty zasypywał za nim ślady, ukrywając jego ucieczkę tak, jak ukrył już morderstwo. Sypał i sypał. Zacierał tropy. Zawiewał wszystko.

Uczucie wolności upoiło OrdeyIskrzyńskiego. Tak! Upił się nim, gdy tylko posmakował wędchem i czuciem zmarzniętej twarzy powiewu lodowatego wichru, a nie słyszał nic innego prócz chrzęstu śniegu pod swymi stopami.

Szedł przed siebie, nie wiedząc, co czyni i dokąd idzie. Szedł, gdzie wiodło go przeznaczenie.

Na cóż się ważył?... Wszak był na wyspie oblanej ze wszystkich stron lodowatymi falami morza. Wszak był na wyspie, skąd ucieczka była szaleństwem, gdzie setki dozorców przebiegały wzdłuż i wszerz dzicz odwiecznych tundr, a zwierz dziki polował na ludzi w puszczy. Wszak w każdej chwili czuwające wokoło, poprzez całą długość wybrzeża, posterunki i włóczące się patrole mogły przyłapać zbiega i zasypać gradem kul lub pojmanego wtrącić w gorszą od śmierci czeluść potwornej kaźni podziemnej zwanej czternastą kompanią.

A jednak nie wahał się ani na chwilę. Brnął na oślep, wierząc, że wydrze się z tego piekła, jakie za nim pozostawało, i że nie znajdzie się siła, która by go z tej drogi do wolności zawróciła.

Padał, ślizgał się, topił w śniegach, rozbijał o pnie, płątał w bezlistnych zaroślach, a szedł ciągle naprzód i naprzód tam, gdzie (nie wiedział o tym!) szare, huczne, mocarne fale oceanu grzmiały wśród skał nadbrzeżnych, opluwając złomy granitu zawieją białych bryzgów.

Tam czaiła się owa wymarzona, wykochana, wytęskniona wolność... Tam!...

O jakiejś porze, gdy piersi zdyszane z trudem łąwiły mroźne powietrze, a nogi zdrętwiały i obolałe wlokły się z największym już wysiłkiem w głębokich zaspach śnieżnych, gdy zmęczenie rozlewało się w członkach, a strugi potu ściekały ze zgorączkowanej twarzy - usłyszał nareszcie...

Wolność!...

Krzykiem fal bijących o skały wołała go do siebie. Szumem nieustającym, huczeniem, przywoływała go, wabiła, kusila.

Zrazu nikły, w poszumie drzew targanych wichurą, głos jej z każdym ruchem nóg zbiega, potężniał, wzrastał, huczał i brzmiał.

Dodawał sił strudzonemu ciału, pchał naprzód, krzepił, wlewał otuchę w bijące ciężko serce.

Gąszcz drzew rzednął powoli. Pnie jodeł rozstępowały się, zarośla nikły, natomiast śnieg falami walił w twarz i wicher nieposkromiony, lodowaty, hulał i tańczył z kurzawą gęstych, białych płatów, zrywał wydęte płachty śniegu z powierzchni ziemi, owijał kolumny pni, miotał się, wył i świszczął.

Skroś zawiei tej ujrzał Iskrzyński ciemne zarysy spiętrzonych skał nadbrzeżnych, nad które co chwila wytryskiwały fontanny strzelistych bryzgów wzburzonych fal.

Były niedaleko.

Wystarczyło - rozejrzawszy się ostrożnie, czy nie czuwają tu stulone postacie strażników zakorkowane szpiczastymi pikielhaubami, czy nie błyszczą bagnety straży - przebiec szybkim krokiem niewielką przestrzeń zasnutą śniegiem płaszczyzny i wpaść w zaścianek skał, zniknąć w zakamarkach i komyszach utworzonych przez złomiska głazów, by stanąć nad samym brzegiem, na granicy nadziei i rozpacz.

I stało się.

Śnieg zasypał po chwili świeżo utworzone zagłębienia tropów znaczących szlak ucieczki więźnia. Iskrzyński stał już nad huczną otchłanią wodną, biegnąc wzrokiem i duszą w ołowianą dalekość kotłujących się wód.

Drugi krok do wolności był uczyniony...

Jeszcze nie zdążył się Iskrzyński namyślić, co dalej przedsiębrać, gdy nagle stało się coś, co w pół oddechu wstrzymało falujące od zmęczenia piersi zbiega.

Nad grzmotem fal i skowytem wicherzyska zapanował szydery, terkotliwy śmiech silnika motorówki strażniczej.

Czarny kształt zatańczył na kłębowisku bałwanów tłukących się w wąskiej gardzieli wąwozu utworzonego w skalistości wybrzeża. Czerwona plama flagi załopotowała nad nim.

Lekki, śmigły stateczek werznął się w nawałę pędzących fal kanału i skoczył do brzegu, wlokąc za sobą biały ogon w puch rozbitej piany.

Jeszcze nie umilkł warkot motoru, gdy Iskrzyński, nie patrząc co dalej czynić będzie patrol sowieckich opryszków dozorców, uskoczył między szczeliny wybrzeża i wsiąkł w nie jak cień.

Na wybrzeżu pozostały tylko białe ślady jego stóp na białym śniegu, a dalej w takiej odległości, że z trudem tylko słyhać było ich rozmowę, czterej krasnoarmiejcy gramolący się na brzeg z przycumowanej łodzi.

Rozmowa złorzeczących na złą służbę strażników oddaliła się, ścichła, wreszcie umilkła.

Jak co dzień, tak i dziś, jak co godzina, tak i w tej chwili patrol wysiadł z motorówki i powlókł się na przetrząsanie, tak niepotrzebne zresztą, zarośli i gęstwin wybrzeża w poszukiwaniu nieistniejących uciekinierów.

Iskrzyński nie zastanawiał się nad tym, jak długo potrwa nieobecność żołdatów, ani czy ktoś nie pozostał na straży stateczku. Po upływie paru minut zdecydował się.

Jednym susem wyskoczył ze swej kryjówki.

Chyłkiem przebiegł dystans kilkudziesięciu metrów, dzielących go od motorówki i

bez chwili wahania skoczył na pokład.

Z kabiny wypadł ktoś, kto rżnięty przez łeb kolbą runął przez dość wysoką burtę i chlupnął ciężko w fale, wzbijając słup białych pian i kropel wody.

Iskrzyński był już przy linii kotwicznej.

Jedno cięcie bagnetem. Czarny wąż cumy ześlizgnął się w morze i znikł z pluskiem.

Zahuczał zapalony motor, zaterkotała śruba, prysnęły rozchlastywane rufą bałwany.

Czarny stateczek z bolszewicką flagą wycofał się tyłem z cieni skalistego wąwozu, wykręcił się, zatoczył wielki, biały od piany łuk i pognął w zamęt morskich fal.

Odwrociwszy się, ujrzał Iskrzyński, że na wyniosłości wybrzeża czernieją jakieś sylwetki. Białe kłęby buchały wśród nich raz po raz z przytłumionym odległością i grzmotem wód, hukiem.

Dookoła, na szarej powierzchni morza pluskały i świszczwały kule.

Nie zważał na to. Brzeg za nim zapadał się w fale, usuwał w szarość wód, nikł, gasł jak majak, jak widmo złowrogie, rozpływał się w gęstniejącym śniegu aż wreszcie szczełł zupełnie.

Iskrzyński nie oglądał się już więcej. Wśród rozkołtychów i podrygów wyjącej całą siłą silnika motorówki, gnał na zachód, ciągle na zachód, wlokąc za sobą ogon pianistej fali, gnał na spotkanie wolności, tak bliskiej już, choć tak dalekiej.

Po raz pierwszy w życiu ujrzał ją na własne oczy, gdy, tuż przed zapadnięciem nocy, dostrzegł na bezmiarze wód czarną sylwetkę rybackiego szkunera, łopocącą na maszcie flagę szwedzką, błękitną z złotym krzyżem, i ślepie płonących już świateł sygnałowych mrugających ku niemu.

Tak, to była wolność. Więzień z Sołówek był wolny.

-

1 Czerezwyczajka (lub Czeka) - potoczna nazwa radzieckiego organu czuwającego nad bezpieczeństwem władzy bolszewickiej, odpowiedzialnego za represje w Rosji Sowieckiej w latach 1917-1922. Nazywano tak także dalsze radzieckie służby powstałe po przekształceniu Czeki (GPU i OGPU).

Rozdział XXII

OFICERSZPIEG

Rubikon był przekroczony. Tamy moralne były zerwane.

Major Drugiego Oddziału Sztabu Semkowski został zaliczony w poczet pokornych sług Znak Zapytania i stał się szpiegiem - stał się zdrajcą...

Powoli, ale nieustannie, nitkami pajęczyny nierozzerwalnej, tak iż nić każda miała hart i moc okrętowej liny, opleciony został wysoki oficer sztabu przez sparaliżowanego starego pana.

Stało się to metodą starą jak świat, a przecież zawsze skuteczną, stało się to środkami prostymi, a jednak nie zawodzącymi nigdy...

Semkowski lubił dźwięk srebrnych monet i miły szelest papierowych banknotów. Semkowski lubił wirującą tarczę rulety, Semkowski lubił talię kart, drażniącą niepokojącą tajemnicą hazardu. Lubił wreszcie Semkowski zacisza restauracyjnych gabinetów i lubił piękne i wytwornie ubrane kobiety.

Stary sparaliżowany pan ukryty w małym pokoiku, gdzieś na przedmieściu w nietynkowanej kamienicy, był owym pająkiem, który Semkowskiego usidlił. Udzielał mu chętnie pożyczek, przeciw którym major zrazu oponował, potem ulegał coraz łatwiej, aż wreszcie sam o pożyczki począł prosić.

Stary pan za każdym razem prosił o drobiazg, o podpis na wekselku, ot, tak dla porządku, choć słowo honoru święta rzecz i wystarczyłoby z pewnością. Trwało to tak długo, dopóki Znak Zapytania nie doszedł do wniosku, że Semkowski jest już „gotów” i że można go „zrobić”.

Stało się to w sposób bardzo prosty. Stary sparaliżowany emeryt poprosił pewnego wieczoru pana majora Semkowskiego do siebie i przedstawił mu plik weksli do zapłaty. Weksle były łącznie wystawione na sumę osiemdziesięciu pięciu tysięcy złotych.

- Płaci pan dziś? - zagadnął sparaliżowany.

Twarz oficera przybladła.

- Nie, ani dziś, ani jutro.

- Więc kiedy? Weksle są in blanco. Mogę w każdej chwili wpisać tu datę, ot, choćby dzisiejszą i wszystkie te weksle zaprotestować. Potem historia byłaby już jasna i nie budząca wątpliwości...

Semkowski milczał.

- Panie majorze, pan rozumie, co się stanie, gdy weksle te z bardzo grzecznym listem, prześlemy na przykład szefowi sztabu? Czy pan rozumie? Nie będzie pan nosił tego munduru ani przez godzinę... Podpisy na wekslach mają swoją wymowę, szczególnie, gdy chodzi o oficerów Drugiego Oddziału.

W głosie sparaliżowanego pana brzmiała świadomość swojej przewagi.

- Jakież są pańskie warunki? - zapytał Semkowski, z trudem się opanowując.

- Bardzo proste. My nie chcemy pieniędzy za weksle. Te weksle zostaną u nas jako gwarancja pańskiej wierności... Nam chodzi tylko o to, by dał nam pan, od czasu do czasu, za dobre pieniądze informacje, które nas interesują. To nie jest przecież żadna zbrodnia, skoro o tym nie będzie wiedział nikt, tylko my i pan...

- A czy pan wie, jak się to nazywa w języku każdego uczciwego człowieka? To się nazywa szpiegostwem na rzecz obcego mocarstwa, to się nazywa zdradą główną. To grozi sądem wojennym i „słupkiem”.

- Należy więc tak działać, by nie być przyłapanym na szpiegostwie, by nie pójść pod słupek... Na tym polega właśnie cały dowcip.

- Ja jednak nie będę miał dnia spokojnego, póki moje weksle będą się znajdować w rękach takiego łotra jak pan.

- Oświadczam panu - odparł chłodno sparaliżowany starszy pan - że obojętne mi są wszelkie obelgi, jakie pan na mnie rzuca. Tego, co czynię teraz, nie potrzebuję się wstydzić wobec siebie samego. Działam dla dobra sprawy.

- Sprawa będzie mniej dobra, gdy z dobytym rewolwerem przebiję się przez wszystkie pokoje tej spelunki i powiadomię żandarmerię lub policję o tym, co w tej spelunce przeżyłem.

- Naraziłby pan tylko siebie.

-?...

- Czy pan nie zdaje sobie sprawy, że był pan i jest pan nieustannie śledzony przez naszych ludzi, którzy posiadają daleko idące instrukcje. Ci ludzie i w przyszłości będą mieli pana na oku. Tak samo każde pańskie posunięcie. Jeżeliby ludzie ci dostrzegli w panu odrobinę wahania, nie mówiąc już o zamiarze zdrady, dostałby pan natychmiast dobrze wymierzoną kulkę. Równocześnie weksle pana zostaną przesłane na adres ministra wojny albo pańskiego przełożonego. Jeżeli popełni pan to bohaterstwo, że strzeli pan sobie w łeb, ścigać będzie pana aż poza grób opinia zdrajcy i opinia ta przylgnie do pana nazwiska i przyniesie hańbę pańskiej bliższej czy dalszej rodzinie.

Błada jak płótno twarz majora Semkowskiego nabrzmiała od napływającej krwi.

Stary paralityk patrzył wyteżonym, lecz chłodnym wzrokiem w ściągnięte mięśnie

twarzy oficera. Jego palce zabębniły trochę niecierpliwie po suknie okrywającym stół.

- Więc?...

Nastąpiła chwila milczenia. Major Semkowski staczał ze sobą ostatnią walkę. W głowie mu huczało. Czuł, że coś się w nim łamie, coś zapada, czuł, że opór jego słabnie. Bronił się jeszcze przed ostateczną decyzją, wyrażającą zgodę, ale rozumiał, że walkę przegrywa na całej linii, zdany zupełnie na łaskę i niełaskę szantażysty.

Podniósł znów głowę. Nie patrząc na paralityka, powiedział gwałtownie i szybko:

- Zgadzam się!

Przeraził się brzmienia tych dwu wyrazów. Czarne, posępne widmo szubienicy zamajaczyło w nich, nieubłagane, straszne, nieuchronne... Było już jednak za późno.

Stary pan, nie zmieniając ani na ułamek sekundy kamiennego wyrazu twarzy, skinął głową powoli i rzekł swym przerażająco spokojnym, opanowanym głosem.

- No, nareszcie... Czyż doprawdy trzeba było tak długo się namyślać, drogi panie?... Przecież to takie głupstwo... Niechże pan się rozchmurzy - mówił łagodnie - i wysłucha tego, co muszę jeszcze dodać.

- Słucham...

- Ma pan przed sobą sprawy, które dla pana będą zupełnie łatwe... O szczegółach ich pomówimy w swoim czasie. Teraz chcę panu tylko powiedzieć jeszcze, że powinien pan pozbyć się najzupełniej swych obaw... Zapewniamy panu najzupełniejsze bezpieczeństwo. Gdyby noga pana poślizgnęła się, czego nie życzyłbym sobie, co jednak zawsze jest możliwe, może pan być pewien, że zawsze znajdzie pan pomoc w naszym człowieku, którego jedynym obowiązkiem będzie czuwać nad panem i ochraniać go.

Semkowski uśmiechnął się pogardliwie. Wzruszył ramionami wymownie.

- W ten sposób - ciągnął stary pan - ma pan zagwarantowane bezpieczeństwo, co umożliwi panu podejmowanie najtrudniejszych nawet zadań... Śpieszę jednak zapewnić pana, że nie od razu wymagać będziemy od pana bardzo poważnych usług. Zaczniemy od spraw mniejszej wagi, które jednak są nam również niezbędne... W zamian, proszę pana, może pan się spodziewać należytej oceny pańskich wysiłków i ręczę panu, że powodów do niezadowolenia nie będzie pan mieć nawet najmniejszych.

Semkowski nie przemówił ani słowa.

- Nie wątpię, że odpowiedź pańska wyrażająca zgodę na moje propozycje jest ostateczna i bezapelacyjna, jest odpowiedzią człowieka świadomego tego, co mówi i zdaje sobie sprawę z tego, co czyni. To zrozumiałe. Nie będę do tego wracać...

Semkowski milczał ciągle.

- Przystąpmy teraz do rzeczy... Życzę sobie, żeby w najbliższym czasie był pan łaskaw przedsięwziąć pierwsze swe zadanie. Powiem panu pokrótce, o co idzie. Otóż w poselstwie sowieckim pracuje, jak mi wiadomo, pewien człowiek pozostający w kontakcie z polskim Drugim Oddziałem Sztabu. Wszelkie próby wykrycia, kto z personelu poselstwa sowieckiego dopuszcza się tej ohydnej zdrady, nie dały dotąd rezultatu. Drań jest dobrze zakonspirowany... Panu, jako oficerowi Drugiego Oddziału, nie trudno przyjdzie zbadać kartoteki konfidentów i dostarczyć nam nazwiska tego osobnika... Nie sprawi to chyba panu kłopotu. Chciałbym się o tym dowiedzieć jak najprędzej... No, do widzenia panu!

Semkowski wybiegł z pokoju, jakby ścigały go furie.

* * *

Od chwili dramatycznej rozmowy sparaliżowanego starego pana z majorem Semkowskim minęło kilka dni.

Przez długich kilka dni major Semkowski toczył z sobą straszną walkę. Stał przed zagadnieniem życiowym, które - jak przyznawał - po raz pierwszy okazywało się zbyt skomplikowane, by je móc rozwiązać.

Nie było wyboru. Semkowski zwlekał jedynie, by zyskać na czasie i szukał jeszcze sposobów ratunku, sposobów, których nie było.

Stary pan musiał czekać cierpliwie i ta jego cierpliwość została nagrodzona...

W tydzień po rozmowie paralytyka z majorem zjawił się w domu gry na przedmieściu posłaniec, który doręczył staremu panu list zaadresowany maszynowym pismem.

Stary pan odprawił posłańca, po czym otworzył szybko list.

Wypadła z niego kartka, również napisana na maszynie. Na kartce były tylko trzy słowa:

Sergiusz Iwanowicz Saratow

Stary pan uniósł brwi, co było u niego oznaką zadowolenia.

Major Semkowski nadesłał mu nazwisko funkcjonariusza poselstwa sowieckiego, który pozostawał w stałym kontakcie z polskim Drugim Oddziałem.

Rozdział XXIII

TAJEMNICA NIETYKALNYCH MURÓW

Gdyby ściany umiały mówić! Gdyby mury mogły opowiadać!... Ileż ciekawych, sensacyjnych moglibyśmy zdobyć wiadomości. Ileż tajemnic zostałyby wtedy zdradzonych.

Są mury takie, których przeznaczeniem jest i było, by nie wychodziło nic poza nie. Są mury znające tajemnice łez, mury, które patrzyły na rozlew krwi, ale mury te milczą i dostojną zachowują obojętność.

Przy ulicy Poznańskiej w Warszawie znajduje się duży, nieładny dom. Na fasadzie domu wyrzeźbiona jest kula ziemiska, a na niej krzyżuje się ostry sierp z młotem.

Gmach ten zna każdy warszawianin i mijając go mówi do towarzysza lub towarzyszki wspólnego spaceru:

- Patrz! To jest poselstwo sowieckie.

O, gdyby mury umiały mówić. Powiedziałyby zapewne rzeczy, od których krew ścinałaby się w żyłach. Wielki, pełen zakamarków dom przy ulicy Poznańskiej 115 niejedną zna tajemnicę, niejednemu sekretowi stoi na straży.

W tym to poselstwie, między innymi, według krążących pogłosek, przechowywany był przez czas krótki duży kufer o zagadkowej zawartości.

Straszliwa miała być zawartość tego kufra. W nim to miał odbywać etapem ostatnią drogę do Rosji generał Kutiepow, wodza emigracji rosyjskiej w Paryżu porwanego w biały dzień na jednej z ulic stolicy Francji.

Gdyby mury umiały mówić, opowiedziałyby wiele krwawych historii, opowiedziałyby o zwabianiu do poselstwa ludzi, którzy już nigdy potem światła dziennego nie oglądali.

W poselstwie sowieckim, podobnie jak w całej Rosji sowieckiej panuje nad wszystkim i wszystkim rządzi Czeka.

Agenci GPU siedzą w biurach poselstwa. To oni mają głos decydujący w wielu sprawach pierwszorzędnej wagi... Oni to czuwają nad bezpieczeństwem personelu poselstwa, oni to wreszcie wymierzają bezwzględne kary tym, których uznają za opornych.

Piwnice poselstwa sowieckiego i zakamarki gmachu niejedno widziały i nieraz krew zbryzgała tam ściany. Nieraz w gmachu poselstwa agenci GPU sprawiali człowieka jak rybę...

Dnia tego w gmachu przy ulicy Poznańskiej panował dziwny, niezwykle ruch i zamieszanie.

Personel poselstwa sowieckiego - ludzie w nieskazitelnych garniturach, godnych

najwykwintniejszego krawca „zgniłego Zachodu”, woniejący najdroższymi perfumami, ludzie o twarzach zbrodniarzy lub rysach arystokratów, ludzie o łapach urodzonych przestępców lub dłoniach rasowych - włóczyli się po korytarzach i salach, cichym szeptem zwierając sobie jakieś tajemnice, naradzali się, uśmiechali drapieźnie, zwierzęco.

Ten i ów popluł w sękatę, żyłaste łapy, czyniąc wymowny, rdzennie rosyjski gest, oznaczający tak zwane bicie w mordę.

Ten i ów macał się po prawej kieszeni spodni, wyczuwając kanciaste kształty rewolweru.

Ten i ów zacierał pachnące, białe dłonie, szczerząc zęby w krwiożerczym uśmiechu, jakby w przewidywaniu jakiejś sadystycznej zabawy.

Szepty, szepty, szepty...

Wtem... cisza. Głucha cisza. Prężą się wielkie draby, na bacność stają agenci i urzędnicy, ruki po szwam1... To sam chargé d'affaires2...

Oszklone drzwi rozwierają się gwałtownie. Szybkimi, nerwowymi krokami wchodzi oficer w brązowym mundurze z oznakami komisarza.

Jest wysoki, barczysty, jak lalka wcięty w pasie. Twarz biała, delikatna, o orlich, wschodnich rysach. Oczy drapieżne. Usta z lekka uśmiechnięte, czerwone jak u dziewczyny.

Staje przy drzwiach. Byстрыm wzrokiem obiega wszystkich zgromadzonych. Dojrzał w gromadzie kogoś, kogo szukał. Idzie dalej.

Zagryzając wargi niecierpliwie, stuka do drzwi gabinetu posła. Wchodzi. Już od progu woła tryumfującym głosem:

- Jest...

Nim drzwi się za nim zamknęły, powtórzono to słowo obiega wszystkich. Znowu zrywają się szepty. Znaczące mrugania, porozumiewawcze znaki.

Narada posła z chargé d'affaires nie trwa długo.

Znów prężą się draby, stają na bacność agenci i urzędnicy... Chargé d'affaires wraca do swych apartamentów. Oczy mu błyszczą dziwnie. Na twarzy uśmiech złowrogi.

- Ach, więc tak?... Więc plotki, domysły, przypuszczenia, pogłoski - to wszystko prawda?... Tak, to prawda, która ocieknie krwią...

- Jest!!! - nozdrza rozdyma żądza zemsty i mordu.

- No, jeżeli jest, to znaczy, że go nie będzie za chwilę... Wszystko w porządku, wsio w pariadkie...

Dzwonek. Jeden, drugi, trzeci... To chargé d'affaires wzywa do siebie agentów.

Jeden po drugim wchodzi do gabinetu. Stają szeregiem obok siebie. Oczy ponure,

oczy dzikie, oczy wiernych psów wpatrzone w kamienną twarz oficera w skromnym, brunatnym mundurze z odznaką czerwonej gwiazdy.

- Sprowadzić tu Saratowa - pada rozkaz.

Nim minie minuta, ci co wyszli wracają.

Dwaj z nich trzymają między sobą barczystego mężczyznę, olbrzymiego wzrostu, w okularach, z sępiym nosem, rdzawymi od czerstwego zdrowia policzkami.

- Saratow!...

- Da!3

- Saratow!... Ty wiesz, po co tu jesteś?...

- Nie śmiem wiedzieć, towarzyszu komisarzu. - odpowiada spokojnie olbrzym z oczyma dziecka.

- Saratow!... Nie udawaj!...

Olbrzym milczy. Tylko wszystkie mięśnie w twarzy napięte jak postronki. W oczach, ani śladu popłochu.

- Odpowiadaj!... Jesteś w kontakcie z Drugim Oddziałem polskim, czy nie?...

- Nie!

- Nie?... Swołocz!... Łżesz!...

Saratow milczy.

- Odpowiadaj!... Z kim tam jesteś w zmowie?... Nazwisko...

Saratow nie odpowiada. Saratów, zdrajca, szpieg. Saratow wie dobrze, że nic mu nie pomoże przyznanie się, żal, skrucha, prośby...

- Odpowiadaj!... Szpion!4...

Saratow zacina się w upartym milczeniu. Czuje jak wszystka krew napływa mu do serca, jak serce to zamiera z dzikiej nieznannej dotąd trwogi, ale nie mówi ani słowa. Czyż warto coś mówić?... Po to żeby i tak, i tak, za kilka minut obryzgać krwią i mózgiem ściany jakiegoś pokoju poselstwa?... Nie, nie odpowie, nie odpowie, nie odpowie, będzie milczał dalej, choćby pasy z niego żywcem darli, choćby zadawali mu najpotworniejsze, z obfitego swego repertuaru, tortury.

- Mów!... - W oczach oficera armii bolszewickiej tli się zarzewie jakiegoś bestialskiego szału. Zmarszczka nad nosem ma w sobie zapowiedź czegoś strasznego, co zaraz nastąpi.

Saratow patrzy w te oczy nieulętkłym wzrokiem, spokojnie obserwuje tę zmarszczkę. Już się nie boi. Czegóż ma się bać?... Tortur?... Wszystko jedno, naplewat'5... Che! che! che!... Myślisz towarzyszu komisarzu, że Saratow powie coś?... że zdradzi?... że przyzna się

do czegoś?... że kogoś wsypie?... O, mylisz się, piękny kacie z orderem Lenina na piersi... Saratow będzie milczał... Ty tryumfujesz teraz?... Dobrze... Pozwól i mnie tryumfować, choćby w godzinę okrutnej śmierci.

I zdrajca Saratow uśmiecha się najbezczałniej.

Widzi, jak twarz chargé d'affaires nabrzmiewa od krwi, jak dusi go wściekłość, gdy patrzy na głupkowaty, złośliwy uśmiech szpiega.

- Ha, wyjmę rewolwer - przebiega przez myśl Saratowa. Kropnę w łeb temu zóójowi, aż mózg chłapnie na kosztowne obicia, a potem...

Już wsunął rękę do kieszeni, objął kolbę rewolweru palcami. Czuje, jakby lodowaty, grobowy powiew muskał mu pałające policzki - to powiew śmierci.

- Bierz!...

Saratow nie zdążył. Rewolwer wysunął mu się z dłoni. Dwie pary mocarnych łap porywa go za ramiona, wykręcają je w tył, aż chrupią kości w stawach.

- Dawaj go!...

Podprowadzają go przed oficera. Saratow widzi przez bielmo bólu, zasłaniające mu oczy, wzniesioną pięść zbira w mundurze... Nie, już nie widzi tej pięści... Już nic nie widzi.

Coś, jakby stalowy młot zwała się na jego skroń. Huczy w mózgu. Wiruje w cezach. Wokoło mrok.

To sam towarzysz komisarz, chargé d'affaires poselstwa sowieckiego, raczył rozpocząć katowanie zdrajcy.

Saratow chwieje się na nogach. Nie pada jednak. Nie wolno mu padać, przecież tu jeszcze dziesięciu ludzi chce krwawymi pieczęciami ciosów wyrazić oburzenie dla podłości szpiega.

Więc kilka par rąk podtrzymuje słaniające się ciało olbrzymia, a kilku innych bierze szeroki rozmach.

- Wali!!!6...

Policzki szpiega trzaskają raz po raz obrzydliwym dźwiękiem uderzeń otwartych ciężkich dłoni.

Towarzysz komisarz komenderuje:

- Dosyć! Podaj go tutaj!...

Saratow usiłuje się wydrzeć. Trzymają go jednak mocno, wykrzywają ręce do tyłu przebolesnym chwytem. Podprowadzają, kopiąc, przed oblicze oficera.

Chargé d'affaires podkręca pięknego wąsika. Mruży drapieżne oczy, odsuwa mankiet munduru. Staje w pozycji bokerskiej. Rozmach!...

Jęk. Saratow, zwalony potężnym ciosem pięści w bezbronne, odsłonięte mięśnie brzucha tuż pod klatką piersiową zwija się w kłębek.

O, towarzysz komisarz umie używać swej siły. Wie, wie, gdzie trzeba uderzyć, by zadać ból straszny, a nie zabić...

Nowy rozmach. Nowe uderzenie. Nowy jęk...

A potem ciosy mocnej pięści, raz po raz, jak grad, w brzuch, w piersi, w szyję, w szczękę, w twarz i znów w brzuch...

Saratow wije się w półprzytomny w łapach oprawców, wrywa się, szarpie. Na próżno! Trzymają go dobrze, póki towarzysz komisarz się nie zmęczy. Dalej poradzą sobie już bez trzymania, po prostu... Kolby rewolwerów są twarde, kości czaszki kruche...

- Weźcie go sobie!... - dyszy spocony od wysiłku oficer.

Nie trzeba tego powtarzać. Agenci też muszą się pobawić. Należy się im uciecha.

Bezwładne, bezsilne ciało Saratowa odlatuje pod ścianę ciśnięte potężnym ciosem w zęby. Z ust bucha krew. Czerwone krople padają naokoło, pryskają na ściany, podłogę i dywan.

Jakieś nogi obute w lakierowane, wysokie buciki kopią szpiega. Tak, w kolano... Niech ryknie z bólu... Tak, w brzuch... Niech skręci się i zwinie... Tak, w podbrzusze... Niech szaleje z cierpienia... Jeszcze raz!

Pięści!... Pięści!... Pięści!...

Struga krwi na posiniaczonej twarzy, strugi krwi na dywanie. Krwawe bryzgi na ścianach.

Wtem skowyt przeraźliwy. Z potłuczonej gardzieli dobywa się wstrętny, ohydny płacz katowanego mężczyzny.

To jakaś straszna ręka strzaskała okulary szpiega, wbijając szkło w gałkę oczną. Łzy mieszają się z krwią.

Wytworny, piękny chargé d'affaires ma już dość tego wszystkiego. Szkoda kosztownych obić i dywanów.

- Stój!... Zabrać go na piątkę...

Saratow nie słyszy tego, nie słyszy słów, które są wyrokiem śmierci. Jest nieprzytomny, choć stoi na nogach. Nieprzytomny z męki i bólu.

Kiedy kilka rąk obala go na ziemię, by powlec szpiega za nogi do piwnicy oznaczonej liczbą 5, zaczyna się bronić.

Jego kolosalna siła jest niewyczerpana. Szarpie się, rwie, wymachuje na oślepie pięściami, wierzga, dusząc się od krwi, której pełne ma gardło i usta.

Gdy wreszcie dają mu radę i wywlekają szpiega za drzwi, tak że pozostaje w pokoju tylko czerwona smuga ciągnąca się aż do drzwi, towarzysz komisarz spluwa, po czym wylewa na dłonie buteleczkę wody kolońskiej i wyciera je dokładnie.

Jego rola już skończona. Wymierzył zdrajcy sprawiedliwość.

Schodzi jednak powoli do piątki. Chce zobaczyć finał „sądu”. Gdy staje przed okutymi drzwiami, słyszy wewnątrz zgrzyt łopat kopiących ziemię.

- Ach, to już koniec. Nie warto wchodzić...

Tak, to już koniec. Zmasakrowana ciosami kolb rewolwerowych czaszka szpiega dźwiga na sobie ciężar grubej warstwy ziemi. Saratow nie żyje.

Wycharczał, wraz ze strugami krwi, ostatnie przekleństwo na swych katów a zarazem ostatni dech. Już go zasypali.

Pierwsza ofiara „pracy” majora Semkowskiego - szpieg Saratow - przerwał kontakt z Drugim Oddziałem sztabu polskiego, przerwał kontakt z życiem.

-

1 ruki pa szwam (ros.) - w dosłownym tłumaczeniu oznacza ręce na szwy (zewewnętrzne nogawek spodni). Jest to zwyczajowy rozkaz wydawany najczęściej rykiem przez wściekłego dowódcę zamiast normalnego smirna, czyli baczność.

2 chargé d'affaires (fr.) - w dyplomacji pełnomocnik rządu.

3 Da (ros.) - Tak.

4 Szpion (ros.) - Szpieg; tu wołacz: szpiegu!

5 naplewat' (ros.) - dosł. napluć; tu: gwizdać na coś.

6 Wali! (ros.) - Wal!

Rozdział XXIV

DROGA ZATRACENIA

Do wszystkiego można się przyzwyczaić, we wszystkim można nabyć wprawy.

Przyzwyczał się major Semkowski do swej szpiegowskiej roboty, nabrał w niej nie lada wprawy i rutyny. Słowa zdrada kraju przestały go już przerażać, bo i czego miał się obawiać ostatecznie?

Wiele dokumentów mobilizacyjnych wydał już w ręce obcego wywiadu. Opłacano go hojnie. Nie żałowano złota. Cennym i dobrym był nabytkiem dla Znak Zapytania.

Minęły tygodnie, przyszły następne, a nikt nie podejrzewał, ani z przełożonych, ani z kolegów, że ów służbisty, surowy oficer, któremu świetną wróżono przyszłość, prowadzi życie podwójne, że obok majora Semkowskiego, na którego piersi tłoczyły się liczne odznaczenia, istnieje jeszcze drugi major Semkowski, Semkowski szpieg, który dokumenty tajne kopiował, który wydawał konfidentów i agentów polskiego Drugiego Oddziału, który fotografował plany i sprzedawał, sprzedawał i jeszcze raz sprzedawał wrogom.

W wielkim ataku, jaki na nękanie kryzysem państwa Europy przypuścił Znak Zapytania, major Semkowski był jedynie epizodem, stał tylko na jednym odcinku owego wielkiego i groźnego frontu. Ale epizodów takich było dużo, ale odcinków takich było bardzo wiele, a towarzyszył temu huk wysadzanych w powietrze prochowni i arsenałów, towarzyszyły wielkie katastrofy kolejowe dokonywane ręką genialnego obłąkańca Matuszki.

Major Semkowski nie komunikował się już ze starym sparaliżowanym panem rezydującym w wielkiej kamienicy na odległym przedmieściu. Major Semkowski pracował już z samym panem attaché wojskowym poselstwa sowieckiego w Warszawie, towarzyszem pułkownikiem Bogowojem.

Spotkania ich odbywały się w sposób zarówno dziwny jak sprytny, a obmyślenie tego planu napawało dumą towarzysza pułkownika Bogowoja.

Czasem, o zmroku, to w tej, to w innej części miasta, ukazywała się postać mężczyzny za każdym razem ubranego w inny garnitur i zakrywającego głowę kapeluszem innego fasonu. Jedna rzecz tylko nie zmieniała się i pozostawała ta sama. Była to czarna, podniszczona nieco, skórzana teka.

Mężczyzna ów przechadzał się po małym odcinku chodnika, baczny wzrokiem ścigając przejeżdżające samochody.

Jedno i drugie niecierpliwe spojrzenie na zegarek...

Nareszcie...

Zza zakrętu ulicy wypada limuzyna. Limuzyna za każdym razem wypożyczana jest z innego przedstawicielstwa samochodów lub wypożyczalni aut, za każdym razem wóz innej jest marki i pomalowany na inny kolor.

Limuzyna się zatrzymuje.

Jakaś ręka otwiera drzwiczki limuzyny. Tajemniczy mężczyzna podchodzi do samochodu i wsiada szybko do auta.

Drzwiczki limuzyny się zamykają. Wóz rusza szybko z miejsca i ginie w mroku.

Tajemniczy mężczyzna oczekujący na skrzyżowaniu ulic na samochód - to major Ludwik Semkowski, ręka otwierająca drzwiczki limuzyny i zapraszająca uprzejmie do wnętrza należy do towarzysza pułkownika Bogojowa...

W ciszy limuzyny, wsparci o miękkie poduszki samochodu, wymieniali między sobą - szpieg i attaché sowiecki - dokumenty i fotografie. Szeleszczące banknoty funtowe i dolarowe przesuwają się z rąk sowieckiego oficera do rąk majorzdrajcy.

A potem...

Potem łotr czerwony i łotr biały wymieniali z sobą uścisk dłoni. Padały szybkie słowa porozumienia, umowy... Te dokumenty trzeba sfotografować natychmiast i odesłać mi je do północy... Tak, tam gdzie zawsze?... Nie, do tamtego referatu nie mam chwilowo dostępu. Ale to się zrobi... mam pewien plan.

Limuzyna trzęsie się po wyboistych brukach przedmieścia.

Zatrzymuje się w jakimś zaułku.

Człowiek w cywilnym ubraniu wysiada. Ręka attaché sowieckiego zatrząskuje drzwiczki limuzyny.

Samochód odjeżdża...

Major Semkowski bierze albo taksówkę, albo dorożkę, albo też spieszy do najbliższego tramwajowego przystanku i pieściwie dotykając ręką wypełnionego banknotami portfela, wraca do domu zadowolony.

Mimo że major Semkowski cieszy się w dalszym ciągu pełnym zaufaniem przełożonych i sympatią kolegów, mimo że nic nie wskazywało na to, iż jego działalność szpiegowska mogła być odkryta, zdrajca nie był spokojny.

Żył w nieustannym niepokoju, w ciągłej obawie, strachem przejmowało go każde pukanie do drzwi, dreszczem wstrząsał każdy dzwonek, każdy szelest w mieszkaniu. Nie sypiał po nocach. W dzień czuwał nieustannie zawsze przygotowany na to najgorsze, co mogło nastąpić, w każdej chwili spodziewając się katastrofy.

Nic więc dziwnego, że kiedy w momencie poobiedniego odpoczynku rozległ się głośny, natarczywy dzwonek u drzwi, Semkowski zerwał się na równe nogi, dygocąc na całym ciele.

Opanował się jednak szybko. Obejrzał uważnie rewolwer - na wszelki wypadek - i podążył do przedpokoju.

Zdziwił się jednak niezmiernie, gdy otworzywszy drzwi, ujrzał wysoką, smukłą postać kobiecą w wykwintnym futrze, w małym kapelusiku osłaniającym piękną twarz.

- Pani do mnie?... Sądzę, że pomyliła się pani.

- Chcę widzieć się z panem majorem Ludwikiem Semkowskim.

- Ach tak?... Proszę panią!... - rzekł z nieukrywanym zdziwieniem major, wpuszczając piękną damę do przedpokoju.

Ina Ordeyg, spełniając rozkaz Znak Zapytania, rozkaz nawiązania bliższej znajomości z majorem szpiegiem, nie zatrzymała się tam. Swobodnym krokiem, bez cienia zażenowania, weszła do gabinetu.

- Proszę, niech pani siada... Czym mogę pani służyć?...

- Mam pewną ważną sprawę do załatwienia.

- Nie mam dotąd zaszczytu znać pani... - odparł chłodno Semkowski.

- Nazwiska mego nie musi pan znać. Wystarczy, gdy powiem, iż jestem agentką Drugiego Oddziału Sztabu Głównego...

- Czym mogę pani służyć? - zapytał major, opanowując gwałtowne drżenie warg.

Oczy majora Semkowskiego pociemniały. Była to jedyna oznaka niepokoju, jaki szarpał mu serce.

- Otóż panie majorze zawiadamiam pana, że doskonale wiem, jaką rolę gra pan pod maską referenta działu komunikacji w Drugim Oddziale Sztabu, nie bacząc na honor, na mundur oficerski i liczne odznaczenia... Niech się pan nie przeraża... Na razie ja jedna wiem o tym...

Twarz majora była blada jak wosk. Usta zaciśnięte, bezkrwiste, zdradzały zupełną determinację.

- Niech pan nie dotyka broni!... Uprzedzam pana, że na biurku mego bezpośredniego przełożonego spoczywa zapieczętowana koperta, opatrzona dopiskiem: Jeżeli do godziny siódmej nie wrócę - otworzyć. W kopercie tej, panie majorze, zawarte są wszelkie szczegóły moich dochodzeń wraz ze wskazówkami, gdzie należy pana szukać, aby aresztować... Jeżeli do godziny siódmej zdąży pan usunąć mego trupa i zniszczyć dowody swojej winy - proszę strzelać... Nie radzę panu jednak tego.

Semkowski zagryzł wargi.

- Panie majorze, jest pan agentem ościennego państwa, jest pan szpiegiem, jest pan zdrajcą... Mogę panu podać spis wszystkich dokumentów, jakie odfotografował pan lub w inny sposób dostarczył pułkownikowi Bogowojowi... Oto ten spis...

Major wziął machinalnie podaną sobie kartkę i tęnym wzrokiem wpatrzył się w długą kolumnę szyfrowanych nazw i cyfr.

- Widzi pan, panie majorze... Znam nawet szyfr, jakim posługuje się pan w konszachtach z poselstwem sowieckim. Może także przypomnieć panu, gdzie odbyło się ostatnie spotkanie z panem Bogowojem?... Na ulicy Tamka, u wybrzeża Wisły... Granatowa sześciocyndrowa karetka... Zniszczona czarna teka... Wysiadł pan później na Bednarskiej...

Semkowski drżał na całym ciele.

- Widziałam więcej takich spotkań... Widziałam tyle, że setna część tego wystarczyłaby, by został pan postawiony pod śłupkiem i rozstrzelany. Widziałam wszystko... Wiem wszystko!...

Szpieg wstał z miejsca. Przez chwilę, dysząc ciężko, opierał mokre od potu czoło o szybę okna.

Odwrócił się nagle.

Patrząc surowym, nienawistnym wzrokiem na piękną uśmiechniętą buzię tej strasznej kobiety, zadał pytanie, które z trudem udało mu się wypchnąć zza zaciśniętych zębów.

- W jakim celu... przyszła tu pani?... Co to ma wszystko znaczyć?...

Piękna pani zaśmiała się niefrasobliwie.

- Spodziewałam się tego pytania... W jakim celu przyszłam?... To bardzo proste... Przyszłam po to, by powiedzieć panu to, co powiedziałam.

- Ale...

- I dodać, że mam pana zupełnie w ręku.

Ina Ordeyg spojrzała zwycięsko na stojącego przed nią ze zwieszoną głową majora. Tak, miała go w ręku. Najzupełniej!

Semkowski przeszedł się kilka razy po pokoju i stanął przy oknie. Patrzył na ulicę, na wielkie płaty spóźnionego śniegu wirujące błędnie w powietrzu.

Co robić? Jak się ratować? Czy są jeszcze sposoby ratunku? Czy jest ucieczka przed haniebnym drzewem stryczka? Czy jest ucieczka przed lufami karabinów egzekucyjnego oddziału? Czy jest ucieczka przed jamą grobu, która otwierała się przed nim?

Ani szczere przyznanie się do winy, ani wyznanie wszystkiego nie uratuje go przed śmiercią... Sąd wojenny nie bada sumienia oskarżonego, sąd wojenny bada fakty.

Smutny, zgubny przegląd. Wszystkie fakty były przeciw Semkowskiemu.

Obrócił się nagle i spojrzał, twarzą w twarz, agentki kontrwywiadu. Siedziała bez ruchu i patrzyła na majora wielkimi czarnymi oczami.

Semkowski ponownie pochylił głowę. Sam nawet nie wiedział, jak z ust jego wydarły się wyrazy:

- Gdyby pani wiedziała! Gdyby pani zdawała sobie z tego sprawę! Ja naprawdę nie jestem tak winien, jak pani się zdaje.

Surowość jej spojrzenia nie złagodniała ani trochę. Melodyjny głos kobiecy jął wyliczać w odpowiedzi ponurą statystykę:

- Sprzedał pan posłowi sowieckiemu plany organizacyjne i mobilizacyjne taborów, sprzedał pan poselstwu sowieckiemu plan mobilizacji samochodów celem przewiezienia oddziałów wojskowych z jednego odcinka frontu na drugi, sprzedał pan towarzyszowi Bogojowowi tajny akt oznaczony sygnaturą Mob. 321-45. To tylko kilka przykładów. Po cóż mam je wymieniać? Mówi pan, że nie jest pan winien?

- Nie tak bardzo, jak pani sądzi. Pani cytuje fakty, a ja pytam się pani, czy wie pani jakimi drogami, jakimi wstrząsami duchowymi doszedłem do tego, do czego doszedłem. U diabła! Jestem młody, zajmuję wysokie stanowisko, mam stosunki. W tych warunkach nie tak łatwo zostać szpiegiem i stać ciągle w obliczu zdemaskowania i śmierci pod słupkiem.

Ina Ordeyg założyła nogę na nogę, odsłaniając kształtny zarys łydki.

- To bardzo łatwo, panie majorze. Bardzo łatwo jest zostać szpiegiem, gdy chce się mieć wiele, wiele pieniędzy, gdy się chce kochać i tulić w ramionach wiele pięknych ciał kobiecych, coraz to nowych i nowych... To była pańska, to jest pańska droga do zatury, panie majorze Semkowski.

Oficer wpił w kobietę wzrok pociemniały i bezradny. Dopiero teraz ujrzał, że agentka kontrwywiadu, która miała go zgubić i wydać sądowi wojennemu, była kobietą wielkiej i porywającej urody.

Ona zaś mówiła dalej, tonem szyderczym i nielitościwym:

- Ja nie mam panu za złe, panie majorze, że pan jest szpiegiem i zdrajcą. Niech pana potępia kto inny. Ja rozumiem siłę utajoną w szeleście banknotów, ja znam urok dźwięku srebra i złota. My, agentki wywiadu, jesteśmy wszystkie nieco kokotami. To jakoś dziwnie łączy się z naszym fachem. Służba śledcza to ciągle podniecenie nerwów, to ciągle ryzyko, a w tych warunkach, gdy nie zna się jutra, gdy nie wie się nigdy, kiedy cios spaść może, cios zabójczy i śmiertelny, budzi się w nas chęć wyżycia się, chęć używania zmysłowych rozkoszy, chęć posiadania dużej ilości banknotów, chęć zdobycia tego wszystkiego, co nam

się podoba, czy to chodzi o piękne suknie, czy o wóz modnej marki, czy o przystojnego mężczyznę... Każdy z nas jest szpiegiem na swój sposób. Tylko, panie majorze Semkowski...

- Słucham panią...

Słuchał jej istotnie z zajęciem, a słuchając jej miłego, stonowanego głosu zapominał chwilami, że to ona - ta piękna kobieta - będzie jego katem, że ona zniszczy jego życie...

- Panie majorze! - mówiła dalej, wyjmując z torebki puderniczkę. - Szpiegiem być można. To się zdarza. Tylko trzeba mieć odwagę cywilną być szpiegiem. Nie trzeba się bać, nie trzeba drzeć. Jeżeli robi się już coś, co w opinii ogółu jest złe, co jest przez społeczeństwo karane, trzeba to robić odważnie, z podniesioną głową. I w złem można mieć charakter i można być bohaterem...

Urwała i spojrzała na wskazówki zegara, które powoli zbliżały się do piątej. Poszedł wzrokiem za jej spojrzeniem. Zrozumiał. Jeszcze dwie godziny dzieliło go od godziny siódmej, od godziny kryzysu.

Podszedł do niej i oparł rękę na jej ramieniu.

- Po co mówi mi pani to wszystko? Jest pani czarującą kobietą. Przyszła pani, by swymi pięknymi ustami oznajmić wyrok śmierci. Po co ta zabawa w kota i myszkę? U licha! Proszę niech pani zatelefonuje po swych agentów, niech pani zawezwie żandarmerię. Nie potrzebuję, by pani dodawała mi odwagi. O, proszę być spokojną! Zapewniam panią, że nie zblednę, gdy lufy karabinów skierują się w moją pierś. Przyrzekam pani, że nie dam sobie zawiązać oczu. Po cóż te obawy o to, by szpieg przez panią zdemaskowany i wydany władzom umierał w atmosferze bohaterstwa?

Major urwał nagle.

- Jaka jest pani szyfra szpiegowska?

Patrzyła na niego z uśmiechem.

- NY-42...

- Piękna szyfra. A więc, agentko NY-42... Jestem do pani dyspozycji...

Oczy majora Semkowskiego były już spokojne i stalowe, jak zwykle.

Oczy kobietyszpiega uśmiechały się dobrotliwie.

- Panie majorze! - rzekła. - Istnieje między nami małe nieporozumienie. Po pierwsze chcę zaznaczyć, że o pańskiej strasznej tajemnicy wiem ja tylko jedna; poza mną nikt z kontrwywiadu... Urządziliście tak sprytnie to wszystko, że tylko przypadek pomógł mi do zdemaskowania pana... Mam czas do godziny siódmej wieczór, bo dopiero o tejże siódmej godzinie ręka mego szefa rozedrze kopertę listu i odczyta zawartą w tym liście zabójczą dla pana prawdę...

- A zatem mamy jeszcze dwie godziny czasu?... To interesujące. Pani wykonuje swój zawód w sposób - powiedzmy - bardzo romantyczny... Ale przede wszystkim jedno pytanie...

- Niech pan pyta, panie majorze.

- To będzie bardzo zasadnicze pytanie. Czy nie byłoby rzeczą daleko prostszą, daleko łatwiejszą, oszczędzić i pani, i mnie tej rozmowy... Do licha! O wiele byłoby lepiej, gdyby pani nie przychodziła tutaj na kilometrowe pogawędki o tej sprawie, gdyby pani po prostu zwierzyła się ze swego genialnego odkrycia, gdzie należy, i przysłała mi tu oficera żandarmerii, by mnie aresztował. Czy przysłała tu pani, by napawać się moją obawą, by śledzić z rozkoszą isticie sadystyczną, każdy mój odruch nerwowy, notować każde załamanie się?

Ina Ordeyg milczała przez chwilę, naraz uczyniła coś, czego major nie spodziewał się wcale.

Pełnym wdzięku ruchem podniosła rękę do głowy i zdjęła kapelusz. Krucze włosy otoczyły jej główkę uroczą aureolą.

Spojrzała na majora z tym samym co poprzednio uśmiechem. Majorowi zdawało się, że w tym zdawkowym uśmiechu jest jakby odrobina życzliwości.

- Pytanie pana, panie majorze, jest bardzo słuszne. Istotnie, urządziłam to wszystko bardzo romantycznie i bardzo - przyzna pan? - sprytnie. Co do sadyzmu, to zdaje mi się, że nie można mnie o to posądzać. Ale dlaczego pan ma pretensję o to, że pana odwiedziłam? Uczyniłam to dlatego, że jestem podobno odważną kobietą i chciałam stanąć przed panem twarz w twarz, by powiedzieć: panie majorze, oto jestem. Ja jestem tą, która pana zdemaskowała... A poza tym... Panie majorze... Do najbrzydszych nie należę, byli i tacy którzy mówili o mnie, że jestem nawet piękną. Czyżby aż tak bardzo była przykra dla pana wizyta młodej i ładnej kobiety w pańskim mieszkaniu?

Semkowski roześmiał się. Roześmiał się po raz pierwszy od chwili, kiedy Ina Ordeyg przekroczyła próg jego mieszkania.

- O ile chodzi o tę stronę sprawy, to wizyta pani jest dla mnie miłą i cenną niespodzianką. Mieli zupełną rację ci, którzy tracili dla pani głowy. Przykro mi bardzo, że ja stracę głowę nie dla pani, lecz przez panią.

Roześmiała się beztrąsko, dźwięcznie.

- Doskonale powiedziane. Pan jest bardzo miłym człowiekiem, panie majorze.

- Pani łaskawy sąd o mnie napędza mnie radością.

Spojrzała znowu na zegarek.

- Mamy jeszcze blisko dwie godziny czasu - rzekła znacząco.

- Rozumiem! Do siódmej. - Skłonił głowę i twarz jego poszarzała nieco.

- Tak! Do siódmej. Panie majorze, jakby pan pragnął spędzić ów czas?

- Najmilej w pani towarzystwie.

- A czy nie obawia się pan, mój panie, że wtedy sytuacja się skomplikuje. Grozi panu wówczas podwójna utrata głowy - dla mnie i przeze mnie.

- Ta pierwsza warta jest tej drugiej.

- Bravo! Tak mówi dżentelmen. Podoba mi się pan, panie majorze Semkowski. Aż szkoda mi pana pod słupek...

Powieki drgnęły mu lekko.

- Ach! Prawda! Nie będziemy już mówili o tych przykrych rzeczach. - Podeszła do niego i oparła mu białe, wąskie ręce na ramionach, owiał go zmysłowy zapach dobrych perfum. - A więc, panie majorze jestem do pańskiej dyspozycji. Do pana dyspozycji na ów krótki okres dwu godzin. Niechże pan tę chwilę uczci kieliszkiem dobrego wina. Wypijemy za dalsze powodzenie agentki NY-42...

- Za powodzenie pani!

- Tak. Żebym zawsze tak grube ryby łapała w swe sieci.

Ina Ordeyg mówiła te wszystkie potworne cynizmy z uśmiechem na ustach, z niewinną twarzyczką małego dziecka, z oczyma, które były raczej oczyma podlotka niż kobiety dorosłej. Semkowski obserwował ją uważnie. Jej amoralność napawała go świadomością własnej bezszy.

Nie było jednak wyjścia. Trzeba było dostosować się do swoistego humoru tej kruczowłosej diablicy. Trzeba było pozwolić jej, by ułożyła program owych ostatnich dwu godzin... Inaczej major Semkowski wyglądałby na tchórze, a przecież NY-42 powiedziała mu wyraźnie, że jest do przebaczenia, gdy ktoś jest szpiegiem, ale nie jest do przebaczenia, gdy jest się tchórzem.

Człowiek zresztą nigdy nie zrzeka się nadziei. Towarzyszy mu ona do ostatniej chwili życia, do ostatniego oddechu. Major Semkowski uwierzył, że los darowuje mu owe dwie godziny. Dwie godziny, to długich sto dwadzieścia minut. Wiele w życiu człowieka może się zdarzyć w ciągu tego pozornie krótkiego czasu. Majorszpieg wierzył, żywił nadzieję, że każda minuta z owych dwu godzin może zmienić jego tragiczne położenie. W jaki sposób? Tego nie wiedział, ale wierzył - miał nadzieję...

Podszedł do młodej dziewczyny z uśmiechem na ustach.

- Niech no pani przestanie szarżować tymi potwornościami. Proszę zdjąć płaszczyk. Jeżeli mamy wypić kieliszek wina za pomyślność pani, a za moją bliską już kresu przyszłość,

nie może pani siedzieć dłużej tak ciepło ubrana w pokoju, gdzie jest dobrze napalone.

- Ma pan rację. Proszę mi pomóc.

- Oto właśnie mi chodzi.

Wolno odpinała guziki okrycia. Gdy je zdjęła, major Semkowski się zdziwił - nie po raz pierwszy i ostatni tego popołudnia.

Agentka NY-42 ubrana była w suknię wieczorową bez rękawów, na piersiach i plecach głęboko wyciętą.

- Czy pani wybiera się gdzieś dziś wieczór, że ubrała się pani tak wspaniale?

- Nie! Nigdzie się nie wybieram.

- A więc dla kogo się pani tak wystroiła, piękna kusicielko?

- Dla pana! Chciałam się panu podobać.

Semkowski osłupiał.

- Agentko NY-42 zdaje mi się, że drwi sobie pani ze mnie.

- Ja? Nic podobnego. Po prostu tak jest, jak mówię. Chciałam by zrobił pan wielkie oczy i powiedział przeciągłe aaa, gdy zobaczy mnie pan w tej sukni.

- A skąd pani wiedziała, że sprawy się tak potoczą, iż zdejmie pani futro... że rozmowa nasza taki przybierze obrót?

Parsknęła mu w oczy uśmiechem.

- Paradny pan jest! Jaką też będzie miał pan minę, gdy powiem, że wszystko, co dzieje się od chwili, gdy zadzwoniłam do pańskiego mieszkania, ma taki przebieg, jak ja sobie tego życzę? A po drugie, czy jest do pomyślenia, by kobieta nie mogła zdjąć na wizycie futra, gdy chce to uczynić? No cóż, podobam się panu?...

Okręciła się szybko na pięcie i znowu ukazała w beztróskim, młodzieńczym uśmiechu dwa rzędy pięknych, białych zębów.

- Pani jest bardzo ładna! - odparł szczerze Semkowski, pozerając wzrokiem obnażone ramiona dziewczyny i rysujące pod lekką materią pełne półkule piersi.

- To wszystko bardzo ładnie, ale co słysząc z tym winem?

- Zaraz będzie? Malaga czy wermut?

- Tylko wermut!

- Służę pani!

Usiadła na niskim tapczanie zarzuconym stosami poduszek i obserwowała oficera, który przyniósł wino, talerzyki i jakieś ciasteczka, ustawił to wszystko na małym stoliku i przysunął do tapczanu.

- Niechże pan siada, tutaj koło mnie.

- Wedle rozkazu.

- Jaki pan posłuszny! Aż miło! Gdyby nie to, że przed pierwszym kieliszkiem wina nie wypada mi mówić tego, powiedziałabym coś panu...

- Dlaczego nie wypada przed pierwszym kieliszkiem?

- Bo by to nie miało usprawiedliwienia.

- Co takiego?

- Ech! Nie pojmuję pan rzeczy najprostszych. Po jednym kieliszku wina kobieta ma prawo powiedzieć: mam słabą głowę, oszołomiło mnie wino, plotłam głupstwa...

Semkowski ujął butelkę z wermutem.

- Wobec tego pijemy.

Podnieśli kieliszki z winem.

- Za powodzenie pani, agentko NY-42...

- Za pańskie zdrowie, panie majorze.

Podniosła do ust kieliszek z wermutem.

Semkowski podniósł również w górę kieliszek wina i nagle zatrzymał go w połowie drogi.

Wzrok jego padł na powoli posuwające się wskazówki zegara i nagle uświadomił sobie potworność sytuacji.

Oto siedział obok kobiety, agentki wywiadu, która przejrzała jego karty, która zdemaskowała go jako szpiega. Za niecałe dwie godziny miało się stać to najstraszniejsze. Miał zostać aresztowany... A potem... Potem sąd wojenny, potem długie godziny oczekiwania. Ułaskawi, czy nie ułaskawi? Wreszcie... słupek... pluton egzekucyjny, świeżo wykopany dół... trumna zbita z tarcic... Kres... Haniebny okrutny kres...

I oto on, major Semkowski, na krótko przed aresztowaniem bawi się i flirtuje z kobietą, która go wydała na zgubę.

Objął ją szybkim spojrzeniem i raz jeszcze zauważył, że była istotnie prześliczną dziewczyną. Opanował się. Nie wolno mu było wypaść z fasonu.

Wypił duszkiem wino i znowu napełnił kieliszki.

- Miała mi pani coś powiedzieć.

- Ja? Nie przypominam sobie.

- Ale ja pamiętam... Miało to nastąpić po kieliszku wermutu.

- Ach, tak, coś takiego mówiłam. A czy to takie ważne?

- Szalenie ważne!

Przysunęła się do niego i oparła ramieniem o jego ramię. Czuł bijące od niej ciepło

młodego, jędrnego ciała.

- Ha! Skoro to takie ważne, to panu powiem. Pan mi się podoba, panie majorze.

- Widzę, że żywimy dla siebie pewne wzajemne uczucia.

- O, zaraz uczucia? Zaraz wzajemne? A może mam panu powiedzieć, że pana kocham?

- Niech pani to powie. Zasluguję na to.

- Bezczelny zarozumialec!

Ogarnęła go naraz beztroska, żakowska wesołość. Podsunął jej drugi kieliszek wina. Nie odmówiła. Trącił się z nią kieliszkiem tak silnie, że kieliszek jego się rozbił i odłamki szkła upadły na podłogę.

Po ręce Semkowskiego spływał złocisty płyn.

- O, przepraszam pana. Widzi pan, majorze. To jest nadmiar temperamentu. Mówią, gdy się szkło rozbije, to jest bardzo dobry znak.

Semkowski przyniósł nowy kieliszek.

- Czy pani ma w każdej okoliczności tak ognisty temperament?

Przymrużyła oczy.

- Chciałby pan zbyt wiele wiedzieć w tak krótkim czasie.

Objął ją lekko ramieniem. Nie zwróciła na to uwagi.

- Mam tak mało czasu! - rzekł znaczącym tonem major.

- Niech się pan spieszy, panie majorze - odparła mu z zagadkowym uśmiechem. - Gdy się nie ma czasu, należy się spieszyć.

- Tak mi pani radzi, NY-42?...

- Tak radzę!

- Ja słucham zawsze dobrych rad.

- Co też pan...

Reszta słów tego zdania nie została nigdy wypowiedziana.

Major Semkowski przyciągnął do siebie dziewczynę i spadł ustami na jej purpurowe wargi, rozgniatając je w zmysłowym, namiętym pocałunku.

Sprężyła się w jego ramionach, jakby chcąc się wyrwać z objęć oficera, równocześnie jednak ręka jej wpiła się w jego włosy.

On zaś zapomniał o wszystkim. Zapomniał, kim była ta kobieta, o tym, co go czeka, zapomniał o strasznej, choć krótkiej przyszłości, jaka jeszcze przed nim leżała.

Wiedział tylko jedno. Wiedział, że otacza ramieniem młode, płonące gorącym rytmem krwi ciało dziewczęce, że rozchylają się bezwolnie, w niemocy oddania, świeże pachnące

wargi, że piersi kobiety drgać poczynają szybkim urywanym oddechem, że opór staje się słabszy, słabszy z każdą chwilą...

Już nie broniła się przed pocałunkami, ale oddawała je, zrazu nieśmiało, potem coraz namiętniej, coraz zapamiętałej. Rasowa jej twarzyczka skrzywiona była skurczem bolesnej ekstazy...

Oderwała wargi od jego ust.

- Dosyć! Już dosyć!...

W odpowiedzi na tę prośbę, w której nie było cienia wiary, by jej wysłuchano, ręka Semkowskiego sięgnęła do elektrycznej lampy stojącej obok tapczanu, osłoniętej seledynowym abażurem.

Pokój zaległa ciemność...

Zasypując huraganem pocałunków jej twarz, szyję i prężące się ramiona błędzące po szorstkości jego munduru, zsuwał z niej suknię, obnażając wzburzone pagórki piersi.

* * *

Wielki zegar, stojący w drugim pokoju, szcęknął i jął wybijać godzinę siódmą.

Semkowski przytulił do siebie zmęczoną, wyczerpaną miłosną służbę kobietę.

- Siódma! - wyszeptał. - Czy chcesz mnie uratować? Spiesz się, by nie otworzono tego listu... Powiadom ich!... Zatelefonuj!...

Odpowiedział mu nagły wybuch śmiechu.

- Żadnego listu nigdzie nie zostawiałam. Wzięłam cię na kawał... Nie myślałam, że przyjdzie mi to tak łatwo... Ale agentką kontrwywiadu Drugiego Oddziału jestem istotnie.

Oślupiał. Teraz, nie rozumiał już nic, absolutnie nic. Chciał pytać o to, zamknęła mu usta długim, namiętnym pocałunkiem.

Rozdział XXV

SŁAWA SYLWESTRA MATUSZKI

To było życie! Hej! Ha! Teraz dopiero warto było żyć.

To było życie!

Potajemne nagłe wyjazdy. Duże, rzęsiście oświetlone stacje i małe stacyjki tonące w smętnych półmrokach. Surowe, proste blokhauzy dróżników i posterunków liniowych... Pełne emocji noce, kiedy na pilnie strzeżone tory przemycało się potwornie dużą dozę wybuchowych materiałów...

A potem stuk nadlatującego wielkiego, międzynarodowego ekspresu. Krytyczna chwila. Straszny oszałamiający wybuch.

Trupy, krew, ranni... krew... trupy... gruzy...

To jest życie! Sylwester Matuszka zdaje sobie sprawę z tego, że odżył, że spija puchar gorzkiej rozkoszy, że po raz pierwszy i ostatni w życiu jest szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy...

Nieporównana jest rozkosz tworzenia, ale o ileż bardziej nieporównana jest rozkosz niszczenia, rozkosz szerzenia paniki, rozkosz pławienia się w krwi, rozkosz spoglądania w oczy, w wiele, wiele oczu wpatrzonych w niebo tępy, niewidzącym wzrokiem śmierci.

Sylwester Matuszka był w swoim żywiole, a i finansowo powodziło mu się niezgorzej.

Sylwester Matuszka cieszył się swą sławą, kupował skrzętnie wszystkie fotografie ze zniszczeń, jakich dokonywał, zbierał wycinki z wszystkich pism codziennych i tygodniowych, donoszących o jego „czynach”.

Policja całej Europy łamała sobie głowy nad zagadkami terrorystycznych zamachów na pociągi. Nie tylko łamano sobie głowy, ale również - mówiąc obrazowo - stawano na głowach, by wreszcie „nakryć” i aresztować sprawców krwawych i potwornych zamachów.

Nie mówiono bowiem początkowo o sprawcy, lecz o sprawcach. Któż mógł bowiem przypuszczać, że był zbrodniarz, który dokonywał zamachów, działając właściwie sam, zupełnie sam.

Można to było zupełnie spokojnie powiedzieć, bowiem Sylwester Matuszka sam dokonywał owych zamachów, wybierał dzień, godzinę i miejscowość, w której miała się wydarzyć katastrofa.

Rola tajemniczego nieznajomego, działającego na polecenia Znak Zapytania polegała

na tym, że dostarczał on jedynie wskazówek Matuszce, na jaki pociąg pośpieszny winien być dokonany zamach, oraz na udzielenie terroryście planów okolic, w których zamach winien zostać dokonany.

Mógł więc być dumny i szczęśliwy, najszcześniejszy obłąkany zbrodniarz - Sylwester Matuszka - bowiem na niego to polowała policja europejska, bowiem on to, a nie kto inny, był sprawcą śmierci tylu, tylu osób...

W szczęściu Matuszki była jednak i skaza. Szczęście jego nie było kompletne, nie było zupełne. Oto on - Sylwester Matuszka - pozostawał anonimem.

Wiedzano już, że jest ktoś tajemniczy, straszny i groźny, kto sieje zniszczenie i zagładę na najważniejszych arteriach komunikacyjnych - a jednak nie wiedzano, kim był ów wielki zbrodniarz.

Wszyscy znali tego zbrodniarza, znali tego łotra bezlitosnego - a nikt, nikt nie wiedział kim był ów człowiek potworny, gdzie żył, gdzie mieszkał? Ile miał lat?... Jak brzmiało jego imię i nazwisko. Czy młody był, czy stary?

Dlaczego to robił? Dla kogo? Przez kogo nakłoniony?

O tym nie wiedział nikt. Absolutnie nikt! I to właśnie budziło głębokie niezadowolenie Sylwestra Matuszki.

Na cóż, u licha, była jego „praca”? Na cóż było tak częste ryzyko głowy? Na cóż było to wszystko, skoro nie wiedział nikt, skoro nie wiedział świat, że człowiekiem tym jest nie kto inny, lecz tylko Sylwester Matuszka.

Sylwester Matuszka był coraz to bardziej dotknięty koniecznością konspirowania swej „pracy”.

Pieniądze? Nie zależało mu na nich. Nie pracował przecież dla Znak Zapytania, pracował jedynie dlatego, że ta praca niesamowita odpowiadała znakomicie jego upodobaniom.

Sylwester Matuszka wspomniał raz agentowi Znak Zapytania, że chciałby, by świat wiedział, że to on jest tym, przez którego dążące na szlakach pociągi wylatują w powietrze, że to on jest tym, z czeluści piekieł zrodzonym, mordercą.

Mniemał, że Znak Zapytania przychyli się do jego prośby i że pozwoli mu zdemaskować się, jednakże spotkał się ze stanowczym oporem.

- Nie! To jest coś niesłychanego. Któż robi takie głupie szaleństwa?

Nie chodziło - rzecz prosta - agentowi Znak Zapytania o los Matuszki, nie był to przejaw troskliwego zajęcia się jego osobą. Była to po prostu świadomość, że Sylwester Matuszka jest bardzo pożyteczny Znakowi Zapytania, że jest po prostu niezastąpiony i bardzo

potrzebny.

Dlatego też pomysł Matuszki zdemaskowania się wywołał ze strony agenta Znaku Zapytania sprzeciw jak najbardziej stanowczy...

Nie tak łatwo było wytłumaczyć coś Sylwestrowi Matuszce, gdy myśl jakaś opętała jego chory mózg.

Matuszka wysłuchał uważnie i nawet z dużą dozą szacunku ostrego napomnienia oraz perswazji agenta Znaku Zapytania po to tylko, by po tygodniu znowu do tego tematu powrócić.

Po prostu miał już dosyć pracy tego rodzaju. Nie dlatego, by nie zaspakajały one jego zbrodniczych instynktów, nie dlatego, by miał jakiegokolwiek inne powody do niezadowolenia. Po prostu miał już dosyć - nie chciał już dłużej być nieznanym zbrodniarzem. Bo i cóż za satysfakcja niszczyć, gdy nikt nie wie, kto jest niszczycielem; co za satysfakcja budzić panikę, gdy nie wiadomo nikomu, kto tę panikę budzi?

Mało już było Matuszce zniszczenia, trudów, krwi, stert połamanego żelaziwa, które było jeszcze niedawno cudem techniki ludzkiej. Mało było już tego wszystkiego Matuszce.

Marzył o czym innym. Marzył o tym, by wreszcie światu całemu stało się wiadome, że to on - a nie kto inny! - jest tym wielkim nieznanym zbrodniarzem, że to jego dziełem, był ów długi łańcuch katastrof poprzez Jüterbog po Biatorbágy, że to on siał grozę i śmierć.

Pragnął, by wreszcie stało się wiadome wszystkim, wszystkim, wszystkim, że wielkim nieznanym zbrodniarzem jest on - Sylwester Matuszka, nikomu nieznanym mieszkańiec Wiednia.

Cieszył się i radował myślą, że przyjdzie wreszcie chwila, kiedy nikomu nieznanemu nazwisko Matuszki obiegnie cały świat, kiedy słowo to czernić się będzie w wielkich tytułach dzienników, kiedy wymawiane będzie przez miliony z owym szczególnym akcentem, z jakim mówimy o potwornościach, przechodzących granice naszego zrozumienia.

Ujawnić się! Zdemaskować siebie samego! Przestać być nieznanym! Położyć kres konspirowaniu swej osoby! Powiedzieć dumnie i odważnie w twarz wszystkim trybunałom świata: to ja! Panowie, to ja Sylwester Matuszka. Przypatrzcie mi się dobrze. To ja wytrącałem przez kilka miesięcy z torów biegnące ku swemu przeznaczeniu luksusowe ekspresy. To ja wsłuchiwałem się z dreszczem rozkoszy w jęki i krzyki konających i rannych. To ja! Ja! Sylwester Matuszka!

Myśl ta, myśl ta o uwieńczeniu długiego szeregu terrorystycznych akcji, tryumfalnym wyjawieniem swego nazwiska, opanowała Matuszkę niepodzielnie.

Agent Znaku Zapytania tłumaczył, perswadował, przedkładał Matuszce, że grozi mu

w razie oddania się w ręce sprawiedliwości niechybna kara śmierci, ale terrorysta pozostawał niewzruszony.

- Proszę się nie obawiać - oświadczył nieznanemu mężczyźnie, który uczynił z niego wielkiego, nieznanego zbrodniarza - jeżeli oddam się w ręce władz, by wszyscy dowiedzieli się wreszcie, czego dokonałem, to nikogo nie „wsypię”, nikogo nie wydam. Przyznając się wreszcie, że działałem nie sam, przyznając się, że byłem jedynie pionkiem w ręku jakiejś organizacji, pomniejszyłbym swoją rolę, a tego nie zrobię. Zresztą!... Kogóż ja mogę „wsypać”? Nie znam pana, nie wiem, jak się pan nazywa. Nie wiem, gdzie pan mieszka. Proszę mnie nie odwozić od mego planu... Postanowienie moje jest nieodwołalne. Tylko śmierć mogłaby mi przeszkodzić w wykonaniu mego zamiaru.

- Tak! - rzekł agent Znak Zapytania. - A czy wiadomo panu, że Znak Zapytania karze śmiercią opornych? Pan jest nam jeszcze potrzebny. Nasza akcja nie dobiegła jeszcze do końca.

- Możecie ze mną robić, co chcecie. Służyłem wam długo i służyłem dobrze. Nappełniłem całą Europę przerażeniem i grozą. Zamąciłem spokój wielu rządów... Ja sprawiłem, że przed każdym dalekobieżnym pociągami biegnie jak gdyby cień śmierci, jakby widmo zagłady. Ja sprawiłem, że ludzie, którzy muszą wyruszać w dalekie podróże drżą i gotują się do drogi tak, jakby to miała być ich ostatnia droga. Wszystkiego tego nie osiągnąłby Znak Zapytania beze mnie. Czyż nie można teraz spełnić mojej prośby, czy nie można mi teraz pozwolić, bym spełnił największe marzenie swego życia? Sądzę, że mi się to słusznie należy. Zresztą na koniec dokonam dzieła, które będzie nowym uderzeniem gromu. Obmyśliłem to już szczegółowo.

- Jakież to dzieło?

- Jeżeli pozwolicie mi potem zdemaskować się i oddać się w ręce władz, to uczynię to, w przeciwnym razie możecie mnie zamordować, możecie ze mnie drzeć pasy, a nie przyłożę już ręki do żadnego zamachu.

- Przedstawię pana prośbę naszej organizacji. A jakiego to dzieła chce pan dokonać na ostatek?

- Chcę wysadzić w powietrze ekspres simploński.¹

Po oświadczeniu tym nastąpiła długa chwila milczenia.

Zniszczyć ekspres simploński, to było dzieło. To był czyn, który istotnie musiałby być gromem z jasnego nieba.

Agent Znak Zapytania popatrzał na Matuszkę spod przymrużonych powiek.

- Jakże pan tego dokona?

- Tak jak poprzednich zamachów... Dynamit...

- Ma pan gotowy plan?

- Oczywiście.

- Może pan scharakteryzować mi krótko ten plan?

Matuszka pokręcił głową przecząco.

- Ależ, proszę pana, Znak Zapytania musi bezwzględnie wiedzieć jaki jest pański plan działania...

- A ja panu nie powiem. Ani samemu Znakowi Zapytania.

- Dlaczego?

- Bo tak mi się podoba.

- Ale czy pamięta pan, panie Matuszka, co pana czeka za nieposłuszeństwo wobec jego woli?

- Nic mnie to nie obchodzi. Jestem człowiekiem, który równie dobrze zabija dla sportu, jak da się zabić dla sportu. Zresztą groźby pańskie są zupełnie głupie. Przecież i tak zejdem z tego świata... Do diabła!... Niechże pan już raz da mi spokój... Nie życzę sobie z panem więcej rozmawiać. Może pan zakomunikować swemu szefowi, że Sylwester Matuszka wysadzi w powietrze ekspres simpłoński, a potem, zaraz potem, obwieści całemu światu, że on jest sprawcą zarówno tego, jak i wszystkich innych zamachów kolejowych, pod których wrażeniem pozostaje cała Europa. Żegnaj pana! Pozdrowienia dla Znaku Zapytania.

- Pan igra z życiem, panie Matuszka.

- Bardzo lubię to zajęcie! Idź pan już wreszcie.

Agent Znaku Zapytania wzruszył ramionami.

- Obstaje pan przy swoim żądaniu?

- Ostatni raz powtarzam panu. Jeżeli wolno mi będzie po zamachu zdemaskować siebie i oddać w ręce władz, ekspres simpłoński wyleci w powietrze, w przeciwnym razie mowy już nie będzie o żadnych usługach dla was z mojej strony... Tak! A teraz, po raz ostatni, proszę iść sobie. Mam pana dosyć!

Jeszcze jedno wzruszenie ramion było odpowiedzią agenta Znaku Zapytania. Wszedł już bez słowa, uśmiechając się tylko drwiąco.

Przez parę dni następnych Znak Zapytania nie komunikował się z Sylwestrem Matuszką.

Wielki nieznany zbrodniarz żył tylko myślą o tym, co zamierzył i co poprzysiągł, że wykona.

Przygotował potężnej mocy maszynę piekielną z mechanizmem zegarowym i z

godziny na godzinę oczekiwał ostatecznej decyzji Znak Zapytania.

Decyzja ta zawarta w lakonicznej depeście: - Dobrze - nadeszła wreszcie zgodnie z przecuciami Matuszki i tegoż jeszcze dnia wielki nieznany zbrodniarz wysiadł z pociągu na stacji Iselle, położonej u południowego wylotu Tunelu Simplońskiego, na stacji Iselle, która stać się miała terenem nowego uderzenia gromu.

Nikt z nielicznych osób, jakie widziały tego niepozornego człowieka, opuszczającego przedział drugiej klasy, nie przypuszczał, że widzi w tym momencie potwora w człowieczym ciele.

Nikt z tych osób nie przypuszczał, że skromna walizka z brązowej skóry, jaką niósł ów niepozorny człowiek, zawiera w sobie straszny ładunek, który o oznaczonej godzinie miał zmienić ekspres simploński w ruinę dymiącego żelastwa.

Nikt nie zwrócił uwagi na fakt, iż człowiek ze skórzaną walizką pomaszzerował raźnie wzdłuż toru do wylotu tunelu i że pozostawał tam przez czas dłuższy.

Sylwester Matuszka zjawił się potem na stacji w Brigue - ostatniej stacji, na której staje express simploński przed zagłębieniem się w długą szyję tunelu - i spacerując bez troski po peronie czekał, aż ekspres wpadł w kłębach białej pary na peron.

Wówczas z biletem drugiej klasy w ręku wszedł do ostatniego przedziału ostatniego wagonu. Matuszka musiał nie tylko widzieć, musiał też odczuwać piekło, rozkoszne piekło katastrofy Simplon Expressu.

W stukocie kół pociągu, w rozdzierającym gwizdzie lokomotywy, w świcie wichrowatego pędu, w rozdygotanych konwulsjach tłoków kolosalnego parowca - zbliżało się do niego to straszne, co własnymi rękoma przygotował.

Zbliżało się nieuchronnie, nieubłagalnie... potworne, rozkoszne, okropne, cudowne.

Sylwester Matuszka upajał się, siedząc w ostatnim przedziale ostatniego wagonu, własną potęgą, upajał się nadzieją, że oto wkrótce nazwisko jego obiegnie kulę ziemską, budząc grozę, nienawiść, wstręt, cześć, uwielbienie.

A oni - pasażerowie simplońskiego ekspresu - wydani jego piekielną wolą na łup przeznaczenia szli do tego przeznaczenia nic nie wiedząc o niczym, nie spodziewając się niczego.

Toteż, gdy ekspres simploński wpadł w mroczną szyję tunelu, gdy zabłyśły lampy w wagonach, zachowywali się bez troski i wesoło, ciesząc się emocją jazdy przez słynny tunel...

Głupcy! Nie wiedzieli, że u wylotu Simplońskiego Tunelu czekała na nich zagłada. Nie wiedzieli, że u wylotu tunelu szczyrzy ku nim obnażone szczęki trupia głowa - ta sama trupia czaszka, jaka, ugarniowana złotymi zębami, drzemała na stole zarzuconym papierami

w mieszkaniu Matuszki w Wiedniu.

Głupcy! Nie wiedzieli, że na końcu tunelu, o niecałe pięćset metrów od stacyjki Iselle tańczyła na szynach pełnego hopków kankana w promieniach śmiejącego się słońca rozbawiona, uszczęśliwiona śmierć, wyciągając kościste straszliwe ramiona do nadlatującego ze skalistej gardzieli ekspresu.

Matuszka jest sam w przedziale. Siedzi u okna wpatrzony w dym, który bije od szyb wagonu, tłukąc się bezsilnie w wąskim tunelu...

Postanowił sobie, że drogę tę będzie mierzył uderzeniami serca, jednakże serce to, serce najpotworniejszego zbrodniarza, jakiego ziemia wydała ze swego łona, bije tak niespokojnie, tłucze się tak obłądnie, że wszystkiego można się doliczyć przy tym dziwnym instrumencie, wszystkiego, tylko nie czasu...

Matuszka idzie w drogę ku szczęściu, Matuszka pociągiem, który dąży do śmierci, dąży do nieśmiertelności, do sławy...

Wie, że nie zginie, że nie może zginąć. Gdyby jednak zginął, świat i tak się dowie, czym dziełem był Jüterbog, czym dziełem Biatorbágy, czym dziełem zniszczenie ekspres PLM (ParisLyonMarseille), czym wreszcie ruina Simplon Expressu...

W portfelu Matuszki, na piersiach, znajduje się kilka drobnym i gęstym pismem pokrytych kartek papieru. To spowiedź Matuszki - znajdą ją przy trupie, w portfelu, obok paszportu na obce nazwisko. Przeczytają i będą wiedzieli. Będą wiedzieli, kto zaczął, co zdziałał w czasie doczesnej wędrówki wiedeńczyk Sylwester Matuszka.

Przez Tunel Simploński gna, w dymy spowity, ekspres wydany na łup zniszczenia.

Miotła się w męce oczekiwania, czeka... czeka - czeka na moment wzniosłej ekstazy Matuszka, wielki nieznany zbrodniarz.

O, gdyby wiedzieli, że jedzie tak z nimi w jednym pociągu, w tym samym, któremu nazaczył kres potężnym ładunkiem dynamitu...

Wszystko z niebywałą przygotowal precyzją. Nasyp jest wysoki i stromy. O, radości, radości zbrodni dokonanej w rozkoszonym obłądnie.

Niepokój targa sercem Matuszki. A nuż zawiedzie misternie zbudowana piekielna maszyna, a nuż pociąg cudem jakimś niesamowitym uniknie katastrofy...

Lecz oto...

Ooooooooo...

To jest zbyt szybkie, by przeżyć to do głębi, to było zbyt piorunujące, by móc rozkoszować się każdym ułamkiem sekundy, w której się to stało.

Zaledwie ostatni wagon pociągu wypadł z mroków tunelu, śmierć uchwyciła pociąg w

swe ramiona, do piersi wyschłej przytuliła pieściwie.

Sylwestra Matuszki nie zawiódł precyzyjny mechanizm. Ucieszy się Znak Zapytania.

Ziemia rozchybotana, rozfalowana, usuwająca się spod nóg... Huk ogłuszający... straszny... Simplon Express zatrzymuje się na chwilę, na ułamek sekundy, po czym w orgii rwącego jego ciało, niszczącego wszystko dynamitu - wali się z nasypu...

Przez chwilę trwa cisza. Straszna, śmiertelna cisza, jak straszny przed sekundami był hałas eksplozji...

A potem nad pogruchotaną masą, która jeszcze przed minutą była dumnym simplońskim ekspresem, zrywa się jeden wielki jęk, jeden wielki krzyk, jeden bijący w niebo hymn rozpaczy...

Posterunek przedstacyjny alarmuje miejscowość Isselle. Cudem ocaleni wygrzebują się z gruzów, śpieszą z pomocą rannym...

Zjawia się na miejscu służba kolejowa, nadjeżdża wagon sanitarny.

Sylwester Matuszka żyje. Poza małymi potłuczeniami nie doznał żadnych obrażeń.

Stoi i patrzy... Patrzy i syci swe oczy, syci, karmi po raz ostatni swą chorą duszę... Stoi tak, odkąd wygramolił się z rozbitego wagonu.

- Panie! Jeżeli pan jest zdrow, proszę pomagać w akcji ratunkowej - słyszy jakiś głos koło siebie.

Rozgląda się, budzi się z zamyślenia. Rozgląda się raz jeszcze.

Wdrapuje się na jakiś wagon, na jakieś sterty po-giętego żelaza, szkła, drzewa.

- Obywatele! - woła. - Obywatele!

Dziwne słowa, dziwny głos w tej okropnej chwili. Oczy wszystkich zwracają się ku niemu. On zaś mówi, woła, krzyczy, by przytłumić jęki unoszące się nad polem śmierci.

- Obywatele! To zniszczenie - to moje dzieło. Słuchajcie! Słuchajcie mnie! Ja nie jestem wariatem... Nazwisko moje Matuszka, Sylwester Matuszka z Wiednia. Matuszka! Zapamiętajcie sobie dobrze to nazwisko. Ja - Matuszka - zniszczyłem ekspres simploński. Ja jestem sprawcą tej ruiny, moim dziełem są ranni i trupy. Ja dokonałem sabotażu pod Jüterbogiem. Moim dziełem jest Biatorbágy!... Czy mam mówić coś więcej? Ja! Ja sam! Ja, Sylwester Matuszka z Wiednia, jestem sprawcą tego wszystkiego... Na kolana hołoto: Bić czołem przed mą władzą, przed mą sławą!...

Wołał i krzyczał upojony rozkoszą tak długo oczekiwanego triumfu. Wołał i krzyczał tak długo, aż jakieś ciężkie ręce opadły mu na ramiona, aż na przegubach uczył zimne dotknięcie kajdanek.

Wówczas umilkł i dał się prowadzić bez oporu...

-

1 ekspres simplonowski - Od 1919 zaczął kursować Simplon Orient Express na trasie Paryż-Lozanna-Mediolan-Wenecja-Triest-Bukareszt-Stambuł przez najdłuższy w tamtych czasach kolejowy tunel Simplon wydrążony w masywie Monte Leone na wysokości 634-705 m n.p.m. i liczący 19,8 km długości. Złote lata pociągu przypadają na lata trzydzieste XX wieku.

Rozdział XXVI

FATALNE PYTANIE

Bezkarność zawsze rozzuchwala przestępcę.

Tak właśnie stało się z majorem Ludwikiem Semkowskim.

Szereg tajnych spotkań z sowieckim attaché wojskowym, towarzyszem pułkownikiem Bogowojem, udało się doskonale i nie ściągnęło na siebie niczych podejrzeń. Szereg dokumentów z rąk szpiega dostało się w ręce poselstwa sowieckiego i zostało skrzętnie sfotografowanych i skopiowanych, a nikt nie przypuszczał, że w sercu Sztabu Generalnego tkwi zdrajca i sprzedawczyk.

Major Semkowski oswoił się wreszcie z robotą szpiegowską, a atmosfera absolutnego bezpieczeństwa, z jaką dokonywana była ta robota, sprawiła, że zdrajca bardzo łatwo przywykł do swej nowej roli.

Okazało się, że szpiegostwo to praca wcale nie taka trudna i nie taka straszna. Okazało się, że szpiegostwo to robota popłatna. Okazało się, że nie zawsze szpiegowska robota zostaje zdemaskowana i „nakryta”... Oddalił się jakoś w umyśle majoraszpiega, zatarł się i stracił realne kształty grozy - straszliwy słupek, do którego przywiązują skazańca, rozplynęły się jakby we mgle ponure widma luf karabinowych wymierzonych w głowę i piersi. Raz jeszcze nie był diabeł tak straszny, jak go malują.

Major Semkowski zaczął już zapominać, dlaczego właśnie i po jak ciężkiej walce z sobą ugiął głowę w jarzmo, które jak dotąd nie było wcale jarzmem. Jął zapominać o tym, że oplątany przez starego sparaliżowanego emeryta kolejowego utrzymującego tajny dom gry na jednym z przedmieść Warszawy, zgodził się na rozpoczęcie roboty szpiegowskiej, ponieważ był w położeniu bez wyjścia, ponieważ był bezsilny w węzłach sprytnego szantażu.

Major zapomniał o tym szybciej, niż powinien był zapomnieć... Stało się to może dlatego, że usługi jego były dobrze opłacane. Jeżeli myślą sięgał czasem w tak bardzo niedaleką przeszłość, dziwił się, dziwił się samemu sobie, że wzdragał się przed rzeczą tak prostą, tak łatwo zrozumiałą i tak... dobrze płatną.

Akcja szpiegowska rozwijała się w najlepsze, częste i już regularne stawały się spotkania oficeraszpiega z towarzyszem pułkownikiem Bogowojem, spotkania odbywane stałą, wypróbowaną metodą w coraz to innej, w coraz to gdzieindziej oczekującej limuzynie.

Byłoby to może trwało jeszcze długo, bardzo długo, gdyby nie fatalny dla Znaku Zapytania przypadek, którego następstwa były doniosłe i niezwykle.

Przypadek ten, drobny i pozornie nic nie znaczący, mógł nie mieć żadnych następstw. Mógł nie mieć, ale miał je jednak. Stał się jak gdyby drobną grudką, która powoduje obsunięcie się potężnej, wszystko po drodze niszczącej lawiny.

Bezkarność rozzuchwala przestępcę.

Bezkarność rozzuchwalała również majora Semkowskiego.

Tuż koło poselstwa sowieckiego mieści się w sąsiedniej kamienicy XI Komisariat Policji Państwowej. Przed komisariatem stale kręcą się posterunkowi. Wiadomo - służba!

Nie obywa się zresztą i bez tego, by na poselstwo sowieckie nie zwracano bacznej uwagi. Wiadomo - traktatem ryskim zalegalizowano gniazdo os.

Major Semkowski nie mógł sobie później przypomnieć, jak to się stało. Zdaje się, wracał do domu po odprowadzeniu jakiegoś kolegi, z którym wstąpił na jednego, a który mieszkał na Lwowskiej.

Noc była od dawna, trochę mgły tłumilo blask ulicznych latarni.

Major Semkowski szedł wolno ulicą Poznańską. Czy myślał wówczas o czymś? Zdaje się, że tak. Myślał o słodkich ustach i dobrych oczach agentki NY-42, o tej najdziwniejszej kobiecie, jaką spotkał w życiu...

Może to był przypadek, a może ręka Przeznaczenia, dość, że gdy ocknął się ze swej zadumy, zauważył, że jest w pobliżu sowieckiego poselstwa.

Wielki gmach patrzył w pustawą już i nigdy nieruchliwą nadmiernie ulicę oczodołami czarnych okien, rzekłbyś w zupełnej martwocie...

- Poselstwo sowieckie!

Semkowski zatrzymał się mimo woli. Zatrzymał się na kilka metrów przed poselstwem, tuż obok bramy, wiodącej do XI Komisariatu Policji.

Przed bramą przechadzał się rosły, wysoki mężczyzna w granatowym mundurze posterunkowego policji.

I wówczas stało się to, co stało się początkiem wielkiej tragedii.

Jakiś zły demon podszeptał majorowi Semkowskiemu ów krok, będący najwyższym zuchwalstwem.

Może nie był to żaden zły demon, może to był tylko przypadek, a może było to po prostu Przeznaczenie.

Majorszpieg przystąpił do posterunkowego i zagadnął go jowialnie:

- No, jakże? Pilnujecie dobrze tych...synów bolszewików?

Posterunkowy bystrym wzrokiem prześlizgnął się po wojskowym płaszczu majora i zbadał krój jego rogatywki.

- A jakże, panie majorze! Włos im tu z głowy nie spadnie!

Dziwna fala gadatliwości ogarnęła naraz Semkowskiego.

- Nie o to idzie! Chodzi o to, by przez nich nie spadł nikomu włos z głowy. Siedzą tu szpicle w tym gmachu i szpiclują, i agituja na całą Polskę.

Posterunkowy nic nie odpowiedział.

- To dobrze się złożyło, bo to podobno czysty przypadek, że komisariat policji mieści się tuż obok gniazda tej czerwonej zarazy. Niewątpliwie, poza mundurową policją i cywilni agenci mają na oku ten domek pełen os.

- Zapewne, panie majorze.

- Fotografujecie pewnie każdego, kto wchodzi do poselstwa?

Posterunkowy raz jeszcze spojrzął bystro na majora.

- Tego ja nie wiem! - rzekł.

Nastąpiła chwila milczenia. Semkowski chciał skinąć ręką posterunkowemu i iść dalej, gdy ten nagle zastąpił mu drogę.

- A dlaczego pan major pytał mnie tak szczegółowo o te rzeczy? - ozwał się uprzejmie, ale jakimś dziwnym tonem, jakiego nie zauważył dotychczas major w jego głosie.

Semkowski nie zmieszał się ani trochę. Może to kilka kieliszków alkoholu dodało mu tak bezczelnej pewności siebie.

- Dlaczego pytam o to? Interesują mnie te rzeczy. Jestem oficerem Drugiego Oddziału Sztabu.

Posterunkowy nie ustępował, bardzo grzeczny i pełen szacunku, ale równocześnie stanowczy.

- Zmuszony jestem poprosić pana majora o legitymację...

Major Semkowski uczynił przeczący ruch głową.

- Nie! Pan zapomina, panie posterunkowy, że mówi pan z majorem sztabu głównego, a nie z cywilem. Nie jestem obowiązany do legitymowania się panu.

Posterunkowy zdawał się namyślać przez chwilę, co ma robić, wobec słów usłyszanych od oficera. Wreszcie zdecydował się.

- Jestem zmuszony, mimo to, poprosić pana, panie majorze, o legitymację służbową.

- Odmawiam i proszę o podanie mi swego nazwiska. Pańskie władze przełożone, panie posterunkowy, pouczą pana o przepisach, o których pan niema pojęcia.

Posterunkowy wyprostował się służbiście.

- Panie majorze! - rzekł - Sierżant żandarmerii Karol Wilbik melduje się posłusznie i prosi pana majora o legitymację.

Semkowski zdumiał się.

- Jak?

- Oto moja legitymacja, panie majorze. Jestem sierżant Karol Wilbik z korpusu żandarmerii. W przebraniu posterunkowego, z polecenia pułkownika Noskowskiego z Drugiego Oddziału Sztabu, pełnię służbę przed poselstwem. A teraz, proszę pana majora o legitymację.

Semkowski zdławił w sobie gniew, który go nagle ogarnął. Nie było rady. Sierżant żandarmerii w służbie miał prawo żądać od niego legitymacji.

Semkowski sięgnął do kieszeni mundurowej bluzy.

- Oto moja legitymacja!

Sierżant Wilbik rzucił okiem na legitymację, odczytał nazwisko, zwrócił legitymację majorowi i zasalutował.

- Dziękuję panu, panie majorze.

- Do widzenia wam, sierżancie Wilbik! - odparł swobodnie Semkowski. - Gdy zobaczę się z pułkownikiem Noskowskim, nie zapomnę o słowach pochwały dla was, za dobre pełnienie służby.

- Dziękuję panu, panie majorze! - powtórzył sierżant Wilbik.

Major Semkowski poszedł dalej, zły na siebie, iż zaczął tę głupią rozmowę. Ale któż mógł przypuszczać, że to sierżant żandarmerii przebrany w mundur posterunkowego?

Nie był jednak niespokojny. Był pewny, że nie będzie miała ta sprawa żadnych konsekwencji, był pewien, że spotkanie z sierżantem Wilbikiem na tym się skończy.

Stało się jednak inaczej. Może to był przypadek, może tak chciał los, a może to było po prostu Przeznaczenie.

Sierżant Wilbik nie zapomniał o tym spotkaniu. Nazajutrz rano, zdając raport ze swej służby, zameldował o tym pułkownikowi Noskowskiemu.

Pułkownik Noskowski namyślał się przez długą chwilę.

- Czy zapamiętaliście dobrze nazwisko i numer legitymacji tego majora.

- Tak! Major Konrad Daniłowicz. Numer 3804/11/1931. ST. GŁ.

- Konrad Daniłowicz? Hm! - Pułkownik Noskowski namyślał się długo. - To chyba omyłka - rzekł wreszcie.

- Nie! Nie pomyliłem się. Rzuciłem wprawdzie tylko okiem na legitymację, nie mogłem bowiem i nie chciałem, by nie budzić podejrzeń, badać jej dłużej, w każdym jednak razie nazwisko i numer legitymacji zapamiętałem doskonale. Mogłem odczytać swobodnie i jedno, i drugie, bowiem o trzy kroki ode mnie znajdowała się latarnia... Było zupełnie jasno.

- Hm! mruknął znowu pułkownik Noskowski, który cieszył się opinią małomównego człowieka. - To dziwne. To bardzo dziwne.

Słuchawka telefonu przy uchu. Telefon do odpowiednich biur. Żądanie informacji... Słuchawka wraca na widełki. Nowa rozmowa. Sierżant Wilbik czeka cierpliwie.

Wreszcie pułkownik Noskowski kończy rozmowę. Milczy długo i z wolna zapala papierosa.

- Sierżant Wilbik - mówi. - Jest tak, jak od razu myślałem. Oficera tego nazwiska nie ma ani w Drugim Oddziale Sztabu, ani w Sztabie, ani w korpusie oficerskim... Nie ma też legitymacji opatrzonej tym numerem. Zarówno nazwisko było fikcyjne jak i numer. Ta legitymacja była sfalszowana.

Nastaje znowu długie milczenie.

- Sierżancie Wilbik. Przypomnijcie sobie dobrze. Nie pomyliliście się?

- Nie! Dam się za to porąbać.

- To byłoby nierozsądne. Będziecie jeszcze potrzebni. Czy, oddając legitymację, zwróciliście uwagę na pieczęcie?

- Naturalnie, panie pułkowniku. Znam dobrze wszystkie pieczęcie. Na legitymacji były autentyczne.

- Albo świetnie, ładząco podrobione.

- Możliwe, panie pułkowniku.

- Są dwie ewentualności, sierżancie Wilbik. Albo to był ktoś przebrany za majora, albo był to istotnie wojskowy tego stopnia, nie wiadomo w jakim celu legitymujący się fałszywą legitymacją.

- Tak, panie pułkowniku.

- Jak zachowywał się ów osobnik w mundurze.

- Tak, jakby od urodzenia nie znał innego stroju poza mundurem oficerskim.

- Hm! Jeżeli byłby to cywil przebrany w mundur, to byłoby łatwe do zrozumienia okazanie fałszywej legitymacji i jego przebranie. Po prostu agent sowiecki, który chciał, dość zresztą niezręcznie, zbadać, jak jest pilnowane poselstwo. Jeżeli jednak był to istotnie major służby czynnej...

Pułkownik Noskowski bębnił pakami po stole.

- Jeżeli oficer legitymował się przed wami, sierżancie Wilbik, fałszywą legitymacją, to wniosek jest stąd prosty, chociaż bardzo smutny. Oficerowi temu zależało na tym, by prawdziwe jego nazwisko nie było znane. Jakież może być cel tej konspiracji? Jaki był cel owych pytań?

Pułkownik wstał gwałtownie z miejsca.

- Obym się pomylił! - rzekł. - Oby się okazało, że podejrzenia moje są niesłuszne, ale zdaje mi się, że sprawa ta pachnie szpiegostwem, Sierzancie Wilbik, zgłosicie się za trzy godziny po nowe rozkazy. Teraz możecie odejść.

Nie było ani chwili do stracenia. Rewelacyjny raport sierżanta Wilbika poderwał na nogi kilku wysokich oficerów sztabu. Na rozkaz szefa sztabu, któremu pułkownik zakomunikował natychmiast treść raportu Wilbika, zebrało się w gabinecie pułkownika trzech najwybitniejszych oficerów II Oddziału.

Poczęto badać i rozpatrywać sprawę, nicując ją na wszystkie strony.

- Jeżeli to był ktoś cywilny, przebrany za oficera - szukaj wiatru w polu - wypowiedział swą opinię major Brochwicz.

- Możemy tylko przypadkiem wpaść na trop tego osobnika. Trzeba wziąć pod uwagę, że będzie on teraz miał się na baczności.

- Niewątpliwie! Jeżeli był to jednak oficer?

- Jeżeli to był oficer, sprawa jest łatwiejsza. Jest rzeczą jasną, że nie mógł to być oficer innego garnizonu, jak tylko warszawskiego. Tylko oficer miejscowego garnizonu mógł mieć interes w posiadaniu, dla swych ciemnych celów, fałszywej legitymacji sztabu.

Pułkownik Noskowski przeciął kwestię.

- Nie ulega wątpliwości, że tak właśnie sprawa się przedstawia. Jestem daleki od przeceniania przedwcześnie wagi tej sprawy i równie daleki od lekceważenia jej. Stoimy wobec konieczności zetknięcia Wilbika z jak największą ilością oficerów garnizonu. Zaczniemy od Sztabu Głównego.

Pułkownik Noskowski przerwał.

- Biorę od panów słowo honoru, słowo oficerskie... niezależnie od tajemnicy służbowej, która panów obowiązuje, że o tym, co teraz powiem, nie dowie się nikt. Sierżant Wilbik od jutra rana pełnić będzie obowiązki nowego woźnego w sztabie i przerzucany będzie z biura do biura, z oddziału do oddziału. Może ta metoda zawieść na całej linii, ale Wilbik może też poznać owego oficera. Miał mu się czas dobrze przypatrzeć... Gdy ustalimy osobę owego oficera, będzie czas na obmyślenie dalszych kroków.

Pułkownik spojrzął na dwu oficerów, z którymi konferował, skinął głową i rzekł krótko:

- Panowie są wolni!...

* * *

Jeżeli coś niepokoiło majora Semkowskiego, jeżeli było coś, co napawało go troską i

co było dla niego zupełnie niezrozumiałe, to było to zachowanie się jego kochanki, agentki kontrwywiadu, którą znał nadal jedynie pod szyfrą NY-42.

Zjawiała się u niego codziennie, piękna uwodzicielka, przynosiła mu siebie i swe ciało i torturowała go wyrafinowane nieustannym uświadamianiem mu faktu, że w każdej chwili, za lada kaprysem, może go zdemaskować i wydać sądowi wojennemu.

Od chwili pierwszej dramatycznej wizyty był major Semkowski kompletnie we władzy tej kobiety, która opętała go zarówno swą urodą jak i tym, że posiadała jego straszliwą tajemnicę.

Major Semkowski miał możność przekonania się, że wiedziała o wszystkim, że wiedziała o każdym jego kroku... Z rozbijającym cynizmem, między jednym a drugim pocałunkiem, między jednym a drugim uściskiem, cytowała mu, gdzie i kiedy spotkał się z towarzyszem Bogowojem, jakie dokumenty wydawał, jakiej marki i barwy były limuzyny, w których następowały spotkania.

- Jeżeli wiesz to wszystko, dlaczego mnie nie wydasz? Dlaczego bawisz się ze mną, jak kot z myszą.

- Nie! Ja nie bawię się z tobą. Po prostu podobasz mi się piękny zdrajco. Jesteś zupełnie miłym kochankiem, a co więcej, potulnym kochankiem. Wiesz o tym, że mam cię w ręku, więc patrzysz mi w oczy, starasz się być miły... jesteś posłuszny i uprzejmy... A skoro mnie nie ma przy tobie, też myślisz o mnie. Myślisz o mnie tak, jak nie myślałeś nigdy, jak nigdy nie będziesz myślał o żadnej kobiecie. Bo jakąż masz gwarancję, czy nie strzeli mi coś do głowy, czy o tej, czy innej godzinie nie podejść do telefonu i nie powiem kilku słów, które będą brzmiały tak samo, jak wyrok śmierci? Jakąż masz gwarancję, czy pewnego poranku nie odezwie się do drzwi twego mieszkania złowróźbne groźne pukanie, czy nie zastukają o próg kolby karabinów, czy nie wejdzie jakiś młody oficer, nie zasalutuje ci po raz ostatni i nie poprosi w drogę... w ostatnią drogę, ciekawą i pełną straszliwych emocji... Jesteś w moim ręku, kochany majorze. To trudno. Trzeba się poddać losowi.

- A jak się skończy to wszystko, piękny szatanie?

- W bardzo prosty sposób. Przyjdzie czas, że znudzisz mi się, a wtedy...

Uśmiechnęła się, ukazując dwa rzędy wspaniałych zębów. Drapieżny ten uśmiech nie pozostawiał żadnych wątpliwości, co do losów majora Semkowskiego.

A Semkowski myślał istotnie więcej o swej dziwnej kochance, więcej, stokroć więcej, niż kiedykolwiek o innej kobiecie... Wstydział się tego i nie przyznawał się do tego przed samym sobą, ale bał się pięknej agentki. Taktyką swoją wprowadzała go w stan najwyższego zdenerwowania, które gasiła potem namiętnością pieszczot, by za chwilę znowu rozpocząć

swą grę, by rozpocząć pastwienie się nad szpiegiem.

- Może mi powiesz - zapytał ją Semkowski, gdy była raz u niego - ile otrzymujesz za swe usługi?

- Ile otrzymuję? Nic! Zupełnie nic, tylko zwrot kosztów i to kosztów rzeczywistych.

Pracuję ideowo.

- Ideowo? Z poczucia patriotyzmu?

- Tak jakby...

- Bardzo pięknie... Znajomość nasza trwa już, o ile się nie mylę, trzy czy cztery tygodnie... Przez ten okres czasu niejeden tajny dokument przeszedł z rąk moich do rąk Bogowoja, a ty na to pozwalasz? Ładna gorliwość w wykonywaniu swych obowiązków. Ładny patriotyzm...

Wzruszyła ramionami.

- Trudno! Kocham cię! Działasz na mnie - uśmiechnęła się.

- Kochasz mnie?... Jeżeli mnie kochasz...

- To co?

- To powinnaś zrobić wszystko, bym zaprzestał tej szpiegowskiej roboty, a ty zdajesz się być nawet zadowolona z tego, że brnę coraz głębiej.

- Ach! Mam cię uszlachetniać, mój ty bohaterze. To piękna idea. Czy ty naprawdę sądzisz, że nie mam nic lepszego do roboty. A jeżeli cię rozstrzelają, to czy zdaje ci się, że to będzie tak wielkie nieszczęście?

- Zdaje mi się, że z całą plastyką i bez przykrości wyobrażasz sobie moją egzekucję.

- O tak, ta myśl sprawia mi wielką przyjemność. Pomyśl, jak to pięknie zbudzić się rano i pomyśleć sobie, pijąc kawę na śniadanie: dziś rozstrzelano mego kochanka!

- Ja już zupełnie nie wiem, czy ty jesteś istotnie takim potworem, czy tylko grasz komedię?

- O to właśnie chodzi, żebyś nie wiedział.

I major Semkowski istotnie nie wiedział. Nie wiedział nic. Drżał przed tą dziewczyną, obawiał się jej, nienawidził jej, a zarazem pożądał jej, jak żadnej kobiety w życiu...

Ina Ordeyg grała swą wielką rolę naprawdę po mistrzowsku. Występując w roli agentki kontrwywiadu, działała na rzecz Znak Zapytania i utrzymywała Semkowskiego na szpiegowskim szlaku, obserwując go nieustannie i rejestrując pilnie każde jego słowo, każdą myśl głośno wypowiedzianą.

Mogła doskonale trzymać go w szachu, mogła doskonale grać rolę agentki NY-42, bowiem wiadomości o ruchach i pracach szpiegowskich Semkowskiego czerpała z

poważnego źródła.

Od towarzysza pułkownika Bogowoja, attaché wojskowego poselstwa Związku Socjalistycznych Republik Rad.

Tymczasem nad Semkowskim wisiało już niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo straszne, groźne, nieubłagane, tym groźniejsze, że majorszpieg niczego nie przeczuwał, że nie wiedział o niczym.

Sierżant Wilbik otrzymał dokładne instrukcje od pułkownika Noskowskiego i już od dnia następnego rozpoczął w gmachu Sztabu Głównego służbę woźnego z nieograniczonym prawem kręcenia się pod tym czy innym pozorem po wszystkich biurach sztabu.

Pułkownik Noskowski liczył na to, że Wilbik prędzej czy później natknie się na oficera w stopniu majora, który wiódł z nim tak dziwną rozmowę przed poselstwem sowieckim. Jeżeliby poszukiwania w sztabie nie dały rezultatu, Wilbik miał być przenoszony z jednego urzędu wojskowego, z jednej formacji do drugiej, dopóki jego wysiłki nad rozpoznaniem owego oficera nie okazałyby się beznadziejne.

Sierżant żandarmerii twierdził jednak z uporem, że zapamiętał sobie doskonale rysy twarzy, wzrost, sposób mówienia owego człowieka, który ubrany w mundur oficerski rozmawiał z nim na ulicy Poznańskiej.

Minęły dwa długie męczące dni, w czasie których sierżant Wilbik nie mógł się pochwalić rezultatami swych spostrzeżeń. Pułkownik Noskowski nie tracił jednak nadziei. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli wchodzi tu w grę szpiegostwo, to oficerszpieg najpewniej tkwi w II Oddziale, to bowiem dawało najdogodniejsze warunki do pracy szpiegowskiej.

Wreszcie trzeciego dnia sierżant Wilbik zgłosił się po godzinach urzędowania do pułkownika Noskowskiego.

Wysoki oficer II Oddziału Sztabu przyjął sierżanta natychmiast.

- No? Co słychać? - przywitał go już od progu. - Znowu dzień niepowodzeń?

Sierżant Wilbik potrząsnął przecząco głową.

- Melduję posłusznie, zdaje mi się, że nie.

- O... Słucham.

- Panie pułkowniku, czy mógłby pan mnie objaśnić, jak się nazywa ten major, który w Drugim Oddziale prowadzi referat komunikacji i taborów. Dosyć wysoki, ciemna cera... przystojny...

- Referat komunikacji? Prowadzi oficer, którego dobrze znam i do którego mam zaufanie. Jest to major Semkowski.

- Major Semkowski?

- Tak.

- W takim razie melduję posłusznie, panie pułkowniku, że w panu majorze Semkowskim poznaję owego majora sztabu, który legitymował się przed poselstwem sowieckim fałszywą legitymacją.

Pułkownik Noskowski wstał nagle od stołu i wyprostował swą wyniosłą, zwykle przygarbioną postać.

- Co mówicie, sierżancie?

- Jest tak, jak mówię, panie pułkowniku.

- To niemożliwe! Sierżancie Wilbik, musieliście się pomylić.

- Nie, panie pułkowniku. Raz jeszcze z całą stanowczością twierdzę, że osobnikiem w mundurze, który rozmawiał ze mną przed poselstwem sowieckim i który legitymował się jako Konrad Daniłowicz, był major Semkowski.

Pułkownik Noskowski usiadł z powrotem i jął bębnić palcami po stole.

- Sierżancie Wilbik - rzekł wreszcie po długim milczeniu. - Przyjdźcie no tu, bliżej. Zapalcie sobie papierosa. Tak! A teraz pomyślcie przez chwilę, jakie potworne zarzuty sformułowaliście przeciw znanemu i cenionemu powszechnie oficerowi.

- Melduję posłusznie, że wiem o tym, panie pułkowniku. Gdybym miał w tej sprawie zaryzykować naszywki sierżanta, na które sobie rzetelnie zapracowałem przez tyle lat służby, w której była i służba frontowa, nie cofnę tego, co powiedziałem.

- A zatem dobrze! Przeciw majorowi Semkowskiemu sformułowaliście bardzo ciężkie oskarżenie. Oskarżenie to zostanie zbadane. Sierżancie Wilbik! O każdej porze dnia i nocy musicie być do mojej dyspozycji, a teraz możecie odejść.

- Rozkaz, panie pułkowniku.

Za sierżantem Wilbikiem zamknęły się drzwi. Pułkownik Noskowski siedział i patrzył tępo przed siebie. Zdawał sobie doskonale sprawę, że meldunek sierżanta Wilbika jest zapoczątkowaniem wielkiej tragedii.

- Semkowski! - wyszeptał do siebie szef sztabu, gdy w pół godziny potem pułkownik Noskowski zdawał mu raport z wyników tajnej akcji w sprawie odszukania zagadkowego osobnika sprzed poselstwa sowieckiego... - Semkowski? Jego karta ewidencyjna jest, o ile mi się zdaje, bez zarzutu. W życiu prywatnym lubi dobrze popić i zawierać nowe i ciągle nowe znajomości z kobietami.

- Tak! Semkowski jest w służbie wzorowym oficerem, panie generale.

- Ha! Trzeba będzie sprawdzić, czy jest to istotnie człowiek bez zarzutu i oficer wzorowy, czy też - być może - pan Semkowski prowadzi podwójne życie i maskuje się tak

doskonale.

Szef sztabu wstał i przeszedł się spokojnie. Następnie zwrócił się do pułkownika Noskowskiego.

- Proszę od dziś rozpocząć obserwację majora Semkowskiego. Musi to być naturalnie, tak zrobione, by nie domyślał się niczego. Jeżeli Wilbik się omylił, zrobilibyśmy straszną krzywdę niewinnemu człowiekowi. Chcę być codziennie informowany o tej sprawie.

Pułkownik Noskowski wraca do swego gabinetu. Dzwonki telefonów. Jakieś postacie giną w drzwiach wiodących do jego biura.

Krótkie, powściągliwe rozkazy. Półsłówka, które trzeba rozumieć.

Wokół majora Semkowskiego zaczyna się zacieśniać żelazna obręcz podejrzeń i poszlak...

Szpieg nie wie o niczym. Jest dziwnie zaślepiony, dziwnie rozzuchwalony bezkarnością. Wyznacza nowe spotkania z towarzyszem pułkownikiem Bogowojem, przygotowuje nowe plany, by sprzedać je Sowietom.

Nic więc dziwnego, że agenci II Oddziału wpadli już na ślad, że - dzięki bystrości umysłu sierżanta Wilbika - są już na tropie i że z tropu nie zejną tak łatwo...

Rozdział XXVII

WOLNA... WOLNA...

- Proszę pani, był tu jakiś pan u pani. Powiedział, że przyjdzie o siódmej.

- A któż to taki, nie wiesz?

Ina Ordeyg zdjęła kapelusz z głowy i przyczesywała włosy przed lustrem.

- Nie wiem! Nie powiedział swego nazwiska, powiedział tylko, że jeszcze dziś będzie.

Miał do pani jakiś ważny interes.

- Hanko! A jak wyglądał ten osobnik?...

- Ja mu się tam nie przypatrywałam. Zresztą mówił ze mną bardzo krótko. To jedno wiem, że ubrany jak żebrak i zbiedzony bardzo.

- Wielka szkoda, że Hanka nie zapytała, czego on chciał ode mnie...

Ina Ordeyg zmywała twarz wodą kolońską.

- Jak ten osobnik przyjdzie - zdecydowała zainteresowana i zaciekawiona - proszę mnie zaraz poprosić.

Ina Ordeyg, agentka Znak Zapytania, grająca ostatnio rolę wywiadowczym NY-42, udała się do swej sypialni i rzuciła się na szeroki tapczan.

- Kto to mógł być? - zastanawiała się. - To ciekawe! To istotnie ciekawe.

Ina Ordeyg targał od szeregu dni niepokój, do którego bała się przyznać.

Znajomość z majorem Semkowskim rozpoczęła się na wyraźne życzenie emerytowanego sparaliżowanego urzędnika kolejowego, właściciela tajnego domu gry mieszczącego się w wielkim czerwonym domu wyrastającym na jednym z przedmieść Warszawy.

Zadaniem jej było czuwanie nad majorem, zadaniem jej było pilnowanie, by nie wyłamał się spod jarzma, jakie złożył na jego barki Znak Zapytania, zadaniem jej było dołożenie wszelkich starań, by major Semkowski zdobywał dla Znak Zapytania coraz to przedniejsze, coraz to nowsze wiadomości, by brnął coraz dalej i dalej w strasznym, wróżącym potworną śmierć, procederze szpiegostwa i zdrady.

Zadaniem jej było szpiegowanie wielkiego szpiega, pilnowanie, by ten wielki szpieg nie wyłamał się z raz obranej drogi, by ten wielki szpieg nie spróbował pracy na dwie strony.

I oto...

Ina Ordeyg wstydziła się. Ina Ordeyg bała się przyznać do tego sama przed sobą...

Ina Ordeyg zdradziła tych, którym służyła.

Nie w ten sposób, by wydała ich tajemnicę, nie w ten sposób zawiodła ich zaufanie.

Ina Ordeyg nie wydała jeszcze do tej chwili żadnych tajemnic terrorystycznej organizacji.

Ina Ordeyg była genialna, Ina Ordeyg była świetną, nieporównaną agentką, ale Ina Ordeyg była poza tym kobietą i stało się, że Ina Ordeyg - pokochała.

Stało się, że Ina Ordeyg pokochała tego, którego mocą swej urody, miała utrzymywać na ścieżkach zdrady i szpiegostwa.

Ina Ordeyg pokochała majora Ludwika Semkowskiego...

Broniła się przed tym uczuciem. Mówiła sobie, powtarzała sobie nie raz i nie dwa razy, że tego człowieka, tego właśnie jednego człowieka, kochać jej nie wolno.

I właśnie jego, właśnie jego jednego, jego jedyne pokochała, pokochała tak, jak nie powinna kochać kobieta wykreślona z liczby kobiet uczciwych, jak nie powinna kochać kobieta pozostająca w służbie wywiadu...

Z początku mówiła sobie, że to nic. Z początku mówiła sobie, że przecież jest zupełnie naturalną, a w gruncie rzeczy obojętną jej rzeczą, że w imię poleconego jej zadania daje swe cudnie rozkwitłe ciało temu czy innemu mężczyźnie.

Tak mówiła sobie, tak tłumaczyła sobie to wszystko, póki nie poznała - jego.

Gdy ujrzała go po raz pierwszy, krew wszystka spłynęła jej do serca... To był jej typ...

Wysoki, doskonale zbudowany brunet, o ciemnej, oliwkowej cerze Kreola... Major Ludwik Semkowski...

I wówczas zrozumiała, że go zdradzić nie potrafi. Zrozumiała, że od tej chwili Znak Zapytania stracił w niej współpracowniczkę i informatorkę...

Ina Ordeyg bez reszty zakochała się w majorze Semkowskim i czuła, że już niedługo zdobędzie się na wytrwanie w roli, w której trwała, że już nie długo wyzna mu wszystko.

Wiedziała, że lada dzień, w czasie, gdy będzie tonąc w głodnych, drapieźnych uściskach Semkowskiego, powie mu jaką dwuznaczną grała wobec niego rolę, powie mu, że nie była wcale agentką NY-42, współpracowniczką kontrwywiadu polskiego, lecz że była wywiadowczynią Znaku Zapytania! kontrolującą, czy Semkowski dobrze pełni swą szpiegowską służbę...

Co będzie wówczas?

Nawał myśli kłębił się w głowie Iny Ordeyg, gdy do drzwi sypialni zapukano cicho.

- Proszę pani, przyszedł ten pan, który...

- Już wiem! Proszę prosić...

Ina Ordeyg nie wiedziała, kto wejdzie do jej sypialni, czekała wsparta na rękę,

zaciekawiona, niepewna...

W drzwiach sypialni stanęła jakaś postać wysoka i wychudła.

Służącą nie omyliła się.

Mężczyzna ów był ubrany jak żebrak. Jakże też mogła go wpuścić do pokoju!

Przybyły miał na sobie przybrudzony, połatany szynel rosyjski, który wiele, bardzo wiele musiał już przejść w czasie swego istnienia. Twarz nieznanego okrywał szczeciniasty zarost, włosy jego rozwichrzone i niestrzyżone były już od dawna. Stan butów był zupełnie tragiczny.

Ina Ordeyg uniosła się na tapczanie. Ogarnęła ją fala gniewu na służącą. Przychodzących po prośbie nie wpuszcza się przecież do mieszkania.

- Czego pan sobie życzy? - spytała ostrym tonem.

- Nie poznajesz mnie, Inko?

Ina Ordeyg na dźwięk tych słów staje jak wryta. Twarzyczka jej jest blada jak płótno. Oddycha ciężko.

Naraz podbiega do obdartego gościa i nie zwracając uwagi na to, że jest brudny, nie zważając na wytarty szynel rosyjski, który zalatuje stęchlizną, nie zwracając uwagi na nieogolony zarost - rzuca się na szyję przybyłego i z płaczem zaczyna okrywać jego twarz pocałunkami.

Obdarty mężczyzna całuje ją również serdecznie.

- Wróciłeś, Jurku! Wróciłeś! Ale w jakim stanie!

Padają słowa bezładne, rzucane szybko, nerwowo, jakby w ciągu kilku minut chcieli opowiedzieć sobie to wszystko, co zdarzyło się w ciągu lat.

Ina Ordeyg sadowi gościa w fotelu. Dzwoni na służącą. Wydaje jej jakieś szybkie dyspozycje. A więc w pierwszym rzędzie butelkę starego, wzmacniającego wina, potem trzeba przygotować śniadanie, kąpiel, trzeba posłać po krawca. Jerzy ani chwili dłużej nie może pozostać w tym okropnym ubraniu.

Jerzy Iskrzyński jest oszołomiony. Jeszcze zdaje mu się, że to sen, że to nie rzeczywistość.

Zbyt bliskie są jeszcze wspomnienia Sołowieckich Wysp, zbyt bliskie lata potwornej katorgi, w zbyt błyskawicznym tempie zdarzyło się to wszystko, począwszy od zabicia bolszewickiego krasnoarmiejca, poprzez ucieczkę na morze, poprzez spotkanie szwedzkiego statku rybackiego, aż po przybycie do Gdyni.

Jerzy Iskrzyński zbiera powoli myśli. Dopiero teraz rozumie, że lata spędzone na Sołówkach zostawiły na nim swój ślad, rozumie, jak bardzo jest zmęczony.

- Uciekłem z Sołówek! - mówi półgłosem, skandując każde słowo, jakby w ten sposób chciał przekonać samego siebie, że to, co teraz jest, jest rzeczywistością. - Uciekłem z Sołówek. - Myślałaś już pewno, że nie żyję? - pyta Iskrzyński siostrę.

Ina Ordeyg przypomina sobie o istnieniu Znak Zapytania, przypomina sobie o barczystym mężczyźnie w czarnych rogowych okularach, który odwiedził ją w Casino de Varsovie i który oznajmił jej, że brat jej żyje...

- Nie! - odpowiada. - Zdziwisz się zapewne, ale wiedziałam, że żyjesz. Co więcej, wiedziałam, że jesteś więziony na Wyspach Sołowieckich.

- Wiedziałaś o tym?

- Tak! Dowiedziałam się o tym przypadkowo.

Ina Ordeyg drży, by brat nie pytał jej w dalszym ciągu, w jaki sposób dowiedziała się o tym, że był więziony na odciętych od świata Sołówkach.

Iskrzyński nie pyta jednak o to i Ina jest zadowolona, bowiem pragnie, by brat jej nie dowiedział się nigdy o pewnych szczegółach z jej życia i o jej służbie w sowieckim wywiadzie i o jej zależności od Znak Zapytania.

Zależność?

Nowa fala radości rozjaśniła twarz młodej dziewczyny. Jakże mogła zapomnieć o tym! Jakże mogła zatracić tak sens rzeczy! Przecież jej zależność od Znak Zapytania zaczęła się od tego, iż Ina Ordeyg dowiedziała się że w ręku Znak Zapytania jest los jej brata, że służba szpiegowska na rzecz owej tajnej organizacji może przywrócić mu wolność.

Teraz nie ma już tej zależności! Teraz brat jej - Jerzy Iskrzyński - wyrwał się już szczęśliwym, a niewiarogodnym wprost trafem z Sołówek... żyje! Siedzi tu, naprzeciw niej.

Ina Ordeyg jest wolna. Ina Ordeyg nie jest już zależna od Znak Zapytania...

Pieniądze?

Tak! Dostawała je za swe usługi i brała je bez skrupułów. Wszakże to była jedyna jej praca. Praca trudna, męcząca. Musiała być do dyspozycji Znak Zapytania o każdej porze dnia i nocy. Musiała być przygotowana zawsze i w każdej chwili do wyjazdu w daleką, niespodziewaną podróż... Musiała być przygotowana na aresztowanie.

Ale teraz i to się skończy.

Znak Zapytania stracił już w stosunku do niej przywilej szantażu. Ina Ordeyg nie chce już widzieć pieniędzy Znak Zapytania... Pozbędzie się nareszcie tego ciężaru, który ją tak gnębił. Będzie jej już teraz wolno kochać Semkowskiego, nie dla dobra wywiadu, nie dla utrzymania go w ryzach Znak Zapytania, lecz dla samej siebie.

Na myśl o szpiegowskiej robocie majora Semkowskiego bruzda przecina czoło

dziewczyny. Twarz jej jednak rozjaśnia się szybko. To nic! Pomówi zaraz jutro z Semkowskim... Przekona go mocą swej miłości... Pomoże mu zerwać węzły łączące go ze Znakiem Zapytania, namówi go, by przeszedł do rezerwy i by wyjechali wraz z Jurkiem - w trójkę! - daleko, na drugi koniec świata - jak najdalej od owej kamienicy na przedmieściu Warszawy, gdzie mieszka sparaliżowany stary, ponury mężczyzna...

Ina Ordeyg podbiega naraz do brata, przypada do niego i całuje go serdecznie.

- Co, Ino?

- Nic Jurku! O gdybyś ty wiedział, jak ja jestem szczęśliwa... Jak ja jestem szczęśliwa!

Rozdział XXVIII

PO RAZ OSTATNI...

- Dosyć! Dosyć!

Ina Ordeyg wysunęła się łagodnym ruchem z objęć kochanka.

- Jesteś nienasycony! - uśmiechnęła się. - Chcesz mnie na śmierć zacałować.

- Tak! Postanowiłem właśnie tak zrobić. To jest jedyny sposób, by pozbyć się agentki kontrwywiadu NY-42.

- Bądźże poważny choć na chwilę.

- Bardzo chętnie. Ostrzegam cię tylko, że już niedługo będę musiał wyjść.

- Wiem o tym! O siódmej wieczór masz spotkanie z Bogowojem na zbiegu ulic Polnej i Śniadeckich.

Semkowski zbladł.

- Skąd wiesz o tym? Widzę, że robisz postępy. Dotąd mówiłaś mi zawsze o fakcie spotkania, gdzie i kiedy miało ono miejsce. Dziś mówisz mi o nim przed moim spotkaniem z Bogowojem. Skąd wiesz o tym?

Ina Ordeyg uśmiechnęła się.

- Zaraz dowiesz się wszystkiego. Muszę z tobą teraz pomówić, tym bardziej muszę, że wiem, iż masz to nieszczęsne spotkanie.

- A więc mów, moja piękna.

- Słuchaj, Ludwiku, ja cię oszukałam.

- Oszukałaś mnie? Nie rozumiem?

- Musiałam cię zresztą oszukiwać, to była nakazana mi metoda... Ja nie jestem agentką kontrwywiadu NY-42... To wszystko jest zmyślane.

- Czymże więc jesteś? Pamiętaj, że nie znam przecież dotąd twego imienia.

- Teraz mogę ci już powiedzieć wszystko. Nazywam się Ina OrdeygIskrzyńska, jestem tancerką, a moje nom de guerre brzmi krótko Ina Ordeyg. Przyznaję się, że szpiegowałam cię, ale nie z ramienia wywiadu polskiego.

- Tylko.

- Z polecenia Znak Zapytania.

Semkowski otworzył szeroko oczy.

- Co?...

- Tak! Otrzymałam polecenie, by zająć się twoją osobą i by równocześnie baczyć, czy

dobrze i szczerze pracujesz dla tej organizacji... Wszystkie moje wiadomości o wydanych przez ciebie dokumentach, o spotkaniach z Bogowojem czerpałam - rzecz prosta - od starego paralityka zamieszkałego w dobrze znanym ci domu...

- Ach, tak.

Semkowskiemu jakby naraz kamień spadł z serca.

- Wiesz już teraz dlaczego mogłam tak dobrze odegrać rolę agentki NY-42?

- Teraz rozumiem już wszystko poza jedną rzeczą. Dlaczego mówisz mi o tym dziś?

Akurat dziś?

Ina Ordeyg pochyliła głowę, by ukryć zmieszanie.

- To też jest bardzo proste. Tym razem odwróciła się karta. Zakochałam się w tobie i jesteś dziś jedynym mężczyzną, którego kocham ponad wszystko, ponad życie.

- Ino!

- Nie mów teraz nic, posłuchaj. Posłuchaj i odpowiedz mi krótko: kochasz mnie?

- Tak!

- Chcesz, byśmy byli razem?

- Moja pierwsza odpowiedź jest zarazem odpowiedzią i na to pytanie.

- To dobrze! Słuchaj, Ludwiku! Zdradzę ci to, co do wczoraj było moją tajemnicą. Podobnie jak i ciebie, Znak Zapytania skłonił mnie do uległości szantażem... Brat mój, który jako inżynier wyjechał do Rosji, został tam uwięziony na Sołówkach... Znak Zapytania za wierną służbę obiecał mi wolność brata, za odmowę współpracy - rozstrzelanie go. Musiałam być posłuszną. Dziś...

- Dziś?...

- Brat mój jest już w Warszawie. Udała mu się rzecz niezwykła. Uciekł z wysp Sołowieckich. Jestem wolna. Słyszysz Znak Zapytania nie ma już nade mną władzy.

- Ale ma ją nade mną.

- Posłuchaj, jeszcze nie skończyłam. Brat mój chce wyjechać za granicę. Ma tam, gdzieś w Ameryce, przyjaciela, który ma wielką fabrykę... Chce wyjechać, żeby objąć u niego posiadłość, którą mu tamten kilkakrotnie przed wyjazdem do Rosji obiecywał. Depeszował już do Stanów... Chciałam ci zaproponować, jeżeli mnie kochasz - żebyś jechał ze mną i Jurkiem.

- To niemożliwe! Jestem oficerem służby czynnej.

- Złóż podanie o dymisję.

- Znak Zapytania nie dopuści do tego.

- Nonsens! Ma cię w ręku akurat tak silnie, jak ty jego. Wszyscy ci ludzie będą musieli milczeć. Obiecano ci zresztą pomoc, gdyby ci groziło niebezpieczeństwo... Załadaj

od Znak Zapytania paszportu, wytłumacz mu, że bez narażenia życia nie możesz dłużej prowadzić „roboty”... Nie zważaj na nic! Wyjedź za granicę!... Przecież przestępstwo twoje jest natury politycznej... Wszędzie uzyskasz prawo azylu. Połączymy się za granicą i razem pojedziemy do Stanów...

Semkowski zamyślił się.

- To niezły pomysł! - rzekł wreszcie. - Powrót do kraju będę miał jednak raz na zawsze zamknięty.

- To prawda! Ale to będzie pokuta za popełnione błędy. Będziesz za to miał mnie, a radę w życiu damy sobie przecież.

Semkowski podniecony wstał i począł przebiegać pokój. Myśl wyrwania się z władzy Znak Zapytania, myśl skończenia z przebrzydłą robotą szpiegowską olśniła go. Wyjechać za granicę z Iną? Czyż mógł być lepszy projekt. Pozbyć się wreszcie wiszącego wciąż nad głową niebezpieczeństwa? Odetchnąć po tak długim okresie męki, po tygodniach narażania się na zgubę... To byłoby cudowne!...

- Masz rację, Ino - rzekł. - Posłucham cię, moja droga, kochana. Poproszę dziś Bogowoja o paszport, jeżeli mi tego odmówi, podam się do dymisji. Wystąpię z wojska...

- To będzie twoje ostatnie widzenie z Bogowojem! Błagam cię, niech się to już raz skończy. Czyż nie wiesz, co by cię czekało, w razie zdemaskowania?

- Wiem. Przysięgam ci, że to będzie moje ostatnie z nim spotkanie.

Semkowski spojrział na zegarek.

- Muszę już iść! - zdecydował. - To nie potrwa długo. Ino, droga Ino moja, czy zaczekasz na mnie. Od jutra zaczynamy nowe życie, nowe życie bez Znak Zapytania, bez szpiegostwa, bez ryzykowania życia...

Podeszła do niego i ucałowała go.

- Cieszę się, że przekonałam cię tak łatwo. Widzę w tym dowód, że nie z własnej woli zacząłeś pracę dla Znak Zapytania i że mnie kochasz naprawdę. Idź, będę czekała.

- Postaram się wrócić jak najprędzej. Zjemy dziś razem kolację. Pojedziesz ze mną do Europejskiej?

- Nie! Raczej zjemy dziś kolację tu... u ciebie w domu.

- Stanie się, jak sobie życzysz.

Semkowski ujął w rękę tekę z czarnej skóry.

- Skończę już dziś z tym wszystkim - rzekł. - Mam w tej teczce kilka ważnych dokumentów, które wzięłem dla Bogowoja. Teraz już nie zdążę, ale zaraz po rozmowie z towarzyszem pułkownikiem odniosę te akta do sztabu i schowam na miejsce. Gdyby je tak

znaleźli przy mnie... Brr!...

- Przyniesiesz mi w każdym razie, że Bogowej nie dostanie już tych dokumentów?

- Bądź spokojna. Wrócą one jeszcze dziś do mego biurka w sztabie... Szkoda, że nie mogę tego załatwić przed spotkaniem z Bogowojem, No, idę. Dowidzenia, Ino.

- Do widzenia, Ludwiku. Powtarzaj sobie od dziś zdanie, które powiedział jakiś filozof, a którym ja dodaję sobie zawsze otuchy, że będzie lepiej.

- Jak brzmi to zdanie?

- Życie zaczyna się jutro...

- Nasze wspólne życie. Ino.

- Tak. Do widzenia!

* * *

Sierżant Wilbik nie mylił się. Sierżant Wilbik miał, niestety, rację.

W największej tajemnicy, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, jeszcze wahając się, jeszcze nie chcąc uwierzyć, jeszcze mając złudzenia, pułkownik Noskowski polecił roztoczyć czujną opiekę nad majorem Ludwikiem Semkowskim, opiekę zarówno w godzinach pracy biurowej, jak i poza służbą.

Pierwsze już raporty wzbudziły podejrzenie wytrawnego oficera II Oddziału, jakim był pułkownik Noskowski.

Dalsze raporty nie pozwalały już wątpić, że major Semkowski był szpiegiem. Pułkownik Noskowski, gdy jasne się stało, że Semkowski prowadził robotę szpiegowską, zameldował o tym szefowi sztabu. Szef sztabu rzucił tylko jedno zdanie, które dla pułkownika było punktem wyjścia dla dalszej akcji.

- Złapać go na gorącym uczynku, oddać pod sąd doraźny! - brzmiało polecenie szefa sztabu.

Od tej chwili na Semkowskiego rozpoczęło się wielkie polowanie. Nie wiedział o tym, nie domyślał się tego, że był nieustannie strzeżony.

Tymczasem śledzony był najmniejszy ruch Semkowskiego, aparaty podsłuchowe włączone były do jego domowego telefonu, stale w pewnej odległości za nim podążało kilku agentów wywiadu. W czasie nieobecności majora Semkowskiego w biurze II Oddziału otworzono jego biurko i przeszukano skrzętnie wszystkie szuflady, umieszczając potem wszystko na swoim miejscu, by major nie zorientował się, iż włamano się do jego biurka.

Podobnej rewizji dokonano, w nieobecności podejrzanego, również w jego mieszkaniu. Rewizja jednak, w przeciwieństwie do rewizji w biurku w Sztabie Głównym, nie dała najmniejszych rezultatów.

Wykryto natomiast i ustalono, w jaki sposób major Semkowski doręczał dokumenty poselstwu sowieckiemu. Wykryto tajemnicę doskonale zorganizowanych spotkań z attaché wojskowym poselstwa, towarzyszem pułkownikiem Bogowojem. Wykryto tajemnicę limuzyn różnych marek i różnych barw, które zatrzymywały się raz tu, raz tam, na z góry ustalonych skrzyżowaniach ulic.

Pułkownik po zbadaniu tych wszystkich okoliczności i po wysłuchaniu dyspozycji szefa sztabu, by ująć szpiega na gorącym uczynku, opracował plan działania, którego wykonanie miało zakończyć działalność oficeraszpiega.

* * *

Niebo było tego dnia pochmurne i mrok zapadł wcześniej. Latarnie uliczne płonęły przesłonięne woalami mgły, co było dla majora Semkowskiego okolicznością sprzyjającą.

Major Ludwik Semkowski szedł na spotkanie - na ostatnie spotkanie - z towarzyszem pułkownikiem Bogowojem, szedł z lekkim sercem, pełen pogody i wesela.

Miał wreszcie skończyć z tą „pracą”, która groziła mu ciągłym, a strasznym niebezpieczeństwem, miał wreszcie odetchnąć spokojnie i zrzucić z serca ów ciężar trwogi i niepewności, w jakiej żył w ostatnich tygodniach.

- Zażądam paszportu od Bogowoja - mówił do siebie - skłamię mu, że w sztabie powzięto pewne podejrzenia, że zauważyłem dowody jakby narastającego braku zaufania. Przedstawię mu, że i tak dużo zyskał przez współpracę ze mną, wytłumaczę, że dalsze działanie przy pomocy mojej osoby, może zgubić mnie, jego zaś narazić na wielkie przykrości. Obiecано mi dostarczyć paszport w ciągu kilku godzin. Gdybym go dostał dziś przed północą, jutro rano zamiast udać się do biura, w cywilnym ubraniu będę pośpiesznym pociągiem zdążył do Berlina i dalej. Im prędzej przekroczę granicę, tym będzie lepiej. A potem...

Potem spotka się za granicą z Iną i z jej bratem i razem porzucą na zawsze starą Europę, udając się do Stanów Zjednoczonych. Z Iną! Z Iną!...

Major Semkowski idzie szybko ulicami Warszawy i ściska pod pachą tekę z dokumentami, które zamiast sprzedać Bogowojowi, postanowił zwrócić Sztabowi Głównemu.

- Odżyję przy tej cudnej kobiecie i zapomnę o podłej, haniebnej przeszłości! - mruczy do siebie.

Zbliżał się, idąc ulicą Marszałkowską, do ulicy Śniadeckich.

Na zbiegu ulic między ulicą Śniadeckich a Polną, oczekiwać miała limuzyna towarzysza pułkownika Bogowoja.

Semkowski, idąc na to spotkanie, które nazywał z radością w duszy ostatnim, nie

zauważył, że w ślad za nim w pewnej odległości szło dwu ludzi, którzy rozmawiali z ożywieniem.

U zbiegu ulic Śniadeckich i Polnej, na rogu Nowowiejskiej i koło bramy wyścigowego gromadziły się niewielkie grupy ludzi, które to łączyły się ze sobą, to znowu rozpraszały. Ludzie ci jednak prawie nie mówili do siebie, trwając w denerwującym długim milczeniu. Padały rzadkie uwagi:

- Ani limuzyny, ani jego! - zauważył jeden z grupy, stojącej na rogu Nowowiejskiej.
- Taksówki gotowe?
- Tak! Szoferzy pouczeni.
- Nie zepsują sprawy?
- Jestem o to spokojny.
- A jeżeli nie przyjdzie?
- Przyjdzie na pewno. Tylko co go nie widać.
- Pamiętajcie więc! Teczka!
- Tak...

Woale mgły przysłaniają światła latarń i tłumią ich blask.

Na ulicy Śniadeckich o tej porze ruch nie jest duży.

Major Semkowski, odziany w cywilne ubranie, idzie krokiem energicznym, równym.

Mija róg ulicy Śniadeckich, staje, rozgląda się.

Dostrzegli go tropiciele. Przyczaili się. Czekają.

Major Semkowski widzi kilka kręcących się postaci, lecz daleki jest od podejrzeń.

Myśl jego daleka jest od przypuszczenia, iż grozi mu zdemaskowanie, teraz właśnie, gdy nie ma go już po co demaskować, gdy w swym namiętym, głębokim przekonaniu przestał być szpiegiem i sprzedawczykiem.

To, co ma się dokonać teraz, to jest prosta formalność, to tylko wycofanie się z zajmowanej pozycji.

Jedno tylko życzenie ma major Ludwik Semkowski. By jak najprędzej zjawiała się limuzyna towarzysza pułkownika Bogowoja, by jak najrychlej przeprowadzić z nim ostatnią, męczącą rozmowę, by odnieść posiadane przy sobie dokumenty z powrotem na swoje miejsce do sztabu - być wolnym jak ptak, swobodnym, po zrzuceniu z siebie wielkiego brzemienia powrócić do Iny, która czeka na niego, niespokojna, niecierpliwa, kochająca.

Płyną długie, męczące minuty, rozciągające się w nieskończoność. Każda z nich zdaje się być wiecznością.

Major Semkowski spogląda niecierpliwie na zegarek. Towarzysz pułkownik Bogowoj

spóźnia się tym razem.

Pułkownik Noskowski ukryty w jednej z bram okolicznych domów, spogląda również na zegarek.

Towarzysz pułkownik Bogowoj spóźnia się tym razem.

Lecz nie! Towarzysz pułkownik Bogowoj nie spóźnia się. Oto słychać już szum motoru samochodu nadlatującego ulicą Śniadeckich.

To limuzyna umówionego koloru. To limuzyna, wewnątrz której, ubrany w cywilny garnitur, wciśnięty głęboko w poduszki wozu, siedzi rozparty wygodnie attaché wojskowy poselstwa sowieckiego.

Limuzyna zatrzymuje się tuż przy chodniku w umówionym miejscu.

Semkowski wzdycha zadowolony.

- Nareszcie!...

Jakaś ręka otwiera od wewnątrz drzwiczki limuzyny. Semkowski wolnym krokiem podchodzi do samochodu.

I naraz dzieje się rzecz dziwna.

Kilka szybkich gwizdków mąci wieczorny letarg ulicy. Major Semkowski czuje, że jakieś ręce - wiele, wiele rąk - chwytają go za ramiona, czuje w tyle czaszki chłód przyłożonej do ciała lufy rewolweru. Słyszy głos gniewny, zaciekły:

- W tył, szpiclu!

Równocześnie taksówki stojące na przeciwległej stronie placu ruszają jakby na komendę i ustawiają się prostopadle do chodnika w ten sposób, że jedno z nich stają przed, inne za limuzyną, w której siedzi zmartwiały ze strachu sowiecki dygnitarz. Limuzyna jest unieruchomiona.

Major Semkowski pojmuje błyskawicznie. Jest schwytany. Nie rozumie w tej chwili doniosłości tego faktu, nie ogarnia jego skutków. Przypomina sobie jedynie, iż ma przy sobie tekę z dokumentami, które go gubią.

Ruchem podyktowanym instynktem Semkowski ciska ową tekę do wnętrza samochodu, pod nogi Bogowoja, po czym daje się bez oporu obezwładnić, rozbroić z posiadanego rewolweru i przeprowadzić do bramy.

W bramie tej spotyka się twarz w twarz z pułkownikiem Noskowskim. Wzrok oficera jest smutny, czai się w nim przygnębienie.

- Panie majorze, pan?... pan?...

Semkowski rusza ramionami.

- Panie pułkowniku! - mówi. - Pan tego nie zrozumie. Gdybyście jednak wiedzieli, jak

mało byłem szpiegiem, wtedy, przed chwilą, gdy mnie aresztowano. Gdyby pan wiedział!...

Tymczasem agenci II Oddziału z obydwu stron dopadają drzwiczek limuzyny. Unoszą z jej wnętrza rzuconą przez Semkowskiego do wozu tekę, przy czym towarzysz pułkownik Bogowej odbiera kilkanaście dobrze zasłużonych uderzeń w głowę, twarz i piersi.

Attaché sowiecki woła coś przerażony pewien, że wybiła jego ostatnia godzina. Pokazuje legitymację. Jest członkiem korpusu dyplomatycznego. Jest nietykalny!

Tamci oglądają legitymację. Udają zdziwienie. Salutują grzecznie. Nigdy by nie przypuszczali. Ale któż by też mógł mniemać, choćby przez chwilę, że pułkownik Bogowej będzie się zajmował takimi rzeczami.

Legitymacja wraca do rąk towarzysza pułkownika. Taksówki tarasujące limuzynę odsuwają się. Droga jest wolna. Niechże jedzie towarzysz pułkownik Bogowej. Niechże jedzie szybko!...

Major Semkowski bez słowa protestu daje się przeprowadzić do taksówki. Siada obok niego pułkownik Noskowski i jeszcze jeden oficer - naprzeciw dwu żandarmów.

- Do komendy miasta! - pada rozkaz.

Taksówka rusza. Semkowski uśmiecha się dziwnym uśmiechem.

- Widziałem się z Bogowojem istotnie po raz ostatni! - przebiega mu przez myśl.

I naraz przed oczyma staje mu wszystko to, co czeka go teraz. Przechodzi go dreszcz grozy.

- Trzeba wytrwać! - szepczą poblądłe wargi.

Semkowski wodzi wzrokiem po twarzach tych, którzy go wiozą i widzi, rozumie, że ani jedna z tych twarzy nie jest mu przyjazna.

Aresztowanego ogarnia uczucie zmęczenia i apatii. Opiera się o poduszki samochodu i nie myśli już o niczym - nawet o Inie. Będzie myślał o niej bardzo wiele, lecz znacznie później.

Ina Ordeyg zaś czeka na powrót Ludwika Semkowskiego.

Czeka cierpliwie w pustym mieszkaniu, kiedy wreszcie zgrzytnie klucz w zamku, klucz obrócony ukochaną, drogą ręką, kiedy ukaże się w drzwiach Ludwik i powie jej, że wszystko jest skończone, że przeszłość jest przekreślona, że przyszłość radosna i niezmacona czeka ich oboje.

Posuwają się po tarczy wskazówki wielkiego zegara, wybijają melodyjnie kwadransy. Powinien już być. Powinien być już dawno. Czemu się spóźnia? A prawda, miał jeszcze wpaść do sztabu, pozostawić tamte nieszczęsne dokumenty. Mimo to jednak powinien już być... Konferencja z Bogowojem mogła trwać dłużej, może się upierał... O, oby już raz

powrócił!

Ina Ordeyg miota się po mieszkaniu Semkowskiego targana niepokojem. Łowi uszami każdy szmer, każdy szelest.

Czemu nie wraca tak długo? Czemu nie wraca?

Ina Ordeyg czeka na powrót majora Semkowskiego. Będzie czekała na ten powrót długo... długo... długo...

-

1 nom de guerre (fr.) - pseudonim.

Rozdział XXIX

ZNACZONA KOPERTA

Był to może tylko zbieg okoliczności, a może było to po prostu przeznaczenie. W każdym razie daty te zbiegły się i zgodne były ze sobą już nie co do dnia, ale co do godziny.

Stało się te bowiem tego samego wieczoru, kiedy agenci II Oddziału przy zbiegu ulic Polnej i Śniadeckich aresztowali oficeraszpiega, majora Ludwika Semkowskiego.

Właściciel prywatnego biura detektywów pod firmą Sfinks, Olgierd Gryf, nie mógł przeżyć swej porażki i pełen wściekłości wspominał jeszcze chwilę, kiedy został usypiony narkotykiem przez nieznaną kobietę, jaką zastał w swym mieszkaniu i kiedy to wykradzono mu z biurka zdeponowaną u niego kopertę z napisanym anilinowym ołówkiem na prawym dolnym rogu znakiem zapytania.

Koperta ta zawierała kopię raportu nieszczęsnego agenta Intelligence Service, Rogera Crandalla, oznaczonego w rejestrach angielskiej służby wywiadowczej kodem Th-113, kopię raportu, którego oryginał skradziono w hotelu Atlantis owej nocy, kiedy Roger Crandall został w podstępny sposób otruty. Ów raport agenta Th-113 zawierać miał rewelacyjne wiadomości o Znaku Zapytania, którego demaskował i którego obdzierał z szat tajemnicy.

Olgierd Gryf nie mógł przeboleć, iż ta koperta ze znakiem zapytania wypisanym anilinowym ołówkiem na prawym, dolnym rogu, dostała się w ręce organizacji, nie mógł odżałować, iż miał w ręku materiał do zdemaskowania szpiegowskoterrorystycznej organizacji i że materiał ten z ręki wypuścił.

O, gdyby w ręce jego wpadł kiedy ten piękny szatan, który go wystrychnął na dudka. O, gdyby napotkał swą uroczą, uwodzicielską pogromczynię. Policzyłyby się z nią z nawiązką.

Dopiero po długich, po wielu długich tygodniach, które splatały się w miesiące, wybiła godzina Olgierda Gryfa, a wybiła ona równocześnie z godziną, w której aresztowany został major Ludwik Semkowski.

O godzinie tej zadzwoniono do drzwi mieszkania Olgierda Gryfa.

Detektyw podniósł się niechętnie od biurka. Nie lubił, by przeszkadzano mu w pracy.

Otworzył drzwi dość hałaśliwie.

- Proszę...

W drzwiach stał jakiś człowiek, którego twarz wydała się Olgierdowi Gryfowi znajoma. Nie mógł sobie tylko przypomnieć, skąd zna tę twarz, gdzie ją już widział.

Olgierd Gryf zauważył tylko, że człowiek ten ubrany jest w jesionkę czarnego koloru i

że kapelusz jego przepasany jest wstążką, kłócaącą się jaskrawo z kolorem nakrycia głowy.

- Czym mogę panu służyć?

- Nie przypomina mnie pan sobie? Byłem już tutaj raz u pana.

- Możliwe! Twarz pana wydaje mi się znajoma. Nie przypominam sobie jednak...

- Nazwisko moje chwilowo panu nic nie powie, panie doktorze. Może przypomni pan sobie, gdy panu powiem, że byłem u pana przed wieloma tygodniami pewnego wieczoru, po to tylko, by jako depozyt, wręczyć panu kopertę ze znakiem zapytania.

- Ach, to pan...

Olgierda Gryfa ogarnia naraz zakłopotanie. Co odpowie, gdy ów człowiek zażąda zwrotu depozytu? Czy ma mu powiedzieć, że koperta owa zawierająca bezcenny, ostatni raport Rogera Crandalla została wykradziona z jego biurka?

- Niechże pan pozwoli do pokoju - mówi Gryf do nieznanego. - Proszę... niech się pan rozbierze! U mnie jest zawsze silnie napalone.

- Właśnie chciałem pomówić z panem o owej kopercie - mówi nieznanomy, siadając w fotelu. - Czy ma pan ją u siebie?

Olgierd Gryf patrzy prosto w oczy przybyszowi.

- Wykradziono mi ją! Wykradziono mi ją, niestety, a ja dowiedziałem się, na nieszczęście zbyt późno, że zawierała ona ostatni raport agenta Intelligence Service, agenta Crandalla. Może pan mieć do mnie słuszną pretensję, że...

- Nie mam żadnych pretensji! - odpowiedział szybko gość. - Zapewniam pana jednak, że zawiedli się ci, którzy tę kopertę panu wykradli. Nie zawierała ona nic, poza kilkoma czystymi kartkami papieru.

-?

- Tak! Zaraz pan zrozumie. Kopertę z kopią ostatniego raportu Crandalla otrzymałem na kilka godzin przed jego śmiercią, której oczekiwał, wiedział bowiem, że prześladowcy nie cofną się przed niczym, by zmusić go do milczenia, a do milczenia o tym mogła tylko śmierć zmusić Cradalla. Otóż złożyło się tak, że prześladowcy Cradalla wypenetrowali, że agent Intelligence Service wręczył mi ową kopertę i poczęli również dybać na mnie. Byłem jednak ostrożny i z góry przygotowałem sobie drugą taką samą kopertę, w której umieściłem puste kartki papieru. Gdy pewnego wieczoru zauważyłem, że jacyś podejrzani ludzie śledzili mnie, idąc za mną trop w trop, postanowiłem splatać im figla - udałem się do pana, gdzie zostawiłem kopertę zawierającą czysty papier, po czym najspokojniej wyszedłem z bramy domu, w którym pan mieszka. Nie pomyliłem się. Doszli do prostego wniosku, że złożyłem u pana uciążliwy depozyt i dali mi spokój.

- A co się stało z drugą kopertą, zawierającą kopię raportu?

- Mam ją przy sobie. Crandall życzył sobie, bym otworzył ją przy świadku. Mam do pana zupełne zaufanie, dlatego w pana obecności chcę otworzyć kopertę i zapoznać się wraz z panem z treścią raportu...

Przybyły wydobyl z kieszeni kopertę i rozerwał ją.

- Dlaczego dziś, dlaczego dopiero dziś pan to zrobił? - wybuchnął detektyw zdziwiony odpowiedzią nieznajomego.

- O, to cała historia - uśmiecha się tamten. - Spóźnienie jest istotnie fatalne, ale też i fatalne wpłynęły na to okoliczności. Zapewne pan zauważył, że chodzę teraz o lasce, czego dawniej nie czyniłem.

- Istotnie!

- Pech chciał bowiem, panie detektywie, że w niecałe dwie godziny po wizycie u pana wpadłem pod przejeżdżający samochód.

Gryf spojrział na mówiącego i dopiero teraz dostrzegł, że twarz człowieka w szarej jesionce nosi ślady długiej ciężkiej choroby.

- Pan chorował? - zapytał detektyw.

- Czy chorowałem? Drogi panie! Stan, w którym po tej katastrofie samochodowej przeniesiono mnie do szpitala, nie był wesoły, o nie! Proszę sobie tylko wyobrazić: obie nogi połamane, wstrząs mózgu, liczne wewnętrzne obrażenia! Wystarczy? Co? Przez długie tygodnie byłem między życiem a śmiercią, potem przez wiele dni leżałem ciężko chory i - rzecz prosta - jeżeli miałem wówczas zdolności myślenia o czymkolwiek, z pewnością myślałem o wszystkim innym, tylko nie o tej kopercie, która przez długi czas spoczywała wraz z moim ubraniem i z innymi rzeczami w poczekalni szpitalnej.

Nieznajomy pan przerwał i odetchnął głęboko.

- Dziś popołudniu wypisałem się ze szpitala... Pojechałem na godzinę do mego samotnego kawalerskiego mieszkania, załatwiłem najważniejsze sprawy osobiste związane z tak długą nieobecnością w domu i oto jestem u pana.

- Pan mi wybaczy. Pańskie nazwisko?

W odpowiedzi na to pytanie gość dobył biletu wizytowego i wręczył go Gryfowi.

- Pragnąłbym bardzo i nawet proszę o to wyraźnie, by moje nazwisko nie było wymieniane w związku z tym wszystkim! Jestem człowiekiem prywatnym, pracownikiem zagranicznej agencji ubezpieczeniowej... Z Rogerem Crandallem łączyła mnie szczerą przyjaźń i nic poza tym... Z żadnym wywiadem nigdy nic nie miałem wspólnego!

Detektyw przebiegł wzrokiem bilet wizytowy.

- Przyrzekam panu, że nazwisko pana zostanie osłonięte najgłębszą tajemnicą, cokolwiek by zawierał raport Rogera Crandalla!

- A zatem wręczam panu zawartość koperty.

Człowiek o lasce wyjął z koperty kilka cienkich kartek papieru pokrytych maszynowym pismem i podał je detektywowi.

Gryf ujął je w chciwe ręce i jął nerwowo przebiegać oczyma angielski tekst raportu.

Po raz pierwszy od dawna, od bardzo dawna, utracił swój spokój. Ręce poczęły mu drżeć. Szybko przerzucał kartkę po kartce.

Człowiek o lasce obserwował go spod przymrużonych powiek.

Olgierd Gryf skończył pośpiesznie czytanie raportu Crandalla i spojrzął na swego gościa błyszczącymi oczyma.

- Czy zna pan treść tego raportu?

- Skądże znowu!

- Niech pan czyta! Niech pan czyta! Należy się panu słuszenie to wyróżnienie, by pan przed innymi poznał treść tego raportu!

Gryf podbiegł do telefonu.

- O, czemuż wcześniej nie znałem treści tego raportu! Czemu wcześniej nie otrzymałem tej błogosławionej koperty! Znak Zapytania już dawno należałby do przeszłości...

Telefony. Do ministerstwa spraw wewnętrznych, do głównej komendy policji, do komendy miasta... do urzędu śledczego.

Szybkie, jednym tchem wyrzucane słowa. Urywane zdania... Słuchawka na widełki! Słuchawka znów do twarzy! Hallo! Hallo! Hallo! Zajęte? Co, jeszcze zajęte? Podam inny numer! Do licha, niechże pani posłucha... Czy?... Tak!... Tak!... Tak!...

Olgierd Gryf rzuca słuchawkę telefoniczną i zrywa się tak gwałtownie, że omal nie przewraca stoliczka, na którym stoi aparat.

- Idziemy! - woła do człowieka o lasce. - Do najbliższej taksówki. Za kwadrans konferencja w ministerstwie spraw wewnętrznych.

Gryf ciągnie za sobą schorowanego pana, nie zważając, że opuścił on szpital przed kilku godzinami.

Szybko - szybko - szybko!

Pośpiech jest teraz wszystkim.

Konferencja w ministerstwie trwa krótko. Naczelnik wydziału bezpieczeństwa wydaje krótkie treściwe rozkazy. W rękę ściska, jak drogi skarb, ostatni raport nieszczęsnego agenta Th-113.

Jeszcze kwadrans, jeszcze dziesięć minut, a Znak Zapytania będzie zniszczony. Raport Crandalla demaskuje go wraz z najważniejszymi jego komórkami za granicą. Raport Crandalla ujawnia, że siedzibą, że centrum akcji Znak Zapytania jest Warszawa.

Zaraz pójdą depesze, pójdą radiogramy do stolic państw europejskich. Policja kontynentu będzie miała pracowity wieczór. Będzie miała znojną noc.

Dwa samochody policji - granatowe mundury najeżone bagnetami - ruszają w drogę. W jednym z samochodów siedzi Olgierd Gryf, uśmiechnięty, podniecony. Późno przyszła zemsta za uśpienie go, za tryumfalną wizytę, jaką złożyła u niego jedna z agentek Znak Zapytania. Późno przyszła, lecz przyszła!

Samochody policyjne zdążają na jedno z przedmieść Warszawy. Zatrzymują się na zbiegu dwu ulic, ulic ciemnych i źle oświetlonych.

Słowa komendy padają szeptem. Najściślejsze instrukcje są już wcześniej wydane.

Policja otacza wysoki dom, dom z nietynkowanej cegły. W nim rezyduje, w nim przebywa wódz organizacji Znak Zapytania. Chwila jeszcze, a terrorystyczno-spiegowskie gniazdo zostanie rozniesione przez władze bezpieczeństwa.

Miarowo wybijają takt buty, wchodzących na schody urzędników policji.

Pukanie do drzwi mieszkania, gdzie mieści się tajny dom gry.

Cisza.

Komisarz policji robi przeczący gest. Niema co bawić się tym wszystkim! Crandall zapewne nie mylił się w swym ostatnim raporcie. Wszakże zapłacił życiem to, że przeniknął prawdę, że wiedział zbyt wiele.

Pod kolbami karabinów padają wyważone drzwi.

- Ręce do góry!

- Hej tam! Ręce do góry!

- Stać! Nie ruszać się!

Agenci biegiem przebywają pokoje tajnego domu gry. Olgierd Gryf bieży na ich czele.

Kierują się do małego kantorku, gdzie za oszklonymi drzwiami...

Roger Crandall nie mylił się!

Za stołem siedzi nieporuszony, uwięziony na miejscu paraliżem nóg, przykuty do fotela na kółkach... wódz organizacji - Znak Zapytania!

Agenci policji zatrzymują się w drzwiach. Stoją chwilę zdziwieni.

Starszy siwy pan przykuty do fotela na kółkach, mężczyzna o włosach białych jak śnieg, o bystrych mądrych oczach i miłym uśmiechu patrzy na nich spokojnie. On - wielki

zbrodniarz! On - mózg organizacji! On - nieruchomy, pozbawiony władzy w nogach, kierujący ze swego małego kantorku akcją terrorystyczną w całej Europie. On - rzekomy emeryt kolejowy. On - właściciel tajnej jaskini hazardu. On - nieruchomy pająkkaleka, który wynalazł Matuszkę, który wszystkie państwa kontynentu pokrył siecią swej organizacji. On - towarzysz wielki zaufany, wielki wtajemniczony Sowietów.

Nie czeka, aż powiedzą mu zwykłą formułę zaczynającą się od słów W imieniu prawa... Jest zaskoczony, lecz przygotowany, jak zawsze. Kiedyś stać się to przecież musiało. Uprzedza ich i mówi, zwracając się do Gryfa i do komisarza policji.

- Panowie przyszli po mnie?

Równocześnie w rękę jego błyska szklana rurka, podnosi ją do ust. Zanim zdążyli mu przeszkodzić, gryzie zębami kruche szkło, bierze chciwie na język zawartość rurki.

Podbiegają do niego. Chwytają go za ręce, lecz on pochyla już bezwładnie głowę i patrzy w sufit szeroko otwartymi oczyma, które okrywa krepą wiecznych mroków dla wszystkich równie dobrotliwa, wobec wszystkich równie wszechmocna śmierć.

- Cyjanek potasu! - szepce Gryf.

Kim był pozornie emerytowany urzędnik kolejowy, skąd przybył, jak się nazywał naprawdę, co robił w życiu, jakie były jego dzieje - nikt nigdy nie zdołał tego zbadać.

Pozostał po śmierci tym, czym był za życia - Znakiem Zapytania.

Rozdział ostatni

ŻYCIE ZACZYNA SIĘ JUTRO!...

Nad salą rozpraw sądu wojennego unosi się powiew śmierci.

Sala jest wielka i zionąca chłodem. Sala widowiskowo-koncertowa w więzieniu wojskowym przy ulicy Dzielnej pośpiesznie przerobiona na salę obrad doraźnego sądu wojskowego.

Przed gmachem więzienia posterunki żandarmerii z bagnetami na broni.

Obrady sądu wojennego otacza najgłębsza tajemnica. Dostęp do więzienia jest zamknięty. Trzech podoficerów u wejścia sprawdza przepustki i wpuszcza tylko tych, którzy mają wezwania na rozprawę majora Ludwika Semkowskiego oskarżonego o szpiegostwo na rzecz ościennego państwa.

Nad salą rozpraw sądu wojennego unosi się groza śmierci.

Poważna i surowa jest twarz przewodniczącego. Poważne i surowe są twarze asesorów.

Ten, który stoi przed nimi, zhańbił nieskalany mundur oficera armii polskiej najohydniejszą ze zbrodni, zbrodni jakiej nie przebacza ani państwo, ani armia, ani społeczeństwo.

Surowa jest twarz prokuratora, poważna i smutna jest twarz obrońcy.

Semkowski wyprostowany, opanowany szalonym wysiłkiem woli, odpowiada na pytania sądu.

Nie ma nic do ukrywania, nie ma nic do zatajenia, zeznaje tylko tak, aby najmniejszego podejrzenia nie ściągnąć na Inę Ordeyg, na Inę, która - jak o tym wie od obrońcy - wyszła cało z pogromu organizacji Znak Zapytania.

Nie ma nic do ukrywania! Dowody jego winy spoczywają w tece przed przewodniczącym sądu. Są to owe dokumenty, które znaleziono przy nim w chwili aresztowania.

Obrona? Tu nie ma obrony! Wobec jawnych dowodów winy, wobec długiej listy tych dokumentów, które wydał poprzednio towarzyszeni pułkownikowi Bogowojowi, a o czym mówić będą rzeczoznawcy, rozprawa doraźna jest tylko wymaganą przez prawo formalnością, jest drogą, która wiedzie prosto do wyroku śmierci.

Semkowski nie ma złudzeń. Bo i po cóż złudzenia?...

Cóż powie na swoją obronę? Czy to, że tych na stole leżących dokumentów nie chciał

wydać? Że właśnie miał je odnieść do sztabu? Że aresztowano go właśnie w chwili, gdy pełen był wewnętrznej skruchy, gdy chciał wydobyć się z matni, gdy miał rozpocząć nowe życie.

Cóż powie na swoją obronę? Czy to, że przyszło mu odpowiadać za winy popełnione, w momencie gdy zaczął za nie żałować, gdy postanowił rzucić szpiegowską robotę i odrodzić się w miłości do kobiety, która dała mu swoje wielkie uczucie?

Czy uwierzą owi surowi sędziowie, na których piersiach kołyszają się drogą trudów wojennych zdobyte odznaczenia? Czy uwierzą mu owi sędziowie, którym jeszcze onegdaj był równy?

Nie! Nie uwierzą! Nie uwierzą i będą mieli rację! Bo któżby uwierzył? A zresztą czymże jest to, o czym myślał, co czuł w chwili, gdy go ujęto, wobec nagich, zimnych faktów. Wszakże on sam na pytanie przewodniczącego sądu, czy przyznaje się do winy, odpowiedział krótkim: Tak! - bo i po cóż przeczyć prawdzie, gdy śmierć już w oczy zagląda.

Wloką się długie męczące godziny. Przed Semkowskim rozwija się cały przebieg rozprawy. Zeznają świadkowie. Mówią rzeczoznawcy. Mówi coś prokurator. Potem obrońca. Semkowski siedzi nieporuszony, jakby nie zdawał sobie sprawy, że on jest na tej sali głównym aktorem, aktorem najbardziej tragicznym.

Myśli o Inie... O tym, że nigdy już jej nie zobaczy... Myśli o słowach, które słyszał, gdy widział ją po raz ostatni, o ostatnich słowach, jakie słyszał z jej ust najdroższych.

- Życie zaczyna się jutro!...

* * *

Tak, jak się spodziewał! Tak, jak przypuszczał! Wyrok śmierci. Nie mógł być zresztą inny. Słyszcy pytanie obrońcy. Co? Łaska prezydenta? Nie! Po cóż przedłużać agonię. Chwila zastanowienia. Błysk nadziei. A może jednak? Tylko piętnaście lat... Ina mogłaby go odwiedzać w więzieniu... A chociażby dożywotnie! To, w każdym razie mniej, niż wieczność... Dobrze, panie obrońco! Dobrze!... Dobrze!...

* * *

Przewieziono go w nocy karetką. Do Cytadeli. Tu jest najbliżej do miejsca straceń.

Semkowski chodzi po celi. Chodzi krokiem równym wojskowym.

Powtarza sobie treść wyroku: Degradacja! Wydalenie z wojska! Kara śmierci!

Jakże długo trwa oczekiwanie na nieznane. Prezydenta Rzeczypospolitej nie ma w Warszawie. Do miejsca jego pobytu wyjechał wysoki oficer korpusu sądowego ze stenogramem rozprawy.

Co przywiezie? Życie, czy śmierć?

Jakże wolno wloką się godziny oczekiwania. Od wydania wyroku upłynęła już noc i

dzień. A teraz znowu jest noc. Co będzie jutro?... A raczej, co będzie dziś?... Bo jest już przecież po północy... Jak to powiedziała Ina?... Aha! Życie zaczyna się jutro!... Jutro! Jutro! Jutro!

* * *

Zgrzyt klucza w zamku. A co tam? Wchodzi do celi prokurator. Jest jeszcze obrońca. I jeszcze ktoś trzeci. Aha! Kapelan więzienny! Więc to tak!

Prokurator nie potrzebuje mu mówić. Już wie! Odrzucił. Nie skorzystał z prawa łaski.

- Kiedy? - pyta krótko prokuratora głosem, który brzmi jak uderzenie rozbitego dzwonu.

- Za dwie godziny. Teraz jest czwarta. O szóstej.

* * *

- Bądź odważny! Miej odwagę, mój synu!

Semkowski kroczy powoli wyprostowany, z głową w tył odrzuconą. Jest spokojny, tylko śmiertelnie blady.

Patrzy z uśmiechem na kapelana.

- Miej odwagę, mój synu!

- Nie miej o to obawy, poczciwy starcze. Ina Ordeyg, wtedy, gdy grała jeszcze wobec niego rolę agentki polskiego kontrwywiadu, powiedziała mu: Majorze Semkowski, wolno ci być szpiegiem! To się zdarza! Ale nie wolno ci być tchórzem!

Nie ma obawy! Pamiętaj słowa Iny Ordeyg. Szpiegiem - był. Tchórzem - nie będzie!

Już są na miejscu. Rząd bezimiennych grobów, oznaczonych numerami. Jest tu kolejny dół i dla niego.

Semkowski widzi słupek świeżo wkopany w pulchną, wilgotną ziemię. Tam jest jego miejsce.

Świta, świt jest rumiany, pogodny. Minęła już przecież zima - jest przedwiośnie.

Semkowski czuje potrzebę powiedzenia choćby kilku słów, patrzy na prostą trumnę zbitą z tarcic, patrzy na wykopany oczekujący grób i pyta:

- To dla mnie? Za mała jest dla mnie ta skrzynia.

Trzeba jeszcze wysłuchać wyroku. Jeszcze zostały minuty życia. Trzeba pomyśleć o Inie.

- Czy skazany chce jeszcze coś powiedzieć?

Chwila milczenia. Szpiegiem - był. Tchórzem - nie będzie. Tego nie wolno.

- Proszę nie przywiązywać mnie do słupka i nie zakrywać mi oczu - mówi wolno. - I jeszcze jedno...

Semkowski szuka oczyma swego obrońcy. Prokurator czyni gest przyzwalający. Tamten podchodzi do skazańca.

- Proszę niech pan powie osobie, o której panu wiadomo, że myślałem o niej i że...

Głos Semkowskiego załamuje się na chwilę. Chwyta oddech i kończy, znowu uspokojony.

-...że życie zaczyna się jutro...

Staje pod słupkiem. Patrzy śmiało na egzekucyjny oddział. Słyszy słowa komendy. Wie, że trzeba zapłacić, i wie, że zapłaci za chwilę.

Błyszcząca klinga szabli dowodzącego plutonem egzekucyjnym oficera piorunowym ruchem opada w dół.

Salwa!

Do leżącego podbiega lekarz wojskowy. Przyklęka. Bada puls. Podnosi się z twarzą wybladłą i odstepuje od drgającego konwulsyjnie ciała.

- Żyje jeszcze...

I dodaje ciszej, prawie w ucho oficera dowodzącego plutonem, z gestem jakiegoś bolesnego wstrętu.

- Sfuszerowali!... Źle strzelony!

Twarz młodego oficera tężeje grozą.

Występuje druga czwórka żołnierzy. Podchodzi do konającego i oddaje drugą salwę.

Salwę łaski.

* * *

Strażnicy Cytadeli znają dobrze tę postać kobiecą.

Władze wojskowe Cytadeli udzielają jej bez trudu przepustek.

Zjawia się ona na cmentarzu straconych codziennie, czy to, gdy słońce praży żarem lata, czy też, gdy zimny, mroźny wichur tańczy i hula wśród mogił.

Kobieta odziana jest w żałobne szaty. Zatrzymuje się przy jednym z grobów, przy bezimiennej, porządkową cyfrą rzymską oznaczonej mogile, pochyla się nad nią i trwa tak długie godziny.

Wśród garnizonu Cytadeli Warszawskiej krążą już o niej legendy.

Kobieta ta, to Ina Ordeyg, na pół obłąkana, dotknięta cichą melancholią, siostra inżyniera Jerzego OrdeygIskrzyńskiego, który zbiegł z wysp Sołowieckich.

Przebywa na cmentarzu straconych przez prawo przestępców przez długie godziny, aż do mroku.

A potem w domu, pod opieką brata, który zrezygnował dla niej z wyjazdu do Stanów,

snuje się jak cień, jak widmo nieszczęścia, lub chwyta za ołówek i kreśli na kawałku papieru ciągle ten sam kapryśny dziwaczny znak, znak wykrzywiony pokracznie, znak, który dla wszystkich jest zwykłym znakiem pisarskim, znakiem, po którym wzrok nasz prześlizguje się szybko, gdy czytamy - a który dla niej stał się całą treścią jej nieszczęścia, jej złamanego życia...

...Znak zapytania.

KONIEC